

KRZYSZTOF BARANOWSKI

HOBO

ISKRY • WARSZAWA • 1974

Mieszanka firmowa

Zaczął się od Niagary. Nie mogłem pogodzić się z faktem, że nazwę wielkich wodospadów wymawia się po angielsku w zgoła nieludzki sposób, co świadczyłoby raczej na niekorzyść moich językowych wiadomości. Nie mogłem się też pogodzić z biernym wysiadymaniem w domu i ewentualnymi spacerami asfaltowanym brzegiem jeziora Ontario. Dobrze to było na pierwsze tygodnie odwiedzin u rodziny. Później czekanie przez pięć dni na weekend, żeby pojechać na krótką wycieczkę, obrzydło mi całkiem. Mimo dobrych rad i ostrzeżeń zacząłem od Niagary.

Nie było to daleko, jakieś sto kilometrów w jedną stronę. Wyszedłem na drogę i ze zmiennym szczęściem zacząłem robić pierwsze mile amerykańskiego autostopu. Trudności językowe stały się mało znaczącym drobiazgiem od czasu, kiedy bezbłędnie opanowałem wymowę nazwy miejscowości, do której jechałem. Mój pierwszy towarzysz na szczęście nie był rozmowny. Wiedział, dokąd jadę, więc wysadził mnie tam, gdzie było trzeba.

Dziesiątki samochodów przelatowały nie zwalniając nawet na mój widok. Można było bez skutku czekać godzinę i dwie, ale zostawiając sobie odpowiedni margines czasu na niecierpliwe czekanie z wystawioną ręką jechało się w końcu dalej.

Wróciłem tego samego dnia do domu budząc wśród mojej zamerykanizowanej rodziny podziw bohaterstwem wyczynu i tylko-amerykańską-zaradnością. Chwały starczyło na kilka dni, po czym zapanował nastrój nudy — jak wyżej.

Zhezczelniałem trochę. Oświadczyłem, że wybieram się do Brytyjskiej Kolumbii, czyli na drugą stronę kontynentu. Gdyby mój plan doszedł do skutku, zostałbym w gronie amerykańskich znajomych uznany za wariata i straceńca, przynajmniej do czasu powrotu. Pierwszy śnieg, który zasypał północną szosę kanadyjską, zakończył dyskusję.

Pojechałem do Halifaxu. Przez Montreal, prowincję Quebec, Nowy Brunzwik i Nową Szkocję. Po drodze zawadziłem o więzienia i po kilku dniach wróciłem nad Ontario. W rodzinnym gronie nad szklaneczką wiśniówki odkrywałem im Amerykę.

Dalej były różne próby różnej pracy, a kiedy zima nieodwołalnie nadeszła, pojechałem przez Nowy Jork na Florydę, gdzie sezon się właśnie zaczynał.

To było większe szczęście, niż mogłem oczekiwać — zaczepiłem się jako pomywacz naczyń w jednym z większych hoteli na zachodnim wybrzeżu Florydy. Przed Bożym Narodzeniem zwałem, żeby zgodnie z polską tradycją zasiąść z rodziną przy wigilijnym stole. Wymagało to przejechania autostopem tych paru tysięcy kilometrów, które dzielą Ontario od Florydy, co nie byłoby przykre, gdyby nie okazało się, że tradycja amerykańska w tym domu nie przewidziała wigilijnej wieczerzy. W domu nie było nic do roboty prócz tego co dotychczas. Wymieniłem ciężki worek żeglarski z namiotem na lżejszy chlebak i znaną drogą przez Nowy Jork wróciłem na Florydę. Do hotelu nie było po co wracać.

Milioner, u którego pracowałem, udzielił mi podstawowej lekcji o wartości dolara. Przez dwa miesiące byczyłem się na jachcie spełniając tam wszelkie możliwe w tej sytuacji obowiązki. Uczciwie zarobione pieniądze postanowiłem przepuścić w Nowym Orleanie.

Jak zwykle, plany krzyżuje przypadek. Zamiast w Nowym Orleanie znalazłem się w Los Angeles nad Pacyfikiem. Z San Diego, wzdłuż granicy meksykańskiej, jechałem przez Arizone, Nowy Meksyk i Teksas. Potem w górę, na ukos mapy do St Louis i Chicago. Do granicy kanadyjskiej było już niedaleko.

W Kanadzie odwiedziłem jeszcze rezerwat w Te-magami, który wprawdzie nie przysporzył mi tysięcy mil do autostopowego rachunku (było tam tylko pół tysiąca), ale nauczył, jak posługiwać się

canoe pod opiekuńczymi skrzydłami wielkiego Manitou. Nakarmiony Ameryką na dłuższy czas grzecznie wróciłem, aby ukończyć politechniczne studia i ukradkiem popełnić niniejszą książkę.

Cud zatrudnienia

To prawda, że cały proceder nie jest legalny, gdyby ktoś chciał się przyczepić. Dzięki zbiegowi okoliczności otrzymałem kartę zatrudnienia w jednym z portowych miast, gdzie nikt się nie dziwił cudzoziemskiemu akcentowi.

W tym bogobojnym mieście na skraju jeziora Ontario zmieniono mi w biurze zatrudnienia kartę z zawodem „doker” na „technik elektryczny”. Nikt się nie pytał, w jaki sposób zdobyłem poprzednią, nie musiałem więc tłumaczyć.

Nie miałem powodu sądzić, że pracy nie dostanę. Przez trzy tygodnie naiwnie czekałem na zawiadomienie.

Przy następnej wizycie w biurze zatrudnienia byłem mądrzejszy, nie pchałem się na górę (trzecie piętro — wyższe wykształcenie, drugie piętro — średnie wykształcenie, pierwsze piętro — bez zawodu).

Przy bocznym wejściu do pomieszczeń na parterze stało kilku mężczyzn. Kiedy im się bliżej przyjrzałem, zaświtało mi, że pewnie tu trafia się szansa szybkiego otrzymania pracy. Ponieważ i mnie było wszystko jedno, co będę robił, byle móc trochę zarobić, wszedłem do środka, gdzie czekał już cały tłum. Oparci o ściany, tłoczący się przy kontuarze, czytający gazety, ćmiący papierosy, wytarci ludzie.

Przycisnąłem się do barierki.

— Gdzie ty? O tej porze? Przyjdź jutro rano, zapiszesz się do kolejki.

Postałem trochę, żeby popatrzeć. Co jakieś pół godziny, kilkanaście minut wywoływano nazwiska, kogoś nie było, następny, tłumek się ruszał, czytający podnosili głowy i znowu wszystko zastygało w oczekiwaniu. Szczęśliwiec dowiadywał się szczegółowych warunków i niedbałym krokiem wychodził na spotkanie kilku dolarów.

Praca, którą określano jako „desperate job”, mieściła w sobie wszystkie możliwe do wykonania przez człowieka zajęcia — począwszy od strzyżenia trawnika do czyszczenia śmietnika. Były oferty luksusowe, jak zaprowadzenie dziecka do lekarza, bo matka zajęta, były naprawdę desperackie, jak przeczyszczanie kanałów z gwarancją przeziębienia czy brodzenie po pas w błocie dla jakichś tam celów.

Kolejny na liście miał prawo zrzec się swego udziału na korzyść następnych. I ci ludzie, którym zależało na zjedzeniu dobrego obiadu, rezygnowali z podejmowania ofert, które im nie odpowiadały. Dalej czekali. A oferta biegła wzdłuż kolejki, aż napotykała prawdziwego desperata, który nie wytrzymał nerwowo tej gry, ryzyka odejścia z niczym po godzinie drugiej. Reszta czekała, zabawiając się rozmowami, paleniem i czytaniem. Do czasu następnego telefonu dzwoniącego na kontuarze.

Przyszedłem z samego rana, byłem w kolejce mniej więcej czterdziesty. Transport mebli, kopanie grządek, kilku do pracy przy drodze. Kilku odeszło, kilkudziesięciu przyszło, wczorajszy nastrój czekania powrócił. Znowu jeden szczęśliwiec wyszedł, po trzech godzinach byłem już trzydziesty. Ci, którzy mieli do zaoferowania pracę, wyraźnie ożywili się koło godziny jedenastej, wzrosła częstotliwość telefonów.

— Praca na farmie, trzydzieści mil stąd, kto?! Dwie osoby!

Facet stojący za kontuarem rozglądął się, tłum falował, ale nikt się nie zgłaszał. Za daleko.

— Ja!! — przerwałem ciszę pełną pomruków. Serce mi się tłukło jak przed startem w zawodach sportowych. Ludzie się rozstąpili, robiąc mi przejście.

— I ja!! — z boku wyskoczył mały mężczyzna pod pięćdziesiątkę w bluzie w czerwoną kratę. Szpakowate włosy króciutko przystrzyżone, biegający wzrok. Pierwszy się zorientował, że wykombinuję samochód na dojeżdżanie, bo pewnie inaczej bym się nie zgodził. I w samochodzie będzie miejsce. Kiedy wpisywaliśmy się, nie omieszkał o to zapytać. Teraz już wszyscy wiedzieli,

patrzyli niechętnie, jak wychodzimy.

Farma była ukryta przy bocznej drodze. W gumowych wysokich butach i ciepłych kurtach spotykaliśmy się przed głównym budynkiem z włoskimi wieśniaczkami i gospodarzem. Platforma dowoziła nas na kapuściane pole.

Punktualnie o siódmej Włoszki pochylały się nad główkami kapusty, które obcięte wędrowały do drewnianych skrzynek z deszczulek spiętych drutami. Przeskakiwałem z bruzdy w brudę od jednej do drugiej skrzynki, przyciskałem kolanem wieko i zaplątywałem druty. Tam, gdzie się nie chciało zamknąć, przestawiałem kilka główek i zamykałem na siłę. I tak całe pole w ślad za babami, które nuciły — „bouna fortuna, buona fortuna...”

Potem przyjeżdżał samochód. Włoszki nie przerywały pracy, mężczyźni z dwóch stron podawali dwudziestokilogramowe skrzynki trzeciemu, który stał na wozie. Samochód stale i uparcie jechał z jednego krańca pola w drugi, wymiatając z bruzd paczkowaną kapustę. Opóźnianie w załadunku zmuszało gospodarza do pomagania nam w noszeniu, tego należało unikać. Biegaliśmy więc splekani własnym potem. Samochód ani nie zwalniał, ani nie przyspieszał. Zawracał na końcu pola i nie stawał, póki paczki nie zapełniły go aż na wysokość przedłużonych burt.

Odjazd samochodu witaliśmy z westchnieniem ulgi. Zamiast odpoczynku trzeba było obskoczyć i pozamykać wszystkie zapakowane kapustą skrzynki. Znowu skakanie przez bruzdy. I znowu następny samochód.

Zabrudzeni ziemią, umorusani i wyżęci wracaliśmy o czwartej do domu. Mój nowy znajomy splunął w kąt samochodu i wymamrotał parę przekleństw. Nie miał gdzie pluć, cholera jasna? Poza tym ma właściwie rację.

Po tygodniu pracy na najniższej stawce — dolar za godzinę — i ośmiogodzinnej harówce uznałem, że majątku nie zbiłem, a za kondycję i tak mi nikt nie zapłaci. Miałem kieszonkowe na dalszą wycieczkę.

Biuro zatrudnienia, to z wyższych pięt, nadal milczało.

Z pijanym lotnikiem do Halifaxu

Trzeba było przewędrować dwa tysiące kilometrów, aby mieć przyjemność zjedzenia ciepłej kolacji w portowej speluncie Halifaxu. Nawet wrzaski pijanych marynarzy brzmią sympatycznie po gorącym rosole. Jakoś nie było czasu dobrze zjeść. Jak opadły liść niesie człowieka jesienny wiatr, jakiś wiatr ciekawości. Zobaczyć Halifax... Czym się różni od naszego Gdańska? A gdy cel osiągnięty, zapomina się, że po drodze o rysztoł się zawadziło i z kosztem na śmieci zawarło znajomość.

Postrzępione, ponure chmury, niosące jesienną ulewę, wpędziły mnie pod most drogowej koniczynki w pobliżu Toronto. Mokra, czarna autostrada przerywa się pod mostem, zostawiając suchy, szary pasek asfaltu, po którym drepczę w kółko, schodząc co chwila na żwirowe pobocze przed nadjeżdżającymi samochodami. W trawie obok leży maleńki plecak, niewielki majątek, a nad głową przelatują samochody w kierunku poprzecznym. Ulewa kończy się wreszcie. Zarzucam plecak na ramię i maszeruję do zakrętu, gdzie wszyscy z konieczności zwalniają. Tu powinno być dobre miejsce, zarzucimy więc sieć. Robię niewinną minę i prosząco wyciągam rękę tam... lichy wie gdzie. Dlaczego nikt nie chce mnie zabrać? Po krótkiej lekcji cierpliwości zabiera mnie amerykańska para jadąca do Ottawy. Oboje ubrani w grube, żółte swetry omawiają domowe sprawy nie zwracając uwagi na mnie, siedzącego z tyłu. Zwolniony od konwersacji obserwuję miasteczka nad jeziorem Ontario, przez które wiedzie nasza droga. Co pewien czas migają małe tabliczki na słupkach, oznaczające numer drogi. Czarna dwójka, a nad tym napis: droga królewska i korona wyłamująca się ponad tarczę godła. Szosa numer dwa będzie mi towarzyszyć cały czas.

Przejechaliśmy wzdłuż całego jeziora dostatecznie szybko, aby zgubić ciemne chmury. Za Kingston Amerykanie wysiedlają mnie z wygodnego miejsca — skręcają na północ. Tutaj wody Ontario Lakę przechodzą lejkowato w Rzekę Św. Wawrzyńca. Zawartość tego lejka stanowi tysiąc wysp, jak wskazuje nazwa tego obszaru: Thousand Islands. Spacerując brzegiem szosy mam okazję

ogłądać polodowcowe cuda skalistej opoki, wystające nad powierzchnię wody, porośnięte szczecią drzew. Południowe słońce uśmiechnęło się ciepło, a wszystkie drzewa zaprezentowały kolory, w których najwięcej czerwieni i żółci. Na większych wysepkach widać domki kempingowe, teraz puste i osamotnione, jak ja, jedyny piechur na tej drodze. Ruch jest nawet pokaźny, ale kanadyjski autostop wymaga trochę cierpliwości.

— Takim samochodem jeszcze nie jechałem — mruczę zadowolony, obserwując zatrzymujący się nowy model Volkswagena o kształtnych liniach i sportowym wyglądzie. Młody, elegancko ubrany mężczyzna zaprasza do środka urękawiczoną dłonią. Zamieniamy ze sobą zaledwie kilka zdań, gdyż podwozi mnie nie więcej niż kilka mil. Na skrzyżowaniu dróg Volkswagen ostro hamuje. Wsiadam.

— Tu skręcam — powiada — good luck!

I wręcza mi zwitek papieru. Dolar?! Miętoszę w rękę banknot, nie wiedząc, co powiedzieć, ale i tak już nie ma do kogo. Spoglądam po sobie, czy aż tak bardzo jestem obdarty, i dochodzę do wniosku, że polską dumę trzeba odłożyć na bok i zjeść dobry lunch.

Pół godziny później stoję znowu na rozstaju uśmiechając się do wszystkich kierowców. Uśmiechniętego młodzieńca zabiera się chętniej niż ponuraka. A oto jakaś niewiasta wyjeżdża zza zakrętu. Teraz to się śmieję całą gębą widząc, jak samochód zarzuca na piaszczystym poboczu. Co?! Do mnie kiwa ręką? Podbiegam do stojącego Austina. — Yes! You. — Nie ukrywam zdziwienia tak niesłychanym faktem, ponieważ nie zdarza się, żeby kobiety zabierały kogoś z drogi. Wyjaśnienie przychodzi szybko, bo szofer w spódnicy jest bardzo gadatliwy: obserwowała mnie w restauracji znad filiżanki herbaty i doszła do przekonania, że nie wyglądam na takiego włóczęgę, jakim w rzeczywistości jestem. Motor pracuje równo, a Angielce usta się nie zamykają. Nie mam czasu obserwować krajobrazu, gdyż muszę uważać, gdzie wtrącić yes, a gdzie no. Na pożegnanie dziękujemy sobie nawzajem za miłą konwersację i Austin znika za stacją benzynową Shella.

Niedaleko, w pobliżu miasteczka Iroquois, znajduje się bodajże najważniejszy punkt sea-way, drogi morskiej, która połączyła Wielkie Jeziora z Atlantykiem. Zapora piętrzy wody Rzeki Św. Wawrzyńca w duże jezioro, a rwący nurt w przepustach zmienia się w wielkich turbinach w energię elektryczną. Wewnątrz nowoczesnego budynku cicho i czysto, wszystko przygotowane dla zwiedzających. Jak na produkt ostatnich lat przystało, dominuje aluminium i szkło. Cicha winda mknie na szczyt. Z tarasu, z wysokości czterech pięter, widać połyskliwą taflę załamaną w łuk tamy. Z przeciwnej strony, nad brzegiem pieniającej się wody, pracują koparki. Jeszcze mały spacer po lśniących korytarzach. W szklanej rotundzie, oświetlonej ostatnimi promieniami słońca, znajduje się samoczynnie działający model elektrowni, a za przezroczystą ścianą rzeczywisty pokój kontroli. Stoły ustawione w podkowę jarzą się różnokolorowymi światłkami. Trzech pracowników siedzi i dyskutuje nad kawałkiem papieru, ale przez grubą szybę nie dociera żaden głos. Zapalone świetlówki przypominają, że wieczór się zbliża.

Czerwony blask zachodu zastaje mnie znowu na drodze. Najpierw jadę kawałek z farmerem o wyglądzie typowego polskiego chłopca, a. potem mały, czarny Francuz w meloniku na głowie zabiera mnie aż do Montrealu. Okazuje się, że wraca od najdroższej i śpieszy się bardzo do domu, co można wywnioskować z szybkości. Lecimy jak torpeda. Na wyboistym objeździe facet pruje siedemdziesiąt mil na godzinę (ponad sto dziesięć kilometrów). Nic nie mówię, ale powoli żegnam się z życiem. Promienne ślepie nadjeżdżających aut zaglądną do środka przez ułamek sekundy i uciekają, wlokąc czerwone punkty tylnych świateł. Przy każdym mijanym samochodzie karoseria jak gdyby wychylała się w resorach i przechodząc tuż przy sąsiednim wozie wracała na swoje miejsce na podwoziu, które cudem jakimś przeniknęło na drugą stronę. Francuz jedzie jak szalenciec, ale nic się nie dzieje, więc siadam wygodniej, zadowolony, że tabliczki przy drodze zmieniły wygląd — prowincja Quebec. Pozostała tylko czarna dwójka. Korona znikła, a pojawiła się lilijka burbońska. Trudno o bardziej francuski motyw, a trzeba wiedzieć, że Quebec jest na wskroś francuski. Osiągamy Montreal późnym wieczorem. I jakoś śmierci nie było na drodze. Widocznie był objazd.

Maszeruję przez Sherbrook, ulicę biegnącą na przestrzał przez całe miasto. Atwater Street przenosi mnie na ST. Catherine. Światła wielkiego miasta migocą tysiącem reklam. Kolorowe neony

mrugają wzdłuż i w poprzek. Za wielkimi szybami salonów samochodowych połyskują nowe modele. Schronienia na noc udziela mi młodzieżowa organizacja YMCA, co jednak nieźle kosztuje. Wygrzebać się z łóżka jest czasem trudno, ale wygrzebać się ze środka metropolii jest nie lada sztuką. Na dodatek zasnęłam i przed wieczorem zrobiłam niewiele więcej niż pół drogi do Quebec City, odległego o sto siedemdziesiąt mil od Montrealu. Podłe szczęście, mały ruch i ciężka opona chmur (oby gwoździa złapała), wszystko szare łącznie z mgiełką nad Rzeką Św. Wawrzyńca. Wolnym krokiem idę przez niewielkie miasteczko pełne białych domków z małymi ogródkami, używając rynsztoka zamiast chodnika dla podkreślenia, że do tej zapadłej dziury nie należę, a oczekuję pomocy z drogi. Jakoż i miła okazja się przydarza. Jedzie na czterech kółkach i jest własnością Francuza, który ma na imię Jean. Rozpieram się na miękkim siedzeniu, gdy dowiaduję się, że jedzie kilkaset mil na północny wschód. Ładna szansa. Jean kaleczy trochę angielski, ale nie przestaje rozmawiać. Dowiaduję się, że służył w górskiej policji, że zwiedził całą Północną Amerykę i pół Europy, że urodził się w okolicy, przez którą przejeżdżamy, że Kanada to śliczny kraj, a wszyscy Kanadyjczycy są gościnni, serdeczni i przyjaźni. W to ostatnie nie bardzo wierzę, wspominając, ile to samochodów mogło mnie dzisiaj zabrać. Ale Jean jest rzeczywiście dobrym przykładem. Zaprasza mnie na wyścigi trupów, ponieważ to sobotni wieczór.

— Mnie się nie spieszy — powiada. Ponieważ i dla mnie czas nie odgrywa roli, godzę się z radością, chociaż nie bardzo wiem, o co chodzi.

— Zobaczysz sam, na czym polega zabawa.

- W większym miasteczku skręcamy z głównej szosy i wjeżdżamy na jakąś zupełnie nie oświetloną drogę. Koła wpadają w liczne koleiny, a w świetle reflektorów pojawiają się drzewa. Przejeżdżamy przez zagajnik. Tu pomiędzy drzewami parkuje pełno samochodów, a zza pobliskiego pagórka dochodzi ryk zdezelowanych wehikułów. O takie to trupy chodzi! Z drewnianych trybun niesie się wrzawa godna huku startujących maszyn. Akurat trafiamy na drugą połowę zawodów. Reflektory oświetlają cały owal piaszczystej bieżni. Spiker umieszczony w budce nad linią mety zapowiada przez ochryple głośniki paradę zawodników. Pochód otwiera karetka pogotowia, co wydaje się bardzo na miejscu, za nią wóz techniczny błyskający czerwonym światłem i sznurek warczących wraków. Z motorów lecą błyski wybuchających spalin. O tłumikach mowy nie ma. To by popsuło zabawę. Cztery kółka, motor i kierownica, więcej nie potrzeba. Wyścigi odbywają się po kilka wozów. Warkot wzmaga się zagłuszając wszystko inne, machnięcie chorągwią-szachownicą i piasek leci strumieniem spod kół. Trupy zarzucają, stukają się nawzajem, a widownia otwiera usta do okrzyku przy każdej kolizji. Podobno ginie tu- nie więcej niż jeden szofer rocznie, ale widok jest morderczy. Mają czym się pasjonować okoliczni farmerzy. Im więcej zderzeń, tym lepiej: największa zabawa jest, gdy na niezbyt szerokim torze pędzi dziesięć samochodów. Spiker zachłystuje się podawaniem pozycji lidera, a Jean co chwila pyta, czy mi się podoba. Zostawiamy wrzaskliwe trybuny okrzykujące zwycięzcę i wracamy na parking.

Quebec City zostaje na uboczu, bo przeskakujemy oświetlonym mostem na drugą stronę Rzeki Św. Wawrzyńca. Gnamy wzdłuż niewidocznego brzegu, odkrywając w świetle reflektorów coraz nowe miasteczka o francuskich nazwach. Wreszcie późną nocą wjeżdżamy do Riviere du Loup. Tutaj szosa numer dwa skręca w prawo, w głąb łądu. Szczęśliwej drogi dla monsieur Jean i zostaję sam.

Pierwszego lepszego przechodnia pytam o YMCA.

— Are you English?

Dla uproszczenia kiwam twierdząco głową.

— Excusez-moi... — bezradnie rozkłada ręce.

Koło północy niewielu jest przechodniów na ciemnej ulicy małego miasteczka, a w dodatku nikt nie potrafi sklecić sensownie kilku słów po angielsku. Wreszcie jakiś światlejszy Francuz w czarnym bereciku radzi pójść na policję, gdzie mogą dostać potrzebne informacje. Posterunek policji przytyka do ratusza, który łatwo znaleźć. W brudnej, ale ciepłej izbie trzech policjantów w rozpiętych koszulach gra w karty. Moje wejście nie budzi zdziwienia. Grubas o czerwonym nosie i nalanych policzkach podnosi się ciężko z zydlu i otwiera żelazne drzwi opatrzone kilkoma ryglami, za którymi widać kratki.

— Co?! Za co?! — Zaczynam szybko tłumaczyć, że szukam jakiegoś noclegu i...

— Właśnie, właśnie — uśmiecha się grubas. Drzwi zatrząskują się, zanim zdążyłem coś więcej powiedzieć. Trochę się głupio czuję w nowej sytuacji. Stoję na środku długiego korytarzyka, oświetlonego dwiema brudnymi żarówkami, przed rzędem cel O masywnych drzwiach. Przez judasza na wprost zerkają ciekawe oczy i płynie francuska mowa. No, monsieur, niewiele z tego rozumiem. Chwila ciszy i tym razem angielski:

— Na jak długo cię wsadzili?

— Na jedną noc — odpowiadam.

— Aha — domyśla się reszty.

Wędruję wzdłuż okratowanych okienek. Z jednego dobiega chrapanie. Na końcu korytarzyka mały klo-zecik i umywalka. Cela dla mnie przeznaczona ma drzwi otwarte. Na dwupiętrowym łóżku ze sprężynowym materacem leży gazeta.

— Chcesz koc? — słychać cichy głos obok. — Mam dwa.

Przez wąskie kraty od frontu sąsiada wyciągam cienki, brudny koc.

— Dziękuję. Zobaczymy się jutro.

Zdejmuję kurtkę i podkładam pod głowę jako poduszkę, portfel z tylnej kieszeni spodni chowam na piersi, owijam się w koc od nieznanego kolegi; natychmiast twardo zasypiam.

Budzi mnie krzątania na korytarzu. Rozmyta, świetlna plamka z krzyżykiem kratki przybiera postać małego okienka. Spuszczam nogi z łóżka i drapię się po plecach, na których sprężyny materaca odcisnęły więzienne piętno.

— Siedzę w więzieniu — mówię półgłosem, aby potwierdzić rzeczywistość tego faktu. Słoneczny kwadracik na drzwiach ucieka w głąb i przez szparę wsuwa się czarna, rozczochrana głowa.

— Jak się spało?

— Wybornie — odpowiadani drapiąc swędzące odciski.

Osiemnastoletni wyrostek w niebieskich, brezentowych spodniach i takiej kurtce wsuwa się i siada obok. Jestem rozczarowany, nie ma pasiaków.

— O ósmej rano otwierają cele i możemy spacerować po korytarzyku. Ja mieszkam obok — stuka w ścianę.

— Dziękuję za kocyk...

— Och, drobiazg. Oni takim jak ty nic nie dają. Hitchhiker?

— Owszem, wędruję autostopem z Ontario.

— I ja wędrowałem, zanim mnie wsadzili...

Tu wsuwa się drugi młodzieniec podobnie ubrany. Blond włosy spadają mu na czoło. Półotwarte usta pod haczykowatym nosem wyglądają jak kropka pod znakiem zapytania.

— Za co siedzicie? — zwracam się do obydwu.

— To samo, gwizdnięcie kilku dolarów — śmieje się czarny.

Opowiadam im trochę o sobie, tak układając zdania, że można je wieloznacznie rozumieć.

— ...te trampki nie były wprawdzie moje, ale teraz ja je noszę, it doesn't matter...

Czarny rechocze porozumiewawczo. To im imponuje, czują we mnie bratnią duszę. Blondyn zamyka na chwilę usta, a w bezmyślnych, niebieskich oczach odbija się zaduma. Rzuci parę słów po francusku, czarny podskakuje.

— Jesteś głodny? — I nie czeka na odpowiedź, tylko przynosi chleb i gorącą kawę w kubku.

— Jeszcze bardzo gorąca, więc nie piliśmy. Słyszę, jak żołądek mruczy marsza, więc dziękuję i zabieram się do jedzenia bez żenady. Przy okazji parzę sobie usta.

— Ale co ty?... — zatrzymuję się w pół kęsa.

— Ja nie jestem głodny.

Haczykowaty blondyn uśmiecha się od ucha do ucha zadowolony ze swego pomysłu, a czarny tłumaczy mi, gdzie znaleźć najlepsze miejsca na złapanie długiej jazdy, gdzie zatrzymują się wielkie ciężarówki, kursujące na długich dystansach. Jak później sprawdziłem, wszystkie informacje były trafne. Uważnie przysłuchuję się jego mowie, w której pełno wyrazów, jakich próżno byś szukał w słowniku. I takie wiadomości mogą być pożyteczne w środowiskach używających „kuchennej łaciny”.

— Warto by się ogolić... — zauważam. — Najgorsze, że zapomniałem żyletki.

— Don't worry — blondyn wyciąga zegarek bez wskazówek i zaczyna manipulować brudnym palcem. Wieczko koperty odskakuje i w grubych palcach pojawia się cienka, stalowa blaszka.

— Voila!

— Nie wolno nam przez cały czas trzymać ostrych' rzeczy — tłumaczy czarny, który zna angielski o wiele lepiej. Wychodzę na korytarzyk, gdzie wisi rozbite lustro, ale nie bardzo wiem, jak się takim maleństwem można ogolić. Dopiero, gdy dostaję do ręki uchwyt, do którego pasuje ostrze, wszystko staje się łatwe. Dzięki wam, bracia złodziejaszki.

— Ktoś jeszcze tu siedzi? — pytam przypominając sobie wczorajszego rozmówcę.

— A, to stary pijaczyna, wsadzili go za wypadek samochodowy; prowadził zawiany. Ma trochę kręcka... Hej tam!

— Czego — odzywa się ochrypy głos z dalszej celi. Wyłazi mężczyzna pod pięćdziesiątkę w białej koszuli i szarych spodniach. Na nogach ma tylko skarpetki. Jasne, niebieskie oczy wyglądają jak wyblakłe. Głębokie bruzdy pokrywają twarz, a w kącikach oczu czai się uśmiech, tylko skrzywione w dół usta nadają twarzy beznadziejny wyraz. Młody blondyn opowiada mu, coś po francusku.

— Aaa, Polonais — potrząsa moją ręką — come on — odciąga mnie na bok.

— Popatrz — pokazuje jakiś blankiet — to jest czek na pięćdziesiąt dolarów. Ja ci mogę dać pracę. Mam samochód i willę...

Widzę, jak za jego plecami czarny kręci wymownie palcem po czole i pewnie niedowierzanie odbiło się na mojej twarzy, bo stary zaczyna się oburzać.

— Co, nie wierzysz? Spójrz na tę koszulę, czy widziałeś gdzieś taki materiał?

Musiałem pomacać białą materię i przyznać, że jest bardzo kosztowna.

— ...Polacy są moimi przyjaciółmi... więc poczekaj jeszcze jeden dzień, jutro mnie dopiero wypuszczają.

Dziękuję, niektóre rzeczy w tym opowiadaniu wydają się zgadzać z opisem czarnego, który teraz siedzi na małym zydelku i uśmiecha się ironicznie. Z głupiej sytuacji wyciąga mnie, a raczej wywołuje rumiany strażnik.

— Czy myślisz spać cały dzień? — taki jest sens jego przemowy, którego się raczej domyślam, niż rozumiem. Ściskam rękę trzem więźniom, dziękując całkiem szczerze.

— Good luck to you — leci za mną.

Przed opuszczeniem więzienia jeszcze jedna formalność. Nazwisko, skąd przybywa, dokąd jedzie i adieu.

Kroczę brzegiem szumiącego potoku, dzielącego Ri-viere du Loup na połowę, i zastanawiam się, że właśnie w więzieniu spotkałem się z większą gościnnością niż przeciętnie w Kanadzie. Ciekawy suplement dla Jeana. Maszeruje pełen najlepszej nadziei, wychodzę za miasto, ale jakoś szczęście nie dopisuje. Mimo że słońce przyświeca, w małych kałużach tafelki lodu. W dodatku silny wiatr zamraża myśli. Przechodzę obok dobrych miejsc, gdzie można złapać jakiś samochód. Wreszcie ogrzewam się w jakiejś landarze, ale po chwili facet skręca w bok wyrzucając mnie znowu na mróz. Ależ dziwna nazwa miasteczka: Saint Louis du Ha! Ha! Chyba wesoło tu być musi. Wspinam się drogą na szczyt wzgórza, a koło głowy wirują drobiny śniegu, które komicznie wyglądają w pełnym słońcu. Z góry roztacza się piękny widok na niebieskie jezioro pełne białych kreserek, znaczących grzebienie fal. Drogą, którą przed chwilą przeszedłem, pędzi ciężarówka pełna olbrzymich bali drzewa. Im bliżej wierzchołka, tym bardziej wielki „truck” traci impet. Jest już blisko i jedzie wolniutko. Jeden z dwóch młodzieńców siedzących w szoferce kiwa ręką, więc czekam, aż stanie. Ale potężny samochód mija mnie z rozpędem i nie myśli się zatrzymać. Szkoda. Nieoczekiwanie jednak drzewiczki otwierają się przyjaźnie. Podbiegam wzdłuż wolno sunących pni-olbrzymów, skok na wysoki stopień i ładuję w ciepłej szoferce. Nawet trochę za mocno się odbiłem, bo mój sukces został uwieńczony stuknięciem głową w daszek. Jednak uśmiecham się dziękczynnie do młodych ludzi, którzy zrobili mi miejsce. Z drzewnym ciężarem mkniemy w dół dolinki, a potem znowu do góry. Czuję, jak motor się poci pracując ciężko na zboczu. I ja się pocę, gdyż w szoferce jest okropnie gorąco. Kierowca ostrzyżony na jeża opowiada dowcipnie i wesoło o swoich przygodach w marynarce, o przykrych i miłych chwilach na autostopie. Na amerykańskim kontynencie marynarze poruszają się tylko w ten sposób i jako umundurowane jednostki mają

największe szczęście.

Z daleka widać wyłaniający się wysoki komin tartaku. Tu się kończy rajd z drzewem. Szofer przerywa opowiadanie, by powiedzieć:

— Bye and good luck!

Granicę nowej prowincji, Nowy Brunswik, przekraczam (czytaj — przejeżdżam) w niebieskim Fordzie. Od razu zauważam oryginalne tabliczki stojące przy drodze, oznaczające nazwy strumyków na tle dużych liter NB. Informacja przyjemnie podana. Każdy mijany samochód na numerze rejestracyjnym nosi mały napis: New Brunswick — picture province. To już zbiorowa reklama stosowana powszechnie w Ameryce, każdy ze stanów dobrał sobie odpowiedni przymiotnik. Nie wiem tylko, jakim cudem Ontario i Quebec uchroniły się od tego.

Mimo że Quebec został już za pagórkami, Madawaske, pierwszy powiat Nowego Brunswiku, zamieszkuje jeszcze Francuzi. Angielski język panuje dopiero od Grand Falls. Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej.

Jak nazwa wskazuje, w Grand Falls powinny być wodospady. Jest! Śliczny. Woda pieni się na skałach i wpada do głębokiego kanionu, nad którym przerzucono most. To Rzeka Św. Jana wierzga po przebyciu zapory kilkaset metrów przed wodospadem. Nie do poznania zmienia się błękit spokojnej wody, atakującej oślizłe głązy w białej furii. Wiatr przynosi wilgotny opar, który kładzie się mokrymi pasami na poręczach mostu. Tablica informuje, że Grand Falls jest jednym z największych wodospadów na wschód od Niagary.

Dalsza droga wije się po zboczach doliny St. John River, przeskakując co jakiś czas z jednego brzegu na drugi. Za wzgórzami o jesiennych kolorach biegnie amerykańska granica. Autostop wlecze się ciągle kilkunastomilowymi kawałkami. Jeszcze nie miałem tak podłego szczęścia. Ale dzięki temu mogę spacerować i podziwiać piękno bystrej rzeki, która uspokaja się i rośnie w oczach. Nie tak dawno mknęli tędy Indianie w lekkich canoe...

Białe chmurki robią się różowe, a wielkie słońce chowa się w połowie za amerykańską granicą. Tak kończy się dzień spędzony na drodze. Jesienne piękno tego uroczonego zakątka Kanady wynagradza cały żal do nieufnych kierowców, dzięki którym pobitem żółwi rekord hitchhike'u. Z zachodu słońce puszcza ostatnie oczko, gdy siwy farmer wyrzuca mnie w Hartland. Przez ostatnie pięć minut musiałem wysłuchać o szczęściu i dobrobycie, o cudownej krainie, o tym, że muszę się tu osiedlić, że nigdzie na świecie nie jest tak jak tu...

Każdy kocha swój kraj — powiedziałem do siebie, a farmerowi w podartej kurtce w czerwonej kratę odrzekłem uprzejmie, że się jeszcze zastanowię.

Teraz stoję przed najdłuższym na świecie krytym mostem. Liczy sobie 1282 stopy i wcale nie wygląda okazale, raczej antycznie. Widocznie inni to też ocenili, gdyż opodal wznoszą się łuki pod nowoczesny most. Przechodzę na drugą stronę rzeki tą wielką, drewnianą kładką, wzmocnioną stalowymi taśmami, i czuję w nogach, że istotnie jest długi. Mimo to jestem sceptycznie nastawiony do rzeczy z serii naj..., bo, jak wiadomo, Ameryka ma lekkiego bzika na tym punkcie.

Choć zmrok pozarzucił już pierwsze szare siatki na całą okolicę, udaje mi się złapać dobrą jazdę. W nowym samochodzie jedzie rodzinka rozmawiająca tylko na tematy samochodowe. Chociaż tłoczno, znajduje się dla mnie miejsce i lecimy w coraz ciemniejszą noc. Mijamy po drodze wodospad o dziwnej nazwie Pokiok. Oczywiście nic nie widać prócz napisu na tle NB. Niestety, przyjemność się kończy, rodzinka skręca w boczną drogę. Zostaję w ciemnościach, a czerwone światełka giną, unosząc sprzeczkę o automatycznej zmianie biegów. Mam do Fredericton, stolicy prowincji, dwadzieścia mil, co jest raczej dość daleko jak na spacer, a nietrudno odgadnąć, co myślą kierowcy widząc wyłaniającą się sylwetkę włóczęgi (turystą nazywa się zazwyczaj tego, kto siedzi w samochodzie): może uciekł z więzienia. W tym wypadku nie są dalecy od prawdy.

Idę do jedyne go widocznego światełka w okolicy. Jasna reklama oświetla wejście do przydrożnego sklepu. Tutaj moja obecność może mieć jakieś sensowne uzasadnienie. Gdy już się dość namarzęm, wchodzę do środka i pytam o radę. Sprzedawczyni bardzo mi współczuje, radzi spróbować obok, może przyjmą mnie na nocleg, ona już sklep zamyka. Jest godzina dziesiąta i gaśnie reklama, w której świetle wyciągałem rękę prosząc o lift. W oknie na pięterku uchyla się firanka. Proszę się nie obawiać, już odchodzę. Gdy w następnym domu, gdzie pierwszy wita mnie

pies, odmawiają mi pomocy, gaśnie też moja nadzieja na nocleg. Ruszam w mrok gryząc orzeszki kupione za dwadzieścia centów. To ma być moje jedzenie na całonocną wędrówkę.

Nogi same się wloką, a żołądek burczy vivace, więc zjadam ostatnią paczuszkę. Oczywiście przy każdym nadjeżdżającym samochodzie odwracam się i robię automatyczny gest. I właśnie kiedy stwierdziłem, że w żadnej kieszeni nie ma już ani okruszyny do pogryzania, zatrzymał się ktoś na skraju szosy. A przecież jeszcze dwóch mil nie uszedłem. Widać dobrzy ludzie nie wymarli. Małżeństwo, których twarzy nie mogę zobaczyć, podwozi mnie do centrum Fredericton. Jednak z tym autostopem nie jest tak źle. Jestem im wdzięczny, bo oto jeszcze północy nie ma, a ja mogę wejść do baru i zjeść coś gorącego. Tak przyjemnie, ciepło. Wdzięczność musi być ciepła...

Wpadam w senny nastrój, więc nie wahając się wiele, pytam o więzienie. Jestem dumny z kapitalnego pomysłu. Informacja jest dokładna, lecz zapytany ogląda się za mną kilkakrotnie z niewyraźną miną. Wcale się tym nie przejmuję i pełen ufności schodzę schodkami do suterenu ratusza, pod którymi widnieje duży napis „Police station”. Tym razem nie z Francuzami mam do czynienia, więc „przyjęcie” musi się odbyć formalnie. Jako dowód osobisty służy kanadyjskie prawo jazdy. Jedyna ostra rzecz, jaką mam, to maleńki scyzoryk, który wędruje do białej koperty z uwagą: „własność K. B.” i razem z nią na gwóźdź. Ostatecznie jednak zostawiam przed kratą cały plecak, a w nim portfel, bo tym razem towarzystwo jest liczniejsze. Gdy żelazne drzwi zatraskują się z hukiem, robi się trochę chłodno koło serca, mimo że upał jest niemożliwy. Pomieszczenie nie wygląda zachęcająco: w małej salce z betonową posadzką jedną ścianę zajmują cztery boksy, drugą trzy i drzwi wyjściowe. Dwie pozostałe służą jako tablice do pisania. Spróśne rysunczki mają podpisy, jakby nie było wiadomo, o co chodzi. Przechodzę obok cel, z których widać tylko stopy śpiących. Wszystkie cele mają grube kraty, ale są otwarte. Jedna z głów się podnosi.

— Za co cię wsadzili? — pyta Murzyn z przekrwionymi oczami i świeżą szramą na policzku (niechybnie morderca)

— Ja tylko z wizytą...

W kącie znajduję wolną celę i sadowię się na piętrowym łóżku zrobionym z kilku stalowych płytów blachy. Kładę się na tej stalowej pościeli i zasypiam z głową na łokciu.

Budzę się po trzech godzinach, bo komuś zachciało się pić, a kran jest automatyczny i przy pociskaniu robi straszliwy hałas. Światło pali się cały czas i tylko wskazówki zegarka skłaniają mnie do zaśnięcia. Spragniony towarzysz jest widocznie chory, bo co chwila wymiotuje do muszli, w które są wyposażone wszystkie cele. Zamknięcie drzwi nie pomoże, bo to krata, więc zasypiam znowu mimo przykrych odgłosów. Ale nie dane jest mi wyspać się w tym gorącu. Po dwóch godzinach budzę się znowu. Facet ciągle rzyga. Odczytuję po kolei wszystkie autografy pisane kopciem na suficie: jakiś Węgier, dalej Bob Evans, dokładny adres kogoś w ST. John, Jim... Jestem na szczęście zmęczony, i ani zauważam, jak Bob Evans zaczyna mi się śnić. Jest to Murzyn ze szramą na policzku, który przychodzi do mojej celi trzymając w ręku przemyconą żyłkę.

— Nie ruszaj mnie! — Murzyn błyska białkami i przykłada żyłkę do czoła z niedwuznacznym zamiarem... Budzę się zlany potem, z głową opartą o żelazne ostalowanie pryczy. Brrr...

Patrzę na zegarek — siódma. Przyzwoicie czekam do ósmej, w celach robi się ruch. Wstaję i ja, i nieświadom więziennych zwyczajów stukam mocno w drzwi. Nie ma odpowiedzi. Jeszcze raz. Siwy i zezowaty starzec uświadamia mnie, że wypuszczą nas o dziewiątej. Okazuje się, że oprócz mnie jeszcze trzech bezrobotnych korzysta z tego rodzaju noclegu. Jednym z nich jest wyżej wspomniany starzec. Co on może robić? Więźniowie wałęsają się po małej przestrzeni między boksami, zagadują do siebie, przeglądają jedyną, ale aktualną gazetę, i dyskutują nad ogłoszeniami o pracy. Nic nie wskazuje, że za murami zaczyna się dzień. Tu świeci wieczne słońce, dwustuwatowa żarówka, upstrzona piegowato przez muchy.

Dziewiąta! Zgrzyta klucz w zamku. Podskakuję jak na sprężynie, ale to tylko śniadanie dla stałych mieszkańców. Ponieważ puciołowaty mężczyzna nie może jeść (to on wymiotował), starzec dzieli się jego jedzeniem z dandysem o przylizanych włosach i spodniach wytartych na kolanach i siedzeniu. Ja się do kompanii nie liczę, ja mam zegarek, a drugi młodzik śpi nieprzytomnie w celi. Jest już kwadrans po dziewiątej, a oni nie okazują niepokoju.

Wreszcie o pół do dziesiątej przychodzi strażnik, znowu trzask kraty (jakże słodki tym razem), i

wy-czytuje nazwiska. Kulawego młodzieńca trzeba ściągnąć z pryczy. Jest niesamowicie zaspany. Wychodzimy w dwuminutowych odstępach czasu.

Powietrze na wolności smakuje tak przyjemnie. Chłodny poranek zapowiada śliczny dzień. Szron na zacienionej stronie zakrywa wszelkie brudy. Fredericton. A może to miasto jest czyste? Rezygnuję jednak ze zwiedzania. Jedno muzeum dziennie wystarczy.

Przechodzę jeszcze raz St John River, tym razem ostatni. Tu spacer przez most trwa kilkanaście minut, a czarna woda wydaje się zupełnie nieruchoma. Tylko przejrzysta mgiełka, poranny opar, sunie majestatycznie nad powierzchnią.

Za zakrętem łapię pierwszy samochód, zabawa zaczyna się od początku, nowe mile wystukane na liczniku cudzych samochodów. Na śniadanie szkoda czasu i pieniędzy, byle dalej. Kilkanaście mil za Fredericton łapię ciężarówkę jadącą do Moncton. Porzucamy wkrótce wielką rzekę płynącą do miasta o tej samej nazwie, gdzie uchodzi do Atlantyku przez zatokę Fundy. Pogoda jest cudowna, jedziemy przez pagórkowatą okolicę pokrytą kolorowym lasem. Jaki śliczny zestaw barw prezentuje zielony liść przed opadnięciem. Kilka mil przed Moncton napis: wzgórze magnetyczne w pobliżu. Wyciągam pośpiesznie kompas, oceniam na oko, gdzie dewiacja spowodowana żelazem samochodu będzie najmniejsza, i wpatruję się w igłę magnetyczną. Rzeczywiście zaczyna się obracać. Uradowany chcę się podzielić tą wiadomością z szoferem, ale zaraz zawstydzony chowam, kompas do kieszeni. Straciłem okazję oglądania ładnego zakrętu.

Moncton, drugie co do wielkości miasto Nowego Brunswiku, w połowie przejeżdżam, w połowie depczę na piechotę. Nic nie wyróżnia ulic tego miasta ponad przeciętność. W pobliżu jest jednak miejsce, z którego można dobrze obserwować wysoką falę przyływu, nadchodzącą z zatoki Chignecto. Na przyływ nie chce mi się czekać, więc ruszam dalej i gdzieś na peryferiach wstępuję na kawę. Samą wolnością żyć nie można.

Dalszą drogę muszę składać z drobnych odcinków, każdy następny kierowca wyrzuca mnie w coraz gorszym miejscu. Tymczasem przekroczyłem granicę Nowej Szkocji, co zostało uczczone pociągnięciem za ucho. Oczywiście, że moje. Ostatni zostawia mnie o piątej po południu w lesie, w którym zamierza polować. Warunki do polowania są istotnie świetne. Dziś rano przebiegł mi drogę łoś. A te rogate głowy ze skrwawioną szyją, jadące na dachu wielu samochodów, gdzieś tutaj musiały żyć. Maszeruję zakrętami asfaltowej szosy. Co się stało z ruchem? Samochodu na lekarstwo. Czyżby Nowoszkoci oszczędzali na benzynie?

Na małym pólku w pobliżu drogi rośnie jabłonka. Zbieram kilka owoców z trawy. Kwaśne, ale dobre.

A że na pusty żołądek, najwyżej będzie rewolucja. Ze względu na pobliski domek nie dobieram się dokładniej do jabłek. Po kilkuset metrach żałuję jednak swojej uczciwości i wracam. W dalszą wędrowkę puszczam się dopiero, gdy wszystkie kieszenie są pełne. Co pewien czas spotykam chałupkę, ale do przenocowania potrzebne jest większe miasteczko. W końcu, gdy noc rozpoczyna panowanie na dobre, nie mam wyboru i aby nie zostać na kilkustopniowym mrozie, trafiam do domu, którego oświetlone okna zdradzają życie wewnątrz. Po omacku otwieram jedne drzwi, nic. Drugie, przedsionek, psa na szczęście nie ma. Za trzecimi drzwiami dopiero ciepła kuchnia. Tłumaczę gospodyni, w jakiej jestem sytuacji. Rozczuła się, że nie jadłem kolacji, ale gdyby zapytała o obiad, też by się wiele nie znalazło do opowiadania. W trakcie rozmowy wychodzi z sąsiedniego pokoju starszy człowiek o przygarbionych plecach, siwa głowa, której brak jednego oka, podniesiona i trochę przekrzywiona. Przerywa nam w pół zdania krzyżąc:

— Wynocha stąd!! Nie ma tu miejsca dla włóczęgów! Tu umarła moja żona!

Pocziwa kobieta ze łzami w oczach tłumaczy, że staruszek jest trochę przewrażliwiony, a jemu, że jestem głodny i zmarznięty. Ale „staruszek” wciąż swoje — wynocha! Wycofuję się z honorem, odmawiając nawet tradycyjnej filiżanki herbaty.

Wracam na asfalt przecięty białą linią, mającą niewyraźnie w ciemnościach. Robi mi się trochę markotnie, więc pokrzepiam się patriotycznie gwiżdżąc „Jeszcze Polska nie zginęła”. Trochę fałszywie, ale za to głośno. Cóż, szczęście zawsze każe na siebie czekać. Ja niestety nie mogę czekać, bo trochę za zimno na stanie. Jeśli nadjeżdża jakiś samochód, ustępuję na bok. Mimo to omijają mnie szerokim łukiem. Niepotrzebnie wyciągałem rękę, tylko gwizd opon słyhać na

zakręcie. I tak ciągle. Jednak doczekałem się niespodzianki: mała furgonetka Chevrolet hamuje ostro, aż od opon idzie zapach palonej gumy. Podbiegam i wsiadam dziękując szoferowi.

Ruszamy z kopyta. Od razu orientuję się, że coś jest nie w porządku. Dla pewności pociągam nosem — wódka. Kierowca wylewnie opowiada, że jest lotnikiem. Zapala światło i biorąc równocześnie ostry zakręt pokazuje mi licencję pilota: Robert Frost. Odgarnia zmierzwioną czuprynę i widzę brązowe oczy przysłonięte mgłą alkoholu. Gdy patrzy na drogę, przyglądam się jego profilowi — prosty nos i wargi na jednej linii z podbródkiem. Trzymam się mocno, gdyż siedzenie jeździ na wirażach na wszystkie strony. Możecie sobie wyobrazić, jak prowadzi pijany lotnik. Po chwili ja mu się rewanżuję pokazując moje prawo jazdy. Wywiązuje się krótka dyskusja, w której z mojej strony padają słowa:

— Tak, owszem, ma pan rację, słusznie. Dowiaduję się, że Bob jedzie do Halifaxu, czyli że mam wielkie szczęście, gdyż zamiast kilkunastu mil do najbliższego miasteczka zrobię sto pięćdziesiąt mil do mojego celu podróży. A on jest dobry człowiek i lubi młodych ludzi.

Na najbliższej stacji uzupełniamy zapas paliwa dla samochodu i kierowcy, to znaczy benzynę i coca-colę. Ale od tej chwili zmieniamy się rolami. Ja sadowię się za kółkiem, a Bob na moim miejscu. Popija coca-colę zmieszaną ze spirytusem i zachłystuje się radością z własnego konceptu. Prowadzę samochód jak na egzaminie, cały napięty. Łagodnie wchodzę w skręty i biała linia biegnie równo przy lewych kołach. Luz w kierownicy jest na pół obrotu, a hamulec działa dopiero przy silnym przyciśnięciu, ale lotnik jest zachwycony.

— Good driver! Powinieneś zostać lotnikiem.

Powoli odprężam się i jestem w stanie odpowiedzieć — uhum. Po chwili przechodzę do aha! I tak na zmianę. Mój towarzysz w stanie absolutnej błogości zaczyna opowiadać o sobie. Zabrał mnie, dał mi najukochańszy samochód i ja go wiozę do domu! Może mi dać pracę, jeśli zechcę, a teraz zaprasza mnie na noc do domu. Ma siedemnastoletnią córkę i pianino, jeśli lubię grać. Nowa Szkocja to biedna prowincja, ale on kocha Kanadę (o picciu nie wspomina) i dlatego on się cieszy i ja się cieszę, że ja go wiozę do domu...

Zza ciężkich chmur błyska na chwilę księżyc oświetlając asfaltową powierzchnię Fundy Bay. Podobno ta woda ma największe przypiływy na świecie. Cóż, jedno naj... więcej. Księżyc chowa głowę w obłoczną pierzynę, a samochód wpada w korytarz z drzew. Zaczyna kropić deszcz, więc szukam kontaktu od wycieraczki i przy okazji gaszę światła. Po chwili wszystko jest w porządku z wyjątkiem drogi. Biegnie i w dół, i w górę, i na boki, omijając skalne występy. Z prawej strony szumi jakaś woda, a wszystko przesłonięte deszczową kurtyną. Jazda jak w wesołym miasteczku. Dziwię się, że jeszcze trzymam się drogi, a Bob mamrocze:

— Dobry kierowca, wiedziałem, good boy, mówiłem.

Pojawia się więcej światełek i wjeżdżamy na inną drogę. Bob z chytrym uśmiechem tłumaczy mi, że teraz to on lepiej zna drogę, wobec czego zmieniamy się znów rolami. Nie upływa kilka minut, gdy zatrzymujemy się przy promie kursującym przez zatokę. Z drugiej strony majaczą na półwyspie światełka miasta.

— To jest Halifax — pokazuje ręką. O zaproszeniu nie ma mowy, widocznie wywietrzył trochę.

— Dziękuję za prowadzenie — mruczy — tu masz dziesięć centów na prom. — Szuka po kieszeniach i wyciąga jeszcze sześćdziesiąt pięć centów. — To na taksówkę, weź, bo deszcz pada.

— Podaje swój numer telefonu: — Zadzwoń jutro, to rozglądniemy się... ep... za jakąś pracą dla ciebie.

Prom akurat odchodzi, więc szybko wskakuję i po chwili na górnym pokładzie wystawiam twarz na słońce tchnienie Atlantyku. Po deszczu zostało jeszcze kilka wiszących w górze kropelek, a przez wymyte powietrze widać mrugające oczka Halifaxu — kanadyjskiego Gdańska. Gdzieś tam w centrum miasta kończy się king's highway, królewska droga numer dwa.

Taxi-girls

— Jak będziesz w Nowym Jorku, nie zapomnij odwiedzić taxi-girls.

Radę pamiętałem doskonale, natomiast nie mogłem sobie przypomnieć, kto mi ją dawał.

I stało się, że stanąłem na kilka dni w owym sławetnym mieście. Pierwszej nocy kołysał mnie do snu ryk syren policyjnych wozów. W Central Parku znaleziono człowieka pokłutego nożem. Mordercy rozwiali się we mgle. Znow będzie na Portorykańczyków. Ci mają najbardziej zaszarganą opinię. Dochodzenie trwa. I tak już nikt nie zapuszcza się po północy do nowojorskiej oazy zieleni, a ten przeraźliwy ryk syren może tylko napędzić jeszcze większego stracha porządnych ludziom. W każdym razie Ludwik gorąco odradza jakieś wieczorne wycieczki do parku.

Ludwika poznałem na „Batorym”, jechał w odwiedziny do rodziny w Nowym Jorku. Młodych ludzi było w tym rejsie bardzo mało, zaprzyjaźniliśmy się od pierwszego dnia. Ludwik, jak wielu polskich stypendystów, skończył studia techniczne w Moskwie. Pan magister inżynier wcale na to nie wygląda. Chłopięca twarz, włosy na króciutkiego języka, nieśmiały uśmiech. Doskonały w bridżu i ping-pongu, okazał się również doskonałym kolegą. Łaziliśmy razem po pokładzie tak, jak teraz łazimy po ulicach metropolii.

Rano jestem sam, bo Ludwik idzie na kursy angielskiego na New York University, ale taxi-girls można odwiedzać tylko wieczorem, więc chyba pójdziemy razem. Ludwik już cztery miesiące chodzi na te kursy, które ja mam w pogardzie. Uczą rzeczywiście bardzo dobrze i biorą za to odpowiednio wysokie sumy, ale najbardziej „essential English” to jest ten, z którym się człowiek spotyka na co dzień. Najpierw się nauczyć, a potem iść w świat, by sprawdzać, czy się umie, to strata czasu. Czyż nie lepiej od razu zacząć od tej esencji?

Ludwik z pewnością dysponuje większym zasobem słówek angielskich, ale od tego czasu gdy się rozstaliśmy przy nabrzeżu w Montreal, ja zebrałem zapas słów, których na pewno nie pozna na uniwersytecie. A za te czterysta dolarów, które Ludwik wydał na kurs, można by pojechać na Hawaje i z powrotem.

Na taxi-girls nie trzeba wiele, wystarczy dziesięć centów za taniec. Przy wejściu kupuje się całą taśmę kuponików. Można wtedy prosić którąkolwiek z nich do tańca. Po skończonym tańcu odrywa się kuponik i wręcza się partnerce. Można tańczyć dalej i można kontynuować dalej znajomość zależnie od kieszeni klienta i jego wymagań. Ale te pozataneczne interesy formalnie nie wchodzą w zakres działalności lokalu. Nazwa tańczących dziewczynek nie pochodzi od taksówki, która zresztą w wielu wypadkach i tak jest w użytku, ale od podatku — tax, który trzeba płacić za zawracanie głowy nogami. Tak było kilka lat temu i podobne lokale można było znaleźć przy Broadwayu.

Spacerujemy z Ludwikiem po Broadwayu o jedynej porze, kiedy tu należy przychodzić, wieczorem. Przy Times Square, centralnym punkcie tej promenady, tłumy ludzi przewalają się tam i z powrotem. Przechodnie, włóczędzy, młodociani chuligani, wszystkie możliwe narodowości, kinomani, artyści i artystki, narkomani i erotomani, businessmeni i sales-meni, wolno chodzący i szybko chodzący, dzieciaki włóczące się po pseudowesołych miasteczkach we wnękach domów i kopiące w szafy grające, żeby ruszyły, czyszciciele butów, kobiety-profesjonalistki i kobiety-amatorki, portierzy w liberiach przed wejściami kin, policjanci usiłujący utrzymać porządek przynajmniej na jezdni, szeregowi Armii Zbawienia śpiewający psalmy na rogu ulicy, żebracy i pijacy, marynarze i wojskowi, panowie w futrach, panowie w marynarkach z wystrzępionymi mankietami i dwaj panowie, którzy nie mają ani futer, ani wystrzępionych mankietów, a poszukują taxi-girls, żeby opodatkować się na rzecz Terpsychory.

Sława światła Broadwayu niesie się daleko. Wiele filmów, sztuk, opowiadań, shows i melodii nosi taką właśnie nazwę. To, o czym się marzy jako o feerii niebiańskich światła, to w większości zwykle żarówki. Osiemdziesiąt parę lat temu Edison wynalazł to świecące dziwo, a jedyną zmianą jest to, że w próżni świeci teraz włókno wolframu zamiast zwęglonego włókna bambusa. Tysiące, miliony żarówek wkręconych we frontony kin oświetlają ulicę. Z żarówek ułożone zapalające się litery, z żarówek utworzone obramowania wielkich reklam. Przechodzimy kawałek „w górę” ulicy, czyli w kierunku zwiększającej się numeracji poprzecznych ulic, kina znikają i okazuje się, że ulica jest całkiem ciemna. Ludwik usiłuje znaleźć jakąś latarnię, ale bezskutecznie. Gdyby na Times Square pogasły wszystkie reklamy, mogłoby się okazać, że trzeba chodzić po omacku.

— Chodź, wracamy, widocznie instytucja nie egzystuje pod tą nazwą, spróbujemy na nosa. Ludwik się zgodził, Cygan dla towarzystwa dał się powiesić, ale nie wyraża specjalnego entuzjazmu dla moich pomysłów.

Pod jednym z kin zator. Zaimprovizowane ogrodzenie z lin nie dopuszcza, by kotłująca się publiczność wylała się na jezdnię. Jeden za drugim podjeżdżają samochody i wysiadają gentlemen i ladies, których twarze są znane publiczności z poprzednich filmów. Tym razem kolejna premiera. To zajeżdżanie samochodów i zaraz po tym następujące błyski fleszy są tak fascynujące, że ludzie zatrzymują się w przejściu, by popatrzeć, jak wygląda artystyczny high li-fe.

— Przechodzić, no już — policjant się denerwuje, bo ci sami ludzie zawracają znowu, żeby rzucić okiem na wyfraczonych panów i futra pań.

— To na pewno tutaj — zaglądam do wejścia, od którego schody wiodą wąskim korytarzykiem do góry. Żadnych reklam, żadnych żarówek prócz tej, która oświetla wejście. Na ścianie mała tabliczka, że — „tu się tańczy”.

— Wejdziemy? — zapytałem z wahaniem w głosie. Licho wie, co za melina może się mieścić na górze.

— Zajrzyj, a ja poczekam na dole.

— No to wiesz, w razie czego...

Zacząłem wchodzić, wyobrażając sobie ryk syren policyjnych, zajeżdżające samochody, tłum ludzi, policjanta przepędzającego gapiów i błyski fleszy nad trupem wnoszonym do karetki pogotowia.

Do wysokości pierwszego piętra nic się nie zdarzyło. Wyżej już nie ma gdzie iść. Na wprost coś w rodzaju kasy. Dobrze odżywiony facet siedzi za szkłem i nic nie mówi. Po lewej drzwi; nie mam wątpliwości, że jeśli mam gdzieś dojść, to to jest jedyna droga. Przez matowe szyby sączy się niebieskofioletowe światło. Pociśnąłem klamkę, zamknięte. Z kasy na wprost podniosła się głowa. Popatrzył na mnie, od dołu do góry, od trampek do brązowej kurtki z zamkiem błyskawicznym. Nie odrywając wzroku od kołnierza mojej kolorowej flanelowej koszuli zapytał tonem, jakby mu było wszystko jedno:

— Czego tu szukasz?

— Chcę wejść.

— Sześć i pół dolara za pół godziny. Dostateczną ilość razy przeliczałem w myśli, na co mnie stać. Za zajrzenie powinny być niższe stawki.

Za szybą przesunęła się smukła sylwetka. Żeby był Ludwik...

— Tam siedzi mój przyjaciel, chciałbym z nim zamienić parę słów.

Zblazowany typ nawet nie wysilił się na odpowiedź. Pokręcił tylko głową, o — o.

Z lekkim sercem zbiegłem po schodach. Ludwik odczytywał ceny na witrynie.

— No i co?

Zgarbiłem plecy, wydałem pogardliwie wargi i o-parłem się na wyimaginowanej lasce.

— Panie kochany, takie czasy... Drożyzna!

W drodze na Florydę

— Cholernie dziś zimno — jakiś głos wyraził moją myśl. Przesłyszałem się chyba. Następne dwa słowa utwierdziły mnie w przekonaniu, że i polską mowę można usłyszeć w Nowym Jorku. Niezbyt zresztą salonowe powiedzenie. Ale już rozmawiający mężczyźni zniknęli za drzwiami jednego z kin. W środku zimy tylko na południu jest ciepło, medytowałem, dlaczego więc nie pojechać do tropików, autostopem oczywiście, mruknąłem do przechodzącego Murzyna, sprawdzającego grubość portfela.

Zniknęły już drapacze chmur widoczne jeszcze w New Jersey, a przed szybą samochodu układały się proste linie szosy, zbieżne w jednym punkcie, gdzieś na horyzoncie. Turnpike to właściwie coś lepszego niż szosa, to autostrada doskonale utrzymana, odgradzona i wyrzucona poza nawias lokalnego ruchu, omijająca miasta lub przechodząca przez nie tunelami lub na mostach. W zasadzie na turnpike'u nie wolno się zatrzymywać i autostop jest zabroniony, ale stojąc na bocznym dojeździe lub przed wjazdem, gdzie się płaci (niewiele jest rzeczy w tym kraju, za które się nie płaci), można złapać długą jazdę. Udało mi się zatrzymać starą ciężarówkę jadącą nad podziw

szybko. Z przyjemnością zawarłem znajomość z tego rodzaju szosą o dwupoziomowych skrzyżowaniach. Przyjemność się trochę zmniejszyła, gdy kierowca zostawił mnie na skraju ślicznej drogi, skręcając w stronę jakiegoś małego miasteczka.

Uparłem się żeby tej nocy dojechać do Waszyngtonu, a że w zimie zmrok zapada wcześniej, stałem na brzeżku asfaltu, oświetlany co chwila reflektorami nadlatujących samochodów. Międzynarodowy znak autostopu — wyciągnięta ręka (nie mylić z żebrakami), najwyraźniej poskutkował. Kłopot tylko z tym, że pierwszym samochodem, który się zatrzymał, był wóz policyjny.

— Połóż to na tylne siedzenie — powiedział policjant wskazując na mój worek żeglarski — a teraz ty.

Drzwiczki czarnego samochodu zatrzasnęły się. Z zewnątrz wyglądał zupełnie zwyczajnie, pomijając czerwone światło na dachu, ale wewnątrz stwierdziłem z pewnym niepokojem, że przednie i tylne siedzenie jest przedzielone pokaźną kratą i w dodatku brak wewnętrznych klamek.

— Identification please!

Podaję mu prawo jazdy. Ruszamy. Policjant konferuje z bazą przez radiotelefon. Przejechaliśmy jakieś wertepy, ciemne skrzyżowanie, jakieś budynki. Czyżby więzienie? Nie, straż pożarna. Wkoło nie widać żywej duszy.

— Okay, możesz iść — otwiera drzwiczki z nieco uprzejmiejszym gestem niż poprzednio. Rozejrzałem się i przypomniała mi się ciuciubabka: babciu, babciu, gdzie stoicie?

— Jakąś milę w tę stronę — glina wskazał kierunek — powinieneś znaleźć zwyczajną drogę do Waszyngtonu. A nie próbuj wracać na turnpike.

Zarzuciłem na ramię mój dobytek. Trudno, nie mam warunków na amerykańskiego chuligana. Do stolicy zostało mi głupie kilkadziesiąt mil, a tu jak na złość nie zdążyłem się zaopatrzyć w mapę tej okolicy.

Przed małą tawerną kilka dróg rozbiegało się w kilku kierunkach. Wybrałem najlepiej wyglądającą. Po chwili odwróciłem się na odgłos hamującego samochodu.

— Jak daleko jedziesz? — padło pytanie zza opuszczonej szyby.

— Waszyngton.

— Powodzenia — roześmiał się niewidoczny szofer — masz jeszcze trzydzieści mil, tylko że w przeciwną stronę.

Dojechałem jednak tej nocy do Kapitolu i nazajutrz całe rano spędziłem w uroczej galerii sztuki, przewyższającej o niebo nowojorski odpowiednik. Po południu wyszedłem z National Art Gallery, olśniony „Sakramentem” Dali i „Dziewczętami” Degasa, na Pennsylvania Avenue, szeroką ulicę z budynkami o pięknych fasadach, przynajmniej z jednej strony. Zlekceważyłem prezydenta rezygnując z wizyty w Białym Domu i zostawiłem na uboczu wysoki obelisk Washington Monument. Zazwyczaj zobaczywszy jedno miasto amerykańskie można mieć wyobrażenie o innych, wszystkie wyglądają identycznie, ale Waszyngton przynajmniej w tej dzielnicy zadziwia przestrzennością, wielką ilością skwerów i zieleńców i nade wszystko bardziej europejską architekturą.

Małe miasteczko leżące przy highway 301, sławnej jako szlak Północ—Południe, udzieliło mi gościny tej nocy. Nazwa wyleciała mi z głowy, w każdym razie było to w Wirginii. Gdzieś po dziesiątej ostatni kierowca tubylec, mający domek w tej mieścinie, oświadczył, że hotel YMCA tu nie istnieje.

— Możesz iść do misji — powiedział.

— Takie miejsce dla ubogich, możesz tam przespać darmo albo bardzo tanio.

Po chwili pukałem do drzwi dwupiętrowego ceglanego budynku, na którym widniał napis City Mission, żebracy nie żebracy, nowe doświadczenie mile widziane.

Po kilku schodkach w ciemnym korytarzyku! wszedłem za moim cicerone do niewielkiego pokoiku, komórki prawie, ogrzanego przez żelazny piecyk, na którym stał dzbanek, jak się okazało, z kawą.

— Trochę późno — powiedziała gruba niewiasta w kraciastej spódnicy, najwyraźniej sprawująca rolę dyrektora tej instytucji. — Mamy jakieś łóżko dla niego? — zapytała mojego przewodnika i nie

czekając na odpowiedź rzuciła: — Pokażesz mi drogę, Bili.

Posiedziałem z kwadrans, rozmawiając przyjemnie z pryncypałem i delektując się gorącą kawą. Prócz nas w pokoiku siedział dziadek z przymkniętymi oczami i nogami wyciągniętymi w stronę piecyka.

Najważniejszym sprzętem był tu bez wątpienia stół z dużą czarną książką, gdzie zostało zapisane moje nazwisko. Formalność została dokonana, kobiecina zamknęła książkę. Teraz dziadek otworzył oczy i zaczął wypytywać, co, jak i dlaczego. Czyżby przedstawiciel związku zawodowego jak u Brechta? Moje opowiadanie nie było zbyt prawdziwe, ale znalazło uznanie w oczach tego niewielkiego audytorium — barwnie i wzruszająco zrelacjonowałem swoje życie. Dziadek szeroko ziewnął, co było widocznie sygnałem do pójścia spać. Bili wstał otwierając drzwi.

— Dobranoc — mruknięło uprzejmie towarzystwo w odpowiedzi na moje good night.

Postępowałem za Billem, uważając, by się nie potknąć o wystające z podłogi deski. Na ścianach farba poodpadała tu i tam pokazując szarą podkoszulkę tynku. Gdzieniegdzie i goła ściana przeświecała. Wszystko to w słabym świetle brudnych żarówek.

Maszerując na pięterko minęliśmy parę drzwi, z których zostały tylko futryny. Spod dywaników zasłaniających otwory wejściowe dobiegało chrapanie. Bili zatrzymał się i uchylił kilim.

— Tutaj masz wszystko — wskazał na jeden z kątów. Kurtyna zapadła i powoli oswajając wzrok, po omacku dotarłem do narożnej pryczy. Nieznani towarzysze spali, co nie znaczy, że zachowywali się cicho. W powietrzu pełno było czegoś, co przez skojarzenie można by nazwać „Soir de Virginia”. Myśl o rozebraniu się zamarzyła mi w głowie. Przyszedłem zbyt późno i dla mnie ciepła już nie było. Teraz dopiero zauważyłem okno, a na nim białe kwiaty, robota mrozu. Nie jest jeszcze tak źle; skuliłem się pod wytartym kocykiem. Cuda opowiadają Amerykanie o swojej działalności charytatywnej — przyszło mi do głowy. Budząc się kilka razy, doczekałem do rana.

Teraz nie wiedziałem, co powinienem zrobić. Czy dziękować komu, czy po cichu się wynieść. Wprawdzie było jeszcze dość wcześnie, ale nie udało mi się zasnąć. Po siódmej wyszedłem do łazienki. Ucieszyłem się widząc Billa, wprawdzie w pozycji niezbyt nadającej się do prowadzenia rozmowy, zawsze jednak znajoma twarz. Bili nie czuł się wcale skrępowany, więc zapytałem, jak właściwie powinienem postąpić.

— Idź na dół, dostaniesz śniadanie — odpowiedział z godnością monarchy siedzącego na tronie. Przemylem oczy, zostawiając resztę na lepszą okazję. Gdy wychodziłem, Bili nawiązał konwersację z towarzyszem siedzącym na sąsiednim sedesie. Zszedłem po skrzypiących schodach. Tak, tu jest wyjście, w przeciwną będzie pewnie jadalnia. Indeed. Salka przyćmiona dymem papierosowym, krzesła ustawione pod ścianą i wzdłuż baru. W kącie telewizor, w którym obraz ciągle uciekał. Kilku zaspanych mężczyzn, zażarcie kurzących papierosy, kiwnęło głowami na moje powitanie. Siadłem przy kontuarze kładąc worek koło nóg.

— Ile zjesz kromek? — zapytał kuchcik, którego młodość skończyła się kilkadziesiąt lat temu. Czulem się na dziesięć, ale jakoś nie wypadało.

— Dwie.

Po chwili miałem kubek kawy i dwa tosty posmarowane masłem.

— Jeszcze?

— Nie, dziękuję..

Nie, nie byłem zawodowym włóczęgą i teraz stwierdzałem brak zasadniczych kwalifikacji.

— Ile płacę? — zapytałem, czując, że się czerwienię.

Mężczyzna zza kontuaru popatrzył uważniej i pokręcił głową.

— Nic.

Odsunąłem wysokie krzesło i opuściłem zgromadzenie misyjne. Ktoś mruknął za mną good luck, boy.

Jeszcze tylko dziesięć kroków i będę na zewnątrz... wpadłem na Billa, który wyszedł z bocznego korytarzyka. Był najwyraźniej w dobrym humorze. Pewnie to ta sprośna historyjka, której początek słyszałem w łazience. Zobaczywszy mnie, zmarszczył brwi i położył mi rękę na ramieniu.

— Uważaj, chłopcze, na gliny, bo nie opatrzysz się, jak będziesz siedział. Oni hitchhikerów wylapują...

— Balona ze mnie strugasz — uśmiechnąłem się niedowierzająco; tyle już przejechałem i nic.

— Nie bądź taki cwaniak, pamiętaj, że w naszym stanie autostop jest zabroniony. Mój kumpel dwa tygodnie robót dostał.

Wzruszyłem ramionami, podziękowałem za przestrozę i wyszedłem na ulicę pełną porannego słońca. Przyjemnie było odetchnąć świeżym powietrzem po dusznej atmosferze misyjnego przytułku. Poranny mroźnik delikatnie drapał w gardło. Samotni ludzie spieszący do pracy i wzmożony ruch samochodowy — oznaki zwykłego dnia roboczego. Ciekawe, czy policja też zaczyna pracować od ósmej? Chyba nie będę musiał sprawdzać, czy Bili miał rację. Do granicy stanu zostało zaledwie kilkadziesiąt mil.

Główna ulica wychodząca z miasteczka prowadziła pod wiaduktem. Wyciągnąłem rękę znanym ruchem. Robi się przyjemnie ciepło, promienie słońca zostają na ręce. Worek wydaje się dzisiaj lżejszy. Pełen nadziei nie przejmuję się dziesiątkami samochodów, które przejeżdżają obok. Cofając się wolno, wszedłem między wysokie słupy wiaduktu. Trochę tu zimniej, mróz trzyma się cienia. W sznurze samochodów zauważyłem antenę nieco dłuższą niż inne. Policja! Odwracani się i szybko wchodzę za jeden z filarów. Czarny samochód z syreną na dachu i godłem stanowym na drzwiczkach przejeżdża cicho i co najważniejsze bez zatrzymania. Zaprzepaściłem szansę pracy za darmo przy wyrębie lasu lub budowie dróg. Ale czy żałować? Może się jeszcze nadarzy okazja.

Z odległości czasu, nawet dwóch dni, zacierają się twarze spotykanych kierowców, rozmowy tracą swoją ważność. To, co w danej chwili było atrakcyjne, nie ciekawi we wspomnieniach. Zapadły w cień niepamięci postacie prowadzące samochody z tabliczką Karolina. Ale młodego Murzyna na 301 pamiętam doskonale. Zatrzymał się tuż przy mnie w starym Plymouthie z odkrywaną budą. Z siedzenia i oparcia wozu przez liczne dziury przeświecały wnętrzości. Brązowy lakier zadrapany w wielu miejscach nie świadczył najlepiej o właścicielu. Grubowargi kierowca, lat gdzieś około dziewiętnastu, wyciągał całkiem niezłą szybkość z tego grata. Wiatr wpadał z boków przez zrolowane szyby, może rozbite, i wydymał budę grożąc zerwaniem. Po chwili odezwał się znienacka:

— Kupisz mi benzynę na najbliższej stacji.

Uszom własnym nie wierzyłem. Chyba dobrze zrozumiałem, dość już angielskiego się osłuchałem. Aż mnie zatkało z oburzenia na takie dictum. Murzyn skinął głową.

— Yeah!

— Jeśli tak sprawę stawiasz, wysadź mnie natychmiast!!

— Potrzebuję pieniędzy — uparcie patrzył przed siebie i nie zwalniał. Ton głosu nie pozostawiał wątpliwości, że właśnie dlatego mnie zabrał. Byłem wściekły. Taksówka czy co?

— U mnie pieniędzy się nie spodziewaj!

Z daleka ukazała się stacja benzynowa przy bocznej drodze, jakiś kilometr w prawo. Uparciuch skręcił nie zatrzymując się. Zmarszczył brwi i użył ostatniego argumentu.

— Ten samochód jest kradziony i jeśli mnie złapią, ty będziesz siedział także.

To mnie rozśmieszyło.

— Nie boję się, już siedziałem.

Plymouth zatrzymał się przy pompach Gas Station. Mężczyzna w zielonym kombinezonie podszedł ze stereotypowym — yes sir.

— Benzyny za trzy dolary, please — jakże mu się głos zmienił. Coś się w nim załamało. — Dojadę na tym do Fayetteville?

Mechanik coś odpowiedział, wycierając przednią szybę.

Ruszyliśmy, kierując się w stronę autostrady. Pokręcona siatka dojazdów zaprowadziła nas w jakiś lasek. Trzeba było zapytać, bo choć to blisko, można się łatwo pomylić i pojechać w złym kierunku. Murzyn całkiem się rozkleił, a ja patrzyłem zdziwiony.

— Moja matka leży w Fayetteville... chora... — słowa wpadały na siebie i załamywały się.

Usiłowałem połapać się w południowym slangu. Zauważyłem, że jedziemy już niewłaściwą drogą.

— ...dlatego ukradłem samochód... — nie odwracał głowy, ale widziałem błyszczące w oczach łzy. Pewnie udaje, pomyślałem.

— ...może dojadę tych kilkadziesiąt mil... — miał minę zdesperowaną i patrzył tak smutno, że żal

mi się go zrobiło. Właściwie nie miałem żadnego powodu, by mu wierzyć, ale ten człowiek był rzeczywiście nieprzytomny z rozpaczy. Z prostej wskazówki otrzymanej parę minut temu łatwo było znaleźć właściwy dojazd. On się zgubił. Zapytał jeszcze raz i znowu pojechał w niewłaściwym kierunku. Kluczyliśmy tak dłuższą chwilę. Tym razem droga prowadziła prosto i wjechaliśmy na autostradę.

— Jesteśmy, tu cię zostawię, sam rozumiesz, nie mój samochód — próbował się uśmiechnąć — i... przepraszam.

— Good luck! — krzyknąłem za odjeżdżającym gruchotem szczerze, ten chłopiec potrzebował trochę więcej szczęścia. A jeśli to wszystko była lipa, a ja się tak naiwnie rozczuliłem? Też mu się nie poszczęściło z takim pasażerem jak ja. Mam jednak nadzieję, że do Fayetteville dojechał nie rozbiwszy się na żadnym zakręcie, zanim policja zdążyła go złapać. Good luck, powtórzyłem już bardziej dla siebie i odwróciłem się w stronę, skąd ja spodziewałem się szczęścia, skąd nadjeżdżały samochody.

Cały dzień spędziłem z kobietą w samochodzie. Brzmi nieźle. Był to uśmiech fortuny i niespodzianka na wielką skalę. Tego ranka zdarzyło mi się więcej iść piechotą niż jechać, wciąż na południe. O kobietach za kierownicą miałem wyrobione zdanie, niezbyt chwalebne, może pozbawione racji, ale udokumentowane kilkoma przykładami. Nigdy też nie łudziłem się nadzieją, że taka czy inna może zabrać włóczęgę, czy jak tam chcecie nazwać ludzi o nieokreślonym zawodzie i podejrzanym osobowości, jakich pełno kręci się po drogach. Nic zresztą dziwnego. Nawet większość mężczyzn wyraża zdumienie, że znajduje się ktokolwiek, kto podwozi lebków. Opinia hitchhikerów jest bezustannie szarpana, ponieważ jakiś tam promille zostawił swego dobroczyńcę w rowie z rozbitą głową, a sam odjechał jego samochodem. Ale pozostałych 999 ma zamiary jak najbardziej uczciwe, przynajmniej w stosunku do tego, który ich przewozi.

A jednak autostop nie zawodzi. Odpowiedź jest prosta. Kto raz próbował tego sposobu podróżowania, do końca życia będzie się zatrzymywał na skraju szosy na niedbałe skinienie, kimkolwiek byłby ten, kto wyciąga rękę. Rozczarowań na szlaku nie zapomina się łatwo. I rozkosz ciepłego wnętrza samochodu, pędzącego przez mroźną, pustynną noc, pamięta się długo. Osobną kategorię stanowią typy, które widzą . w tym interes bądź szukają ludzi do wyjątkowo nisko płatnej pracy, bądź potrzeba im partnera do swojego rodzaju rozrywek. Czasem jest to litość nad zmarzniętym biedakiem, czasem zmęczenie. Wtedy właściciel oddaje kierownicę nieznanemu, sam odpoczywa drzemiac obok, a potencjalny bandyta wiezie go setki mil na drodze do jego celu. Do tej kobiety te kategorie nie pasowały.

Chevrolet 59 ruszył sprzed hotelu i wielkim łukiem wyjechał na szosę. Szedłem poboczem i kiwnąłem ręką. Po prostu pozdrowienie, które było równocześnie pożegnaniem. Mały chłopaczek, siedzący obok matki, odkiwnął. Zapiszczały hamulce w skręcie. Tak to bywa, jak kobieta siądzie za kierownicą. Maszerowałem dalej. Wóz cofał się wolniutko. Jeszcze nie wierzyłem. Dzieciak przegramolił się na tylne siedzenie, zostawiając otwarte drzwiczki. Mama trzymała nogę na hamulcu.

— Siadasz czy nie?

Momentalnie znalazłem się w środku. Automatyczna zmiana biegów, stwierdziłem, widząc brak sprzęgła. I zgrabne nogi. Rozmowę zaczął mały, gestami podkreślając doniosłość swoich słów. Patrzył rezolutnie niebieskimi oczyma i odgarniał co chwila blond czuprynkę. Trzeba słuchać małego, widocznie on jest najważniejszą osobą. Strzałka tachometru przeskoczyła 60, 70, 80. Zatrzymała się pomiędzy 80 i 90. Przeliczyłem szybko: ponad 130 km/godz. Rozpiąłem guzik od koszuli, żeby swobodniej oddychać. Katastrofa nie następowała. Każde wyprzedzenie było miękkim łukiem, który nie załamywał się nawet, gdy z przeciwnej strony nadjeżdżał inny wóz. Czarny Chevrolet był zawsze w porę na swoim pasie. Babka milczała, a ja dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, że synek bez przerwy coś opowiada. Ależ ta kobieta jedzie, musiałem się kajać w myśli. Niecodziennosc takiego prowadzenia (znowu przyhamowanie w odpowiednim momencie) sprawiła, że zapomniałem o pierwszym wrażeniu, zdumieniu. Teraz pozostał podziw. Dowiedziałem się, że jadą z Cincinnati w Ohio na dwutygodniowe wakacje, by przy okazji załatwić jakiś interes spadkowy w Miami. Jadę na Florydę!! Bóstwo za kierownicą nie było specjalnie

piękne, ale na jedno skinienie byłem gotów całować pedał hamulca, który łagodnie przyduszała. Łatwo ocenić, że z taką szybkością wieczorem przekroczymy Sunshine State, gdzie rosną palmy, których nie trzeba podlewać.

Georgia powitała nas pochmurną pogodą, jakby potwierdzając swoją ponurą opinię. Za oknami bagna porośnięte rzadkim lasem. W tej mieszaninie konarów oplatanych włosiem, hiszpańskim mchem, firankami szarego pasożyta, trudno dojrzeć coś zielonego. Wszystko tu jest szare, szarobrazowe, całe mile asfaltowej szosy biegnącej na wysokim nasypie poprzez błota. Po obu stronach migają lusterka wody. Co większe drzewa rozkraczyły korzenie i tak stoją umierając z nadmiaru wody.

Mały Lenny bez przerwy opowiada o konfederatach. Wczoraj był z mamą w jakimś przydrożnym muzeum i nasłuchał się krwawych opowiadań, jak to Jankesi prali południowców. Pokazuje na zdjęciu (jak taką szopę można nazwać muzeum?) różne rodzaje broni. Tak, to mu się podoba. Pif, paf, palce zastępują pistolety, strzelby, armaty. W Georgii znów walka.

Dojeżdżamy do Savannah, miasta, które można odnaleźć w każdym podręczniku historii, gdzie mowa o Pułaskim. Miasto nie przedstawia się zachwycająco. Przejechaliśmy szybko, ale chwila była dostatecznie długa, by zauważyć okropne budy, trudno to nazwać domami, w których mieszkają Murzyni. A smród z jakiejś fabryki nie do zniesienia, zginąć można. Jeśli nie to było przyczyną śmierci Pułaskiego, to chyba tylko dlatego, że źródła zapachów wtedy nie było.

Wytworny Chewy nie pasuje do tego otoczenia. Od razu mi to przypomniało, co jeden z amerykańskich znajomych opowiadał o Murzynach. Właśnie oni mają manię kupowania najwykwintniejszych samochodów. Mogą nie jeść, nie spać, pracować do utraty sił — mówił — mieszkać w chlewiku (widać jeszcze w tylnej szybie taką lepiankę), ale muszą mieć nowy, błyszczący model produkcji danego roku. Muszą mieć też wyczyszczone buty, lśniące nie gorzej od auta, i cygaro.

Refleksje, gaworzenie Lenny'ego, wszystkie odgłosy zostały zagłuszone przez burczenie żołądka. Widocznie było słyhać, bo wkrótce stanęliśmy przed małą restauracyjką. To było coś, o czym marzyłem. Tylko jak teraz zachowa się mama? Siedliśmy we trójkę jak w rodzinnym gronie w nowocześnie urządzonej wnętrz. Zamówiłem dla siebie to i owo, nie nazywam tego jedzeniem, bo najeść się tym nie można. Tak już jest z amerykańskim jedzeniem. Czuję, że mama zapłaci za mnie, ale tym bardziej poczułem się zażenowany, gdy tak się stało. Hm, istotnie na rodzinę by to wyglądało. O zwrocie mojej części nie było mowy.

— Oszczędzaj — powiedziała krótko. Ruszyliśmy dalej z taką samą szybkością. Mnie już zaczęły powieki opadać na zero, a ta kobieta prowadziła jak szatan i jakby dopiero przed chwilą wyjechała z Cincinnati.

Florida state line, 6 miles, wielka tablica i... już. Pociągam się za ucho. Stan słońca i pomarańczy. Konstatuję, że jest zupełnie ciepło mimo wieczornej pory, a czyste niebo i rąbek słońca reklamują krainę lepiej niż tysiące sloganów na przydrożnych słupach. Na wjeździe aleja wysadzana palmami, żywy znak tropikalnej flory. Tablice informacyjne wycięte w kształt Florydy, z wypisanymi na nich numerami drogi, prowadzą do Jacksonville. Lenny zaczyna się drzeć:

— Mamo, chcę się kąpać w oceanie!

Nie wypada mi wrzeszczeć — ja też! — ale mam na to wielką ochotę.

Przejeżdżamy przez miasteczko, do wybrzeża tylko dziesięć mil, kilka minut. W naszym pędzącym światku sytuacja wydaje się napięta. Zastanawiam się, czy to z powodu ciemności. Lenny szuka lunety i po ciemku nie może jej odnaleźć. Jestem pewien, że jej zniknięcie pójdzie na moje konto. A babka chyba setnie zmęczona.

— By — miły uśmiech szofera. Wsiadam na drodze 1A1 biegnącej wzdłuż brzegu, słyhać szum oceanu, *po* obu stronach wysokie palmy.

— Thanks — to wszystko za całodzienną jazdę. I mało, i dużo. Nie potrafiłem nic więcej wykrztusić. A tyle chciałem powiedzieć.

Czerwone światelko zniknęło wraz z samochodem, uciekły wszystkie troski hitchhikera. Są tylko palmy, szum Atlantyku i piasek pod nogami. Rozłożenie namiotu za wydmą to tylko chwilka, a jeszcze tak małego, to bardzo mała chwilka. Zrzuciłem z siebie ubranie i pobiegłem do słonej wody.

Pluskam się długo i nie marznę. Błogosławiony Golfstrom. W świetle księżyca widać nadbiegające fale, które zostawiają gorycz w ustach i pieką w oczy.

Zmyłem z siebie pył Wirginii i brud Karoliny. Ręcznik nie był potrzebny, głowę wystawiłem pod olbrzymią suszarkę, pasat północno-wschodni. How nice! Księżyc wielki jak pomarańcza uśmiechnął się pełną gębą. A może księżyc mnie tylko małpował. Gdyby był tu ktokolwiek, też by się chyba uśmiechał, patrząc, jak nagi łazik szczyrzy zęby do księżyca.

Pilot

Tego dnia panował upał. Wracalem z plaży z ręcznikiem przewieszonym przez spieczony kark i przyglądałem się kolejno smukłym jachtom i szerokim motorówkom kiwającym się w basenie jachtowym. Lekki podmuch idący od strony zatoki przynosił zapach morza i trochę ulgi od przyćmionego jakby, ale ciągle prażącego słońca. Przy długim drewnianym pomoście siwy, opalony mężczyzna gdzieś pod sześćdziesiątkę mocował cumę na dużej motorówce. Krótkie spodnie zakrywały do kolan żylaste, białe nogi. Podeszedłem bliżej do małego stateczku, błyskawicznego chromowanymi okuciami.

— Hallo, captain.

— Oh... hallo — uniósł siwą głowę. Oczy zwięzły się w przyjaznym uśmiechu, okolone głębokimi zmarszczkami.

— Podoba ci się? Kiwnąłem głową.

— Ale mimo wszystko wolę jachty, żagle to coś bliższego sztuki...

— O... wobec tego pozwól do środka. I ja tak mówiłem, gdy byłem młodszy. Ale na stare lata człowiek chce mieć trochę więcej komfortu — stary kapitan odsunął drzwi — you're welcome aboard.

Schylając głowę, wszedłem do środka. Kompas zakryty białą czapką, skrzyneczka automatycznego pilota obok koła sterowego i przyrządy meteorologiczne na ścianie. Rzut oka na radiotelefon i kapitan zaprasza do mesy. W saloniku kanapka i miękkie foteliki. W oszklonej szafce brzęczą cichutko szklanki, wzdłuż ścian okna o grubych szybach. Na prostopadłej do nich ścianie duża fotografia żaglowca...

— To ci chciałem właśnie pokazać — dotknął brązowym palcem ramki — na tym szkunerze spędziłem kilka lat, żeglując między wyspami Pacyfiku.

Przyjrzałem się uważniej zdjęciu. Kilku ludzi załogi z głowami jak kropki i potężne dwa maszty strzelające nad długim, smukłym kadłubem, przedłużonym jeszcze bukszprytem. Płótna olbrzymich żagli, nie mogące pomieścić się między dziobem i rufą, ciągną koniec bomu głównego żagla daleko za rufą.

— ...to był jeden z ostatnich żaglowców służących do połowów ryb, ale mój ojciec robił pieniądze biorąc na pokład bogatych turystów... By the way, czy mógłbyś skoczyć przed deszczem do cafeterii po papierosy dla mnie?

— Przed deszczem...?! — wyskoczyłem na dek.

— Cafeteria jest między drzewami na zakręcie bulwaru — zawołał za mną eks-żeglarz.

Spojrzałem w niebo, po którym przesunął się z wolna potężny wał skłębionych, czarnych chmur, grożąc zagładą słońcu. Skąd się to wzięło — myślałem, maszerując bulwarem między szeregiem palm chylących się w pierwszych podmuchach wichury. Szelest długich, wąskich liści wyprzedzał szum ulewy. Do łodzi dobiegłem z pierwszymi grubymi kroplami, lecącymi spod sinych strzępów pędzonych przez gorący oddech burzy.

Kapitan siedział na tym samym miejscu, wyciągnawszy nogi na niskim stołeczku.

— Burza szybko przejdzie. Na razie bądź moim gościem — uśmiechnął się, przy czym grube zmarszczki zbiegły się promieniście w kąciakach oczu. Deszcz bębnił twardo w nadbudówki, a wygięte palmy kłaniały się przy każdym szkwaliku.

— Różne były koleje tego jachtu — kapitan wypuścił kłęb dymu w stronę fotografii — ale jeden moment mam ciągle w pamięci. To był mój pierwszy samodzielny rejs, a byłem wtedy

dwudziestoletnim szczeniakiem. Ojciec został w Nowym Orleanie i powierzył mi starą, bogatą lady z Iowy, która chciała zobaczyć Zatokę Meksykańską. Mieliśmy cudowną pogodę, trochę tylko rozkołysu zostało po ostatnim sztormie. Zresztą mimo młodych lat miałem dość dużą praktykę na „Kawalerze”... „Cavalier” nazywał się mój szkuner — powiedział jakby do siebie, wpatrzony w spopieliałą koniec papierosa.

Licho nadało tę dystyngowaną damę. Choroba morska jakoś się jej nie miała, więc siadywała na deku w czarnej mantylce, zapatrzona zawsze w horyzont, jakby oczekiwała ukazania się Latającego Holendra. I właśnie gdy płynęliśmy wzdłuż wybrzeży Meksyku, kilkadziesiąt mil na północ od Tampico, lady uparła się zobaczyć z bliska pueblo, które znalazła przez lunetę, przyklepione do stromego zbocza. Ot, kupka glinianych domków na wzgórzu. Małe miasteczko o pokręconej nazwie, której już dawno nie pamiętam, leżało u ujścia sporej rzeczki i z pewnością miało port, ale schowany w lagunie. Dostępu broniła poprzerywana w wielu miejscach bariera skał, znacząca się białą, grzywiastą wstęgą przyboju. Zrzuciliśmy żagle i przeszliśmy na motory. Usiłowałem jej wytłumaczyć, że nie znam przejścia, ale powiedziała:

— Ojciec powiedział, że można na tobie polegać...

Powiedziała to z takim ironicznym uśmiechem, że nie pozostawało nic innego, jak czekać na najwyższą wodę. Na szczęście spomiędzy fal wyskoczyła nieduża, ale stateczna i szeroka łódź.

Pilot! Odetchnąłem z ulgą. Po chwili na pokład wskoczył mężczyzna o kruczych włosach, odziany w białą koszulę i także spodnie. Meksykański pilot o ciemnej twarzy. Zaczął coś żywo opowiadać gestykulując rękami i wskazując na miasteczko ponad bryzgami wody tłukącej o głązy. Niestety, mój hiszpański był wtedy bardzo kiepski, prawdę powiedziawszy, znałem zaledwie kilkanaście słów. Właściwie piloci powinni znać angielski — myślałem.

Nie dałem dłużej gadać krzykliwemu pilotowi, tylko pokazałem mu koło sterowe.

Przejście było paskudnie wąskie, kilkanaście stóp dzieliło nas od ostro zakończonyj skały, wystającej jak ogon wielkiego rekina. Ale po chwili byliśmy na gładkiej lagunie.

— Na „Cavalierze” jest pani zawsze i wszędzie bezpieczna — powiedziałem dumnie, pomagając zgryźliwej damie wysiąść z łodzi. Od małego białego budyneczku naprzeciwko nadszedł wysoki mężczyzna w białej czapce z czarnym daszkiem.

— Odważnie pan żegluje, captain — powiedział poprawną angielszczyzną — rzadko się zdarza, żeby tak duże jachty zachodziły do tego portu. Czy był pan tu przedtem?

— Nie. Pan jest przystaniowym?

— Przystaniowy siedzi tam — pokazał palcem biały budyneczek — ja jestem pilotem.

— A to kto? — wskazałem na mojego pilota, cumującego właśnie łódź.

— Och — machnął ręką — to jeden z najbardziej natarczywych handlarzy w miasteczku. Z pewnością będzie oferował panu...

Nie słuchałem go. Patrzyłem na „Cavaliera”, który spokojnie stał na kotwicy. Nie wiem do dziś, czy stara lady słyszała wszystko, ale jestem pewien, że na twarzy miałem nie tylko opaleniznę...

— Młodość jest zarozumiała — zakończył sentencjonalnie kapitan strząsając popiół ze spodni.

Ulewa się skończyła tak nagle, jak przysła i znowu błysnął błękit.

— Czas na mnie — powiedziałem wstając.

— Wpadnij czasem, porozmawiamy o żaglach — uśmiechnął się stary.

Judy

Bardzo nie lubię piwa. Zresztą mniejsza z tym. Chyba prawdą jest, że dziewczęta na Florydzie są bardzo miłe, a Judy jest wysoką szatynką o niebieskich oczach i białych zębach. Uśmiech ma czarujący z prawej strony. Z lewej strony zęby są trochę wykrzywione. Ale ja nie jestem wymagający. Pod jasną cerą rysuje się szczeka w ustawicznym ruchu żująca gumę. Gummy też nie lubię żuć, ale Judy mi się podobała.

Spotkaliśmy się przypadkowo, dzięki wspólnym znajomym, i Judy zaprosiła mnie na bowling, co jest, zdaje się, odpowiednikiem kręgli. Z jednej strony wielkiej hali automaty ustawiające kręgle, z

drugiej strony publiczność i zawodnicy przed długimi pasami, po których toczą się wielkie bile, by rozbić trójkąt z kręgli, ustawiony wierzchołkiem do przodu. Nie mam pojęcia o bowlingu i nigdy nie uważałem kręgli za sport, ale tego wieczoru siedziałem na kobiecych zawodach drużynowych entuzjastycznie się każdym strikiem (rozbięciem trójkąta za jednym uderzeniem). Większość kobiet ma ponad trzydziestkę, ale Judy ma lat dwadzieścia jeden i zgrabną sylwetkę. Pochyla się teraz, chwilka skupienia czy modlitwy (usta są w ciągłym ruchu), parę kroków rozbiegu i kula leci jasną parkietową ścieżką. Jedną ręką wyciągniętą za kulą, drugą wzniesioną do tyłu, trochę to przypomina dyskobola, któremu się pomylił kierunek rzutu. Między butelkowanymi kręglami zamieszanie.

— Strike! — posyła mi całusa. Po chwili siada obok zakładając nogę na nogę i częstuje mnie:

— Chewing gum?

— Thank you — biorę do ust ten nieodłączny atrybut amerykańskiej młodzieży (przed chwilą wyrzuciłem poprzednią). Trzeba przyznać, że wymowa angielska jest łatwiejsza, gdy się trzyma coś w ustach.

Judy wspomniała coś o piwie po skończeniu meczu. Tutaj zaprosić dziewczynę na piwo znaczy to, co u nas na kawę, więc wchodzimy do małego baru z wysokimi krzeselkami wkoło kontuaru. Jak powiedziałem, piwa nie lubię, ale babka jest przystojna, więc zamówiłem po puszcze Schlitz (w Ameryce trzyma się piwo raczej w puszkach niż butelkach).

— Dobrze, czyż nie? — pyta mlaskając głośno ciastowatą gumą. Zamieniono nam więc puste puszkę na pełne. Automat w kącie skończył kolejną melodię, jeśli melodią jest rytmiczne tłuczenie w kredens pełen porcelany i wrzask podrostrka przechodzącego mutację. Niestety, skończyły mi się „quartels” potrzebne do automatu, więc śmieję się zadowolony, siorbiąc głośno pianę, tak jak to robi moja towarzyszka. Ale Judy jest urocza, puszcza oczko do starszego, samotnego mężczyzny, siedzącego kilka krzeseł dalej, i mówi:

— Teraz pana kolej.

Mężczyzna uśmiecha się, bo jakże się nie uśmiechnąć do takiej przystojnej buzi, może trochę kanciastej (to przez te szczęki), i puszcza ćwierćdolarową monetę po blacie. Judy podchodzi zgrabnym krokiem do automatu i wybiera te same przeboje, których słuchaliśmy przed chwilą.

Kończy trzecią kolejkę i już bez słowa z mojej strony pojawiają się nowe puszkę z napisem Schlitz. Dochodzę do wniosku, że po pewnej ilości piwa na pusty żołądek można się czuć niezłe zawianym. Ale Judy rozmawia całkiem rozsądnie.

— Jedziemy. Czas na nas — mówi, kołyszając się kusząco w biodrach.

Wychodzimy z tawerny o przyćmionych światłach. Przed drzwiami Judy się odwraca:

— Czy masz coś przeciwko wzięciu czegoś ze sobą? Kiwam potakująco głową i po chwili zatrząskuję

drzwi. W świetle kolorowej reklamy Judy grzebie jedną ręką w kieszeni obcisłych spodni, w drugiej dzierżąc puszkę z piwem...

— Poprowadzisz? — uśmiecha się spod przymrużonych powiek i wręcza mi kluczyki do samochodu.

Jedziemy przez uśpione, nieznane mi miasto, a Judy sący boski napój i mówi, gdzie skręcić...

— Tu stop!

Rozglądam się, to moja ulica. O no!

— Dobranoc — szepcze mi na ucho. Zostaję na środku ulicy kompletnie zaskoczony, z głupią miną i pustą blaszanką Schlitz w ręku.

Następnego dnia po południu zadzwoniłem do Judy z pobliskiej cafeterii.

— Nie poszłabyś dzisiaj do kina?

— O nie, widzisz, muszę się wyspać, bo jutro mam bowling.

— Kiedy się te rozgrywki skończą? — pytam.

— Za jakiś miesiąc — słychać miły głosik.

— Co?! Za miesiąc?! — Wieszam ze złością słuchawkę, wypływam gumę do żucia i z ponurą twarzą wracam do stolika.

— Beer, sir?

Patrzę podejrzliwie na kelnera, ale w jego usłudze zgiętej postawie nie ma nic, co by mnie upoważniało do dania mu kopniaka.

— Duże mleko! — rzucam przez zaciśnięte zęby.

W kuchni

Nie było łatwo znaleźć tę pracę. Dave powiedział, że mam wyjątkowe szczęście. Pożegnałem więc przyjaciela i opuściłem hotel YMCA, gdzie mieszkałem przez ostatnie trzy dni. „Wyjątkowe szczęście” kryło się w oparach snujących się nad garami hotelowej kuchni.

Hotel nie należał do takich, w których kiedykolwiek bym się zatrzymywał. W hallu sufit wysoko sklepiony, wsparty na marmurowych kolumnach, powiększa wrażenie przestrzenności. Szeroka galeria ze szpalerem roślin tropikalnych prowadzi na piętro. Schody i podłoga wyłożone dywanem. Pod kolumnami donice z małymi palmami. Duże okna, kilka skórzanych foteli, zagubionych w ogromie pomieszczenia. Nie wiadomo, czy to nie semiramidzka oranżeria, zieleń widać w każdym lustrze. Z boku małe kantory z matową szybą. Nie bardzo pasuje do tej ogrodowej atmosfery. Tu uprzejmie zapytają, czym mogą służyć, ewentualnie równie uprzejmie wyproszą. Przy drzwiach wejściowych portier się ukloni. Mam nadzieję, że nie będzie mi pomagał szybciej zejść po szerokich schodach. Długi płaszcz w kolorach noszonych przez obsługę hotelu przeszkadzałby mu. Zresztą te kilka schodków zejść sam. Podjazd łagodnym łukiem okrąża klomb. Dalej wiedzie aleja wysadzana królewskimi palmami o rozchylnych koronach na szczycie gładkich pni. Aleja należy już do bulwaru, który ciągnie się daleko wzdłuż brzegu zatoki. Po drugiej stronie rozłożyło się miasto. Ale wróćmy do hotelu.

Z daleka widać masywną czerwoną sylwetkę. Na dachu kilka liter większego kalibru tworzących nazwę. Z czcią omijam podjazd. Na werandzie widać kilku starszych panów i pań w wygodnych fotelach. Obchodzę hotel z drugiej strony. Tu jest wejście, przy którym nie ma portiera. Obok drzwi stoi śmietnik. Proporcjonalny do hotelu. Tędy pracownicy chodzą na posiłki do cafeterii, małego budynku stojącego oddzielnie. Tędy wchodzę i wychodzę co najmniej trzy razy dziennie.

Mr Robicheaud. Jak nazwisko wskazuje, jest z pochodzenia Francuzem. Czuje też sentyment dla Francuzów. Może właśnie to pomogło mi uzyskać pracę. Interview zaczęło się od tego, że przybywam z Kanady.

— Really? — powiedział mile zaskoczony. Amerykanie są przekonani, że Kanadyjczycy są w większości Francuzami albo przynajmniej mówią po francusku.

— Nie, francuskiego nie znam.

Mr Robicheaud zadawał pytania lekko, jakby mu słowa same spływały spomiędzy nalanych policzków. Lekki akcent podkreślał prawidłowość wymowy. Siedział teraz za biurkiem kreśląc figury i figurki. Co chwila podnosił wzrok, sprawdzając czy nie ma rozdzwienku między tym, co mówię, a tym, co mi patrzy z gęby. Trzeba się spodobać temu opasłemu wieprzowi — pomyślałem. Uśmiechnąłem się — ten, który ma być moim bogiem, tak bardzo przypomina uprzejmego, dobrze odchowanego wieprza. Czy wieprz może być uprzejmy? Znowu się śmieję. Trzeba bardziej uważać, co boss mówi. Przed chwilą kazał wypełnić drukowany formularz z danymi personalnymi, teraz wodzi ołówkiem od pozycji do pozycji i zatrzymuje się przy nie wypełnionych pozycjach. Nie bardzo wiedziałem, co właściwie mam napisać.

— Posiadasz prawo pracy w Stanach?

Trudno mi było powiedzieć „nie”, przecież pracę muszę dostać. Dave jest cholernie ciekaw, czy potrafię coś zdziałać.

— Sure! — Żadne „sure” nie brzmiało jeszcze tak pewnie. Szef wydawał się nie bardzo przekonany, ale machnął pulchną ręką. Jak iskra mignął odbłysek wielkiego, złotego zegarka na przegubie. Facet z takim brzuchem powinien nosić cebulę na dewizce. Znowu coś wynalazł.

— Social security masz? — Cholera jasna, ubezpieczenia, co z tym zrobić? Nawet nie wiem, jak to tu wygląda. Żegnaj, praco. A już wszystko zapowiadało się dobrze. Robicheaud wrusza ramionami: — That's all right. Idź na róg Drugiej Ulicy i Drugiej Avenue, załatwisz ubezpieczenie

i wrócisz, ja wpiszę numer.

Poszedłem pod wskazany adres zdziwiony prostotą sprawy. Po chwili miałem dokument uprawniający rodzinę do odebrania wartości mojego życia, gdybym miał wypadek. Nie wygląda na to, by życie to było wiele warte. Ten brak formalności jest wprost szokujący. Podpisałem i mam.

Znowu przed oblicze boga. Na twarzy świecą mu kropelki potu, dzień się robi gorący. Musi chyba codziennie zmieniać koszulę. Pokazałem mu karteczkę, Social Security Card, kiwnął głową. Right.

— A jakie są twoje plany? — Na tak typowe pytanie byłem przygotowany. Oczywiście pracować dla dobra hotelu, a kuchni w szczególności. Odpowiedziałem w myśl zaleceń amerykańskich podręczników o tytułach: „Droga do sukcesu”, „Jak zostać milionerem” itp. A więc interview zakończone. Mam myć naczynia za sto dolarów miesięcznie. Dave zrobi wielkie oczy.

Mr Robicheaud okazał się, po bliższym poznaniu, wyższy ponad świńskie porównania. Stary był dobrym szefem i trzymał kuchnię na chodzie. Musiałem uważać, żeby się nie obijać, gdy patrzył, a popędzać też umiał. Jednym słowem typ dobrego kierownika. Robicheaud był w wieku, w którym rzekomo odnosi się sukcesy życiowe, gdzieś koło pięćdziesiątki. Wszystko mu wychodziło, włosy też dobrze wypadły. Został tylko wianuszek okalający od tyłu czaszkę. Ma prosty, ładny nos. Ot, na pierwszy rzut oka, całkiem do rzeczy.

Zjazd działaczy baseballu, tak zwany convention, wprowadził zamęt, ruch i pracę w kuchni. Robicheaud biegał tam i z powrotem rozgorączkowany, sztorcował kelnerów, kazał szybciej myć naczynia, szybciej, szybciej. Przy kontuarze, gdzie szef siadywał, pojawiła się buchalterka, młoda, przystojna, o hiszpańskiej urodzie, pewna siebie, mocno stukająca w klawisze maszyny do liczenia. Dzięki temu dowiedziałem się więcej o starym. Nie ma pracy, przy której nie można poplotkować. Fakt, że Robicheaud zwracał największą uwagę na pracę nowo zatrudnionych, rozpuścił języki moim towarzyszom: siwa, dobroduszna Grace, wycierająca obok szklanki, Will, stary włóczęga, nawet Johnny, mój bezpośredni przełożony, nachylił się między rzędy szklanek, mrugnął i twardym, niemieckim akcentem mrucał:

— Dobra sztuka, już ona nim pokieruje.

— Kim? Robicheaud?

— Jasne — wtrąciła się Grace — toż to mały chłopczyk.

Jak Grace mówiła, trzeba było wierzyć. Wyciągnąłem szyję, by lepiej widzieć. Czarnula przy maszynie do liczenia patrzyła z góry na głowę uśmiechniętego Robicheaud tak, jakby miała zamiar poklepać go po łysinie i powiedzieć: — hallo, dad. Willy parsknął śmiechem, aż Johnny przyszedł nam zwrócić uwagę. Grace dalej ciągnęła, zadowolona ze swoich wiadomości:

— Robicheaud ma mamę, razem mieszkają. I ta jego matka trzyma go krótko, nie pozwala chodzić wieczorami, chce go mieć przy sobie.

— Słuchaj, Grace, przecież on ma już chyba pięćdziesiątkę!

— Nic nie szkodzi, on już taki jest. I ta jego matka nie chciała, żeby się żenił, no, nie dała mu wyjść za żonę i koniec. I jak widzicie może się w każdej chwili ożenić. Ale miałby przeprowadę w domu.

— A ta mała nieźle sobie poczyna — wtrącił Willy pokazując głową rozanieloną gębę pokrytą kropelkami potu tuż przy kruczoczarnych włosach „małej”. Willy czuł się widocznie bardziej zdobywcą kobiet niż jego szef i nie mógł przeboleć tego stanu rzeczy.

Wymieniliśmy „oko” z Grace. Cóż, Willy, będziesz bossem, sprawisz sobie sekretarkę.

— Pracować — mruknął przechodząc Johnny.

W ciągu pierwszych kilku dni, gdy trwały przygotowania do otwarcia hotelu na sezon zimowy, łąziłem po wszystkich zakamarkach w godzinach wolnych od kuchennych porządków. Albo wymykałem się, by spotkać się z Dave'em i podzielić się nowymi wrażeniami. Byle nie siedzieć w domu. Moim domem była mała klitka w suterenie, długa na dwa łóżka, szeroka na dwa metry. Aż dziw, że mieścił się tam jeszcze stolik i dwa krzesła. Umywalka stwarzała pozory luksusu. Freddy, prawa ręka Robicheaud, pokazał mi pokój mówiąc:

— Z pewnością będzie ci tu wygodnie. — Patrząc na mokre zacieki na ścianach i szmatławy dywanik, pomyślałem, że Fred lubi mówić same przyjemne rzeczy. Otwarcie okien było koniecznością i natychmiast to zrobiłem. Teraz trochę lepiej. Fred zniknął, ten przynajmniej pachniał perfumami.

Łóżko niesamowicie skrzypiało, wyciągnąłem się z butami na kocu. Można żyć, przecież to raj w porównaniu z przytułkiem, nie mówiąc o więzieniu.

Nawet kawałek nieba widać, a jak wieje wiatr, widać tylko zielony kwadracik z palmowych liści. Wzdłuż korytarza o kamiennej podłodze ciągnie się rząd drzwi od takich samych pokoików dla kuchcików, pomywaczy, sprzątaczy. Najniższe piętro.

Na trzeci dzień przyszedł Sven, stary mężczyzna, mający więcej lat na twarzy niż w rzeczywistości. Ocenilem go na sześćdziesiąt.

— Będziemy razem mieszkać?

Nie byłem zachwycony tą perspektywą, jeszcze jeden grat w pokoju. Cóż miałem powiedzieć, Fred go przyprowadził.

— Ano, będziemy — zgodziłem się niechętnie. U-siadł na łóżku nie podciągając nogawek. Widać, że dawno nie prasowane. Wolno zaczął rozsznurowywać buty. Rzadkie włosy czesane z przedziałkiem opadły na oczy hitlerowską grzywką.

— Jak masz na imię? — zapytał.

— Chris.

— Moje Sven. Mam myć naczynia.

Nie bardzo mnie to interesowało. Gdybyśmy mieli jeszcze razem pracować, to nic, tylko się powiesić.

— Jesteś katolikiem?

— Tak, a bo co?

— To bardzo dobrze.

Przerwa się skończyła i okazało się, że Sven myje talerze. Wytarliśmy właśnie partię szklanek. Podszedł Sven w granatowym fartuchu, identycznym jak nasze, ale nałożonym w wyjątkowo niezgrabny sposób. Albo jego pochylona figura nie nadawała się do fartucha, albo fartuch nie pasował na niego.

— Hallo, Tris.

— Nie nazywam się Tris, tylko Chris.

— Nie szkodzi, jak ci się pracuje?

— Dziękuję, doskonale, a jak tobie?

Kątem oka zauważyłem, z jakim zaciekawieniem przygląda nam się Grace. Tak, staruszek, nie wszystko się wie. Popatrzyłem na Svena trochę uprzejmiej. Mruknął kilka słów, kiwnął głową i wolnym krokiem odszedł do następnego stołu. Druciany stelaż pełen szklanek poleciał w wodę. Nacisnąłem dzwignię, by szcztotki weszły w szklanki. Grace dreptała z niecierpliwości.

— Co to za jeden i jak się nazywa?

— To mój towarzysz z pokoju, Sven ma na imię, mówi, że mieszka w tym mieście.

— I co jeszcze?

— Spytaj go sama.

Grace radę przyjęła. Zresztą dociekanie tajemnic to jej specjalność.

Wieczorem Sven stwierdził, że nie będzie spał w hotelu, ponieważ mieszka w mieście. Doskonale!

— Bye, Tris.

— Hej... — już zamknął drzwi.

Leżąc na łóżku w przerwach obiadowych Sven zaczynał zwierzenia. Ani tego nie chciałem, ani o to nie prosiłem. Najczęściej przeszkadzał mi pisać lub czytać. Zaczynał mówić monotonnym głosem pytając co chwila — słuchasz? Mruczałem pod nosem, co Sven mylnie uważał za zachętę do dalszej rozmowy.

— Właściwie, to nie muszę pracować w tym hotelu, ale chcę Wiesz dlaczego?

— Hmm...

— ...nie idzie mi o forszę, mam forszę... słuchasz? Miałem taką dobrą żonę i rok temu umarła. Mieszkałiśmy tu, w miasteczku, i nagle zachorowała i umarła. To była dobra kobieta. Jak myślisz, Chris, czy nie powinienem poszukać sobie kobiety?

— Jak mówisz? — swoim pytaniem wyrwał mnie z drzemki.

— Powinienem się ożenić?

Upadł na głowę chyba, w tym wieku. Że też musiał mnie wybrać na powiernika i spać nie daje.

— Rób, jak uważasz — przypomniałem sobie, jaki Fred jest uprzejmy. — Z pewnością nie będzie ci trudno znaleźć dobrą żonę, przy twoim wyglądzie.

— Poważnie mówisz? — aż się uniósł na łokciu.

— Sure!

Sven istotnie nie nocował w hotelu. Zjawiał się o siódmej rano i budził mnie swoim wejściem. Nie miałem o to pretensji, gdyż był to czas najwyższy, by wstawać. Szybkie śniadanko w kafeterii i do mycia. Good morning, good morning, good morning. Wszystkim się należy, począwszy od Robicheaud i Johnny'ego, a skończywszy na Willu i Grace. Dla niej zawsze miałem jeszcze — how are you.

— Mam niespodziankę, Chris — zagadnęła po pierwszych powitaniach. Grace zawsze miała niespodzianki. — Wyobraź sobie — ciągnęła szeptem — ten Szwed...

— Jaki Szwed?

— Nb, ten twój towarzysz — pokazała pochyloną nad talerzami postać Svena.

— Skąd wiesz, że to Szwed?

— Bo takie ma nazwisko, nie przeszkadzaj. Więc wyobraź sobie, ten Szwed zaczepia wszystkie kobiety i mówi, że... nie zgadniesz, co im proponuje.

— Małżeństwo.

— Właśnie. Mówił ci, co? Tak, chodzi i wszystkim opowiada. Ale to heca, ha, ha.

Wcale mi się to nie wydawało takie bardzo śmieszne. Wzruszyłem ramionami na znak, że nie podzielam jej radości. Samotny człowiek i chce kogoś przy sobie mieć.

— Ej, Grace, a ciebie czasem nie poprosił o rękę? Grace wybuchnęła śmiechem i potrząsnęła siwą głową:

— A jakże! Kosza mu dałam!

Biedny Sven, w głowie mu się przewróciło. Ostatecznie ze mnie też mogliby się śmiać, gdyby wiedzieli, jak bezskutecznie usiłuję się umówić z czarną Teresą od kelnerek. Dobrze, że wiem, jak ma na imię.

Miasto wyludnione z młodzieży i hotel na skraju miasta. Wściec się można z braku towarzystwa. Jeden Dave, siedzący w YMCA, i Grace, wiekowa towarzyszka wspólnej niedoli. Właściwie pozostawał tylko Dave, bliski mi duchem z racji młodego wieku i skończonych dwóch lat uniwersytetu. Przyznać trzeba, Dave nie grzeszył lotnością umysłu, co ja przypisywałem jego tuszy. Nie przeczył, że do nauki powołania nie ma i dlatego rzucił studia, wsiadł w autobus i przyjechał na Florydę. I on odczuwał brak młodego towarzystwa. Pierwszego wieczoru, gdy przyszedłem do hotelu YMCA, z entuzjazmem zaproponował, że oprowadzi mnie po mieście. Właściwie niewiele było do oprowadzania, ale był Dave, a z nim można było pogadać przynajmniej o podnoszeniu ciężarów i jedzeniu. Co jakiś czas, gdy ja miałem wolny wieczór i Dave pracował przed południem, chodziliśmy razem do Nolghrinsa, gdzie za dolara można było zjeść ilości ograniczone tylko fizycznymi możliwościami. Podejrzewam, że Dave właśnie dlatego wybrał to miasto. Potem włączyliśmy się po wielkich sklepach, interesując się bardziej ludźmi niż tym, co sprzedają. Poderwanie babki w naszym wieku urosło do wielkiego problemu z braku takowych, a forsy na zabawę w zakupy nie mieliśmy.

Dave wciąż mieszkał w YMCA. Po pracy przychodził podnosić ciężarki i pogimnastykować się, ja przychodziłem popływać w zielononiebieskim basenie. I tak spotykaliśmy się co dwa, trzy dni do czasu, gdy Dave „namotał” jakąś babkę. Nigdy jej nie widziałem, choć Dave piał hymny na jej cześć w chwilach coraz rzadszych spotkań. Zakochał się i wsiąkł z kretesem. Któregoś dnia dał mi dowód pamięci.

— Moja dziewczyna mieszka z koleżanką — powiedział wtedy — dowiadywałem się, czy jest wolna, ale niestety, ma jakiegoś czterdziestoletniego faceta. Interes jest intratny, mówi, i nie rzuci starego. Bardzo mi przykro, Chris.

Wyniuchał Dave, że mi będzie smętnie. Jego flama, jak się zorientowałem, była farmerką z Wisconsin o dJoni, której uścisk mógł skreślić niejednego mężczyznę. I tak zazdrościłem mu szczęścia.

W kuchni wszystko szło ustalonym przez Robicheaud tokiem. Sven zupełnie nie zdawał sobie sprawy, kiedy chciałem mu nagadać za przeszkadzanie w czytaniu i gładzenie, a kiedy współczułem mu, że nie może znaleźć nowej towarzyszką życia. Zauważyłem tymczasem, że jeździ całkiem ładnym samochodem. Grace też miała samochód, ale to był grat. Sven kilka razy podrzucił mnie do miasta. Ja z kolei kupiłem mu znaczki na poczcie. Wreszcie zaproponował, żebym odwiedził go w domu.

— Po pracy pojedziemy na herbatkę do mnie?

Dave był nieuchwytny, farmerka trzymała go mocno. Nie miałem nic do roboty, więc zgodziłem się. Ku mojemu zdziwieniu Sven mieszkał w oddzielnym kilkupokojowym domu.

— Własny?

— Tak — Sven wyglądał nieco skonfundowany. Z pewną dumą pokazał ładne mebelki, kuchenkę i telewizor. Usadził mnie naprzeciw ekranu, włączył telewizor, przyniósł album ze zdjęciami i położył mi na kolanach. Jakoś nie mogłem utożsamić tego Svena z brudnych talerzy, z fartuchem niedbale zawiązanym, z gospodarzem tego mieszkania. Na część pytań odpowiedział album. Na każdej prawie fotce kobieta. Zawsze ta sama, wielka, z szerokim uśmiechem, zawsze jednakowym. Z trudnością udało mi się znaleźć dwa zdjęcia, gdzie przez przypadek chyba nie uwieczniono uśmiechu. Sven przyniósł właśnie herbatę z kuchni i widząc, jak się przypatruję uśmiechniętym zdjęciom, potwierdził z westchnieniem:

— Moja żona. Eh, gospodarna to była kobieta.

Tak mi się właśnie wydawało. Teraz brak pewnie Svenowi tej wielkiej istoty, która mu tak dobrze organizowała życie.

— Słuchaj, po co ty pracujesz, mając taki dom?

— Muszę płacić wysoki podatek, poza tym jedzenie mamy darmo... Ale nie mów tam, w kuchni, że ja tu tak mieszkam.

Piliśmy wolno herbatę.

— Lubię cię, boy, dlatego cię zaprosiłem. Zawsze przyjemniej w porządnym domu niż w hotelowej suterenie.

Co do tego nie miałem zastrzeżeń.

— Chciałbym też, żebyś został u mnie na noc, tapczan jest szeroki... — musiałem mieć dziwny wyraz twarzy, gdyż Sven przerwał, po czym skończył: — ja mógłbym spać na kanapie lub nawet w tamtym pokoju.

Pierwszym wrażeniem było skojarzenie sobie propozycji gości z autostopu. No, ale Sven jest za stary na te rzeczy. Grzałki do łóżka ci trzeba, pomyślałem. Już ja jednak wolę spać sam i u siebie.

— Nie, Sven, mam jeszcze coś do załatwienia w mieście, może mnie odwieziesz?

— *Szkoda, że nie chcesz zostać, jutro jest niedziela, rano poszlibyśmy razem do kościoła.*

— Przecież wiesz, że dla nas *nie ma niedzieli* i pracujemy jak w zwykły dzień.

— Ale mówiłeś, że jesteś katolikiem.

Wstałem nie chcąc przedłużać dyskusji, która mnie denerwowała. Mam mu ogrzać łóżko i jeszcze do kościoła z nim chodzić. Świat się kończy. Przekręciłem wyłącznik telewizora i obraz skoncentrował się w małej, świetlnej plamce.

— Dziękuję za herbatkę, do zobaczenia jutro.

Nazajutrz Sven, chociaż sam mnie obudził rano, spytał, czy byłem już w kościele. Śniły mi się rzeczy zupełnie inne, więc przebudzony w ten sposób zacząłem kląć po polsku. Chyba nie sądził, że się modlę. Dzień świąteczny wyróżniał się tylko nieco lepszym obiadem i otrzymaniem nowych fartuchów, które Fred rozwoził w koszu na piszczącym wózku. Po tym dniu następował inny, bez różnicy. Tylko w czasie posiłków narastały opowiadania ogrodnika o córce południowoamerykańskiej rodziny, która zatrzymała się w naszym hotelu. Wczoraj pływała w basenie, dziś się tylko opalała itd., itd.

Chodząc po sklepie rozglądałem się za czymś do czytania. Jest Hemingway? Jest. Poproszę „Stary człowiek i morze”. Po długich poszukiwaniach wyciągnęli ładne wydanie w sztywnej okładce. Ile płacę? Three and a half. Zapłaciłem trzy i pół dolara i z osłupiałą miną wyszedłem ze sklepu, unosząc cieniutki tomik. Jeśli książki tyle kosztują, to nie należy rokować wielkiego rozwoju

czytelnictwa, wywnioskowałem. A w Polsce książki jak barszcz, nie ma tylko czasu na czytanie. Przyniosłem Hemingwaya do domu. Sven akurat leżał mruczając jakieś modlitwy z książeczki do nabożeństwa.

— *Sven, znasz coś Hemingwaya?*

— Nie, *przecież wiesz, że* od niedawna pracuję w kuchni.

Powiedział to całkiem poważnie. Wyraziłem więc oburzenie na cenę.

— Taka mała książeczka i tyle kosztuje!

— Z czytania takich książek nic dobrego nie przyjdzie. Tylko religijne książki dadzą pożytek. I są tanie. Jak chcesz, to ci pożyczę.

— Ale Sven, ja wolę czytać laureatów Nobla...

— Nobla? Tego, co go policja nie mogła przez dwa tygodnie odnaleźć? Nie, Chris, tu, tu masz dobrą lekturę — podniósł modlitewnik — inne no good.

— Idź do diabła!!

Sven był dziś w wyśmienitym humorze. Oświadczył, że znalazł odpowiednią kobietą, starą przyjaciółkę w jego wieku.

— Gratulacje, a skąd ona jest?

— Z mojej parafii.

— A to bardzo ładnie, kiedy ślub?

— Za parę miesięcy. Zresztą muszę się księdza spytać.

— Co ty na to, Grace? — spytałem, gdy nowina rozniosła się po kuchni.

— Robi się coraz zalotniejszy — mruknęła wskazując na Svena, pomagającego kelnerce zbierać talerze. — No, no, i ten się zakochał.

Następnego dnia oklapł. Radosny jak ptaszek, stracił humor. Nie pytałem wiedząc, że na milczka długo nie wytrzyma.

— Chris, ksiądz mówi, że tak nie można.

— Czemu? Może jest złą katoliczką?

— Nie... widzisz, ona... nie jest katoliczką.

Ale trafiłem. Sven przeszedł na katolicyzm, mówił mi to niedawno.

— Nie ma rady, musisz przejść z powrotem na protestantyzm. Albo ona na katolicyzm.

— Nie chce się zgodzić na katolicyzm.

— No to się nie żeń!

Następnego razu Sven zaczął od wad swojej przyszłej małżonki.

— Wiesz, może ona rzeczywiście nie jest dobra? Pozostawiłem go bez odpowiedzi.

— Ksiądz mówi: no good. Specjalnie chodziłem się pytać. Grzech. A ty, Chris, myślisz, że to grzech?

— Chris, będziemy pracować dziś w nocy — powiedziała Grace.

— Dlaczego my?

— Bo my myjemy szklanki i kieliszki. Będzie bal studentów z Chicago. Roboty niedużo, ale trzeba siedzieć.

Kuchnia się wyludniła, tylko Fred wpadał co chwila zajrzeć, czy pracujemy, i pogawędzić z Grace. Za drzwiami napływali goście, panowie w białych marynarkach, ciemnych spodniach i ciemnych muszkach lub krawatach, panie w jasnych, błyszczących toaletach, wszystko moi rówieśnicy. Widziałem salę przez jeden moment, gdy drzwi się otwierały i przechodził kelner niosąc tacę pełną trunków, moment, w którym atmosfera sali, zapachy perfum, oddech zgrzanych w tańcu partnerów wionął w chłodny korytarzyk. Drzwi się zakolebały. Teraz muzyka dochodziła cicho przez tę barierę. Następnego kelner i dźwięk się na chwilę potęguje, gasnąc z klapnięciem drzwi. Klap, klap i już się nie ruszają. Orkiestra dobrze gra, więc zdjąłem niebieski fartuch, zwinąłem i położyłem pod siedzenie na kamienne schodki. Żeby nie ciągnęło.

A teraz przerwa, wzmożone stukanie drzwi. Roześmiane pary idą na miejsce, a kelnerzy zwijają się prędzej niż dotychczas. Grace woła. Fartuch na brzuch i do roboty. Na stole piętrzy się szklana góra, stos kieliszków, szklanek i pucharków. Prawie w każdym jest coś na dnie. Alkohol. Próbuję, rozwodniona whisky, do zlewu. A tu gin z kawałeczkiem lodu, który nie zdążył się roztopić. Też

obrzydliwy. Żeby choć trochę „czystej”. Z westchnieniem wylewam wszystko po kolei. Grace obserwuje mnie udając, że przygotowuje mydliny. Czy myślała, że będę zalewał się takim świństwem?

Szkoło leci do gorącej wody, ja płuczę, Grace wyciera, opowiadając ostatnie nowiny o zalotach pana Robicheaud:

— Chyba się ożeni, widziałam ich razem na ulicy...

— Grace, ile dostaniemy za tę robotę?

— Dwa dolary.

— Tylko? I jutro normalnie do pracy?

— A jak byś chciał?

Zamilkłem. Starczy dla nas na kino, jeśli Dave się wyrwie.

Góra szkła znikła, wszystko stało w ordynku na niskich półeczkach. Pojawił się Fred, przynosząc nam po pomarańczy. Bardzo to ładnie z jego strony, choć wolałbym jabłko. Czy ten ideał pracownika nigdy nie chodzi spać?

Na parkiecie wciąż jeszcze tańczyli. Orkiestra przeszła już na wolniejsze tempa. Wszyscy byli zmęczeni. Ja też, siedząc na kamiennym stopniu. Ale jeszcze bym zatańczył. Gdyby tak wejść w ten tłum w niebieskim fartuchu i powiedzieć, że jestem studentem... Fi donc!

Poprosiłbym tę brunetkę, która przed chwilą wychodziła do toalety...

Zamiast brunetki przysiadł się do mnie kelner, Francuz ze szczurzą twarzą. Ze szczurzą twarzą i małymi oczkami, biegającymi po wszystkich kątach, sprawiał wrażenie chytrusa. Chyba właśnie taki był. Robicheaud przyjął go pewnie dlatego, że był Francuzem. Teraz był wlany, ale nie za bardzo. Że też smakują mu te drinki. Poklepał mnie po ramieniu i o-świadczył, że jest moim przyjacielem.

— Każdy musi jakoś żyć — mruknął. Nie wiedziałem, do czego mam to przyczepić. Chyba ten drobiazg, wynoszenie pełnych butelek. Tak, zauważyłem, że nie wszystko z magazynku idzie na stoły. Z pewnością chowają w ubikacji, bo za każdym razem tędy przechodzą. Interesu i tak nie będę z tego miał.

— O niczym nie wiem — powiedziałem przed siebie. Znów mignęła sala i buchnął śmiech.

— Good boy, smart boy — poklepał mnie znowu — pójdziesz się napić?

— Nie, posiedzę, popatrzę...

— Jak kogoś będziesz potrzebował, to na mnie możesz liczyć — czknęło mu się. Popatrzyłem za oddalającą się chudą postacią w czarnym garniturze, marynarce ciasno opiętej. Orkiestra zaczynała nowy kawałek. Obejrzałem się. Francuz już zniknął.

— No to... może byśmy zatańczyli...

Pewnego dnia Grace zapowiedziała „czystkę”. Będą wyrzucać zbędnych pracowników. Hotel, z mozołem puszczony w ruch, rozkręcił się. Regularna praca usprawniła ludzi. Kto niepotrzebny, musi odejść. Każdy poczuł się zagrożony na swoim stanowisku i zaczął gorliwie pracować. A to znowu zostawiało wolny czas i ręce. Brakło roboty. Johnny miotał się po kuchni, szukając bumelantów. A że lubiłem nucić przy pracy, uznał to za objaw karygodnego nieróbstwa i pędził mnie do zamiatania korytarza i wynoszenia śmieci. Jak on się troszczył, żeby mnie nie wylali.

Śmietnik był gigantycznym stworem i aby wyrzucić odpadki przywiezione wózkiem, należało wtaskać pełną beczkę po schodkach na betonową platformę, w której były otwory wysypowe. Raz popychając, raz pociągając, można było osiągnąć cel, tyłając się jak nieboskie stworzenie od brudnej beczki. Zamiatanie było zupełnie znośne. Każdy, kto przechodził, dziwił się — cóż to, pracę zmieniłeś?

— Skądże znowu. To Johnny daje mi zajęcie, za dużo śpiewam przy pracy, a on nie lubi polskich piosenek.

Towarzyszyło temu wzruszenie ramion i dalej ochoczo zamiatalem, czekając na następnego przechodnia. Svenowi powiedziałem, że dobry katolik pracuje, a nie chodzi po świeżo zamiecionym korytarzyku. Gdy nie było nikogo, przemawiałem do miotły, co nie było ciekawe, i kłamię Johnny'ego.

Johnny był Niemcem z Prus Wschodnich, który jako dzieciak wyemigrował z siostrą najpierw do

Hamburga, potem, szukając fortuny, do Ameryki. Próbował wszystkiego po trosze, był fryzjerem, nawet grabarzem. Wylądował wreszcie w branży hotelarskiej. Zaczął od zmywania naczyń, potem został stewardem, czyli dyrygentem od mycia. Jego marzeniem było zostanie kukiem, przyrządzanie sałat i zup. Patrząc na puciołowatą twarz i brak jednego zęba na przodzie, odnosiło się wrażenie, że to zęby mleczne, a Johnny jest młodym chłopaczkiem. A może jego mentalność nasuwała takie wrażenie. Swoim zwyczajem brał cokolwiek do roboty i pytał, czybym mu nie pomógł. Uwijałem się szybciej niż Grace ze swoją częścią szklanek, więc pomoc mogłem. Ale wtedy Johnny zostawiał mnie z robotą, idąc gdzie indziej.

— Muszę wolniej pracować — powiedziałem do Grace. Zgadzałyśmy się z nią doskonale we wspólnej niechęci do młodego poganiacza. Musiałem ponadto znosić, ku uciesze Grace, lekcje prawidłowej wymowy. Johnny był przekonany, że mówi doskonale, a nikt go z błędu nie wyprowadzał. Zresztą nie uwierzyłby. Robicheaud zamiast angielskim imieniem wołał go Johannes.

Często stawał w pobliżu, patrząc, jak się krzątamy, zamyślony, co nam wlepić...

— Johnny, może byś pomógł?

Z roztargnieniem wziął szmatę i zaczął wycierać. Po chwili odszedł. Odtąd był to sposób na niego:

— Johnny, help!

Wieczorem Grace oznajmiła z triumfującym uśmiechem, że mnie nie wyrzucą. Grace zostanie, bo pracuje tu od kilku lat, Willy zostanie, bo zna się na wszystkich urządzeniach kuchennych, ja zostanę, bom silny i młody. Ale zostanie także Sven, czego nikt nie rozumie. Grace złych wieści nie mówiła, ale nazajutrz zobaczyliśmy, o ile jest nas mniej. Nie było jej najlepszej przyjaciółki. Przypomniałem sobie, że stłukła niedawno dwie szklanki. Bezręki z Kentucky przyszedł się pożegnać.

— Nie zapomnij pojechać do Kentucky — mrugnął — najlepsze konie i kobiety.

Nie zdążyliśmy nauczyć się jego wszystkich kawałów. Ciekawy człowiek z kompleksem zegarka. Brakowało mu lewej ręki i wciąż pytał sąsiadów, która godzina. Wolne chwile spędzał w kotłowni. Było tam ciepło, przyjemnie i co najważniejsze — cała tablica z zegarami. Cóż teraz robi, bez ręki, mając pięćdziesiątkę na karku? Gdzie go przyjmą? Bezręki uśmiecha się optymistycznie — don't worry. Ale Grace wygląda, jakby chciała się rozplakać.

— All right, all right, nic takiego.

Sven w dalszym ciągu nie sypiał w hotelu. Położyłem się zgasiwszy światło i chyba zasnąłem. Pukanie mnie poderwało. Drzwi przecież otwarte.

— Come in — zapaliłem światło.

Wsunęła się głowa. Francuz o szczurzej twarzy. Wyrzucili go przedwczoraj. Co tu robi? Za nim wsunął się jakiś typ w czarnym golfie i czuprynie ostrzyżonej na jeża. Co to jest?

Zaczął od przeprosin. Trudna sytuacja, nie ma gdzie przenocować. Wie, że sam śpię, więc może by dało się załatwić... Będzie bardzo wdzięczny. Cóż miałem zrobić, odmówić? Śpijcie, jak się zmieście. Dobranoc.

Obudziły mnie człapiące kroki na korytarzu. Było jasno. Uświadomiłem sobie, że to Sven nucąc psalmy czy inne pobożne melodie idzie przebrać się do pracy. Na jego łóżku wyglądały spod koca dwie głowy i rozlegało się straszliwe chrapanie. Sven otworzył drzwi, zrobił krok i zatrzymał się jak wryty. Przymknąłem oczy udając, że śpię. Sven widząc, że łóżko zajęte, cofnął się mruczając excuses, ale sprawdzwszy numer na drzwiach wkroczył pewniejszym krokiem. Krótka wymiana słów z obudzonym facetem i Sven wypadł na korytarz z obłędem w oczach. Duszę się ze śmiechu, ale udaję, że śpię. Całe szczęście. Wpada Robicheaud... Szkoda, że to, co zabawne, skończyło się. Rozmówka z rozeźloną szefem nie należy do przyjemności, ale ostatecznie najgorsze, co może mnie spotkać, wyrzucenie, nie zmartwi mnie teraz, po paru tygodniach pracy w kuchni.

Przechodziłem dziś przez park w centrum miasteczka i wydało mi się, że usłyszałem polską mowę. Zawróciłem.

— Panowie mówicie po polsku?

Owszem. Jeden jest Rosjaninem, drugi Ukraińcem, ale mówią całkiem znośnie po polsku. Po chwili zostaję z Ukraińcem. Ma ponad siedemdziesiątkę. Emigrował w 1910 roku, gospodarzkę zostawił

bratu. Z początku pracował jako farmer, później jako górnik. Teraz jest już na emeryturze. Przeżył większą część swego życia w Stanach, a jednak wyrzeka. Na jedzenie w pierwszym rzędzie.

— Wciurności, panie, takie jedzenie. Jak człowiek sam sobie kupi i przyrządzi food, kielbasy i ziemniaków, to czuje coś w żołądku. A to, co óne robią, to tylko do doktora potem. A doktor powie co? Pewnie nie to, co dobre dla człowieka, ale co dobre dla niego. I ludziska wierzą, bo doktory powiedziały, że dobre... A kobiety to uczą w college, jak galancie wyglądać, i taka to potem nie umie chłopu zgotować... Wicie wy, to w Polsce czasem chleba nie stało, ale jak człowiek obłąpił dziewczuchę i zaczął tańczyć, to czuł, że żyje. I pośpiewało się. A drink to musi całkiem przyrządzać nie umieją. Jakies tam łyski i brandy, a wszystko w fabryce z proszków robione, zamiast porządną wódkę z ziemniaków... Ziemię to łatwo było kupić, ale jak krowę chcesz zabić, to tak cię będą bili po głowie, że zginiesz. Tak cię lojery będą gnietli, że ani nie wytchniesz. A mleko zamiast za dziewięćdziesiąt, za czterdzieści centów musisz sprzedać. I do nikogo nie ma pójść o pomoc, bo te midmen i lojery, co oni tam union mają, to jedna paka. I nic im nie zrobisz...

Tu mu przerywam:

— A jeśli farmerzy założą union?

— Dyc zaraz wam rzekną, żeś black-market, że mięso niedobre, które chcesz sprzedać, i zrób coś.

— A są tu Polacy?

— A jest trocha, mają taki hali, gdzie się wszystkie Słoweńcy, Ruskie, Polaki i Ukraińce spotykają, wicie wy, jak te ptaki z jednego gniazda.

Zrobiło się późno, praca czeka, żegnam się więc z gderliwym starcem i puszczam się biegiem w stronę hotelu.

Ostatni dzień pracy. Wczoraj dostałem list. Nic ważnego, ale doskonały pretekst do ucieczki.

— Idę się szkolić do lotnictwa — oznajmiłem wszystkim rzekomą treść listu — przyjęli mnie do pracy, o którą się dawno temu starałem. Już nawet zwątpiłem, czy kiedykolwiek dostanę jakąś wiadomość. I oto macie!

Klepię Johnny'ego, łapię w ramiona Freda. Grace cieszy się z mojej przyszłej kariery. Mam jechać na północ. Pojadę autostopem. Budzi to podejrzenie w Willu co do prawdziwości historii. Zbyt ciekawie wypytywałem go o Kalifornię. A może rzeczywiście tam pojadę. Choć na Kubę byłoby bliżej.

Przyjemnie się pracuje ostatniego dnia. Wszyscy przychodzą pytać się, czy naprawdę wyjeżdżam. Nawet z kelnerką Teresą mogłem dziś dłużej pogadać. Święto. Grace opowiada, jak to będzie dobrze, gdy zaczną latać, jeśli się tam nadam, ale na pewno się nadam. Willy półgłosem objaśnia, jak zachowywać się na autostopie.

— Może się zdarzyć, że nie będziesz miał pieniędzy — kiwam głową — idziesz wtedy do Armii Zbawienia, tam będziesz wieczorem i rano na mszy, a masz za to nocleg, kolację i śniadanie. Za frajer. Kława instytucja. Poza tym jest „police station” i więzienie. A jak będziesz bardzo głodny, nie ryzykuj kradzieży. Idź do sklepu i proś, może ocenią twoją uczciwość i dostaniesz co.

— Doprawdy?

— Sure, bochenek chleba, mleko...

Cenne uwagi. Mam i ja trochę doświadczenia z tej dziedziny, ale wiem, że nie zawsze rozsądnie jest się tym chwalić.

Przerwę wykorzystuję idąc nad zatokę. Po spokojnej wodzie suną łodzie z żagielkami. Przy brzegu wędkarze: bierni, z wędkami, i czynni, z harpunami. Ci ostatni niezachwiani w swym optymizmie rzucają sześciozębnym harpunem na długiej lince i mają nadzieję, że jakaś ryba znajdzie się akurat na drodze morderczej broni. Efekt jest taki sam: potrzebne mydło do umycia rąk. Choć prawdę mówiąc, widziałem łódź po powrocie z połowu w zatoce, w której leżała metrowa potwora z drapieżną paszczą, przebita harpunem. Ale tu, przy brzegu? Jeden z harpunników używa do rzucania lewej ręki, a zwój liny trzyma w prawej. Inny rzuca harpun do góry, tylny koniec zatacza łuk do góry i harpun spada ostrzem pionowo w dół. Precyzja jest, ale ryby nie ma.

Zbieram zapas słońca na mroczną przyszłość. Nie można patrzeć na biały piasek. Światło wdziera się przez przymrużone powieki i razi. Jest mi przyjemnie, bo przecież to jest zima, a ja siedzę w

samych kąpielówkach pozwalając, by mnie słońce brązowiło.

Wieczorem Johannes w miarę zbliżania się godziny ósmej, końca pracy, coraz bardziej gorączkowo wyklada mi zagadnienia z cyklu „oj, życie, życie”. Żebym się zastanowił, że brak pracy w Ameryce to śmierć, że dosłownie umrzeć można na ulicy i nikt człowiekiem się nie zainteresuje. Słucham go chętnie, gdyż ilustruje przykładami ze swego życia, i przy okazji dowiaduję się, że pracował także jako grabarz. Mówi o tym niechętnie, wstydzi się biedy, którą przeszedł. Nie dziwię się teraz jego nadgorliwości, nie chciał stracić pracy. I ja poznałem mechanizm cenzusu majątkowego, jedyne kryterium przykładanego do wszystkich ludzi.

— Nie ma lepszej posady nad kuchcika — mówi Johnny — zostań.

Sven jakoś się zwiedził dopiero teraz i przy przebieraniu pyta o powody.

— Well — odpowiadam — wylali mnie.

— Za co?

— Nie byłem dobrym katolikiem — odpowiadam poważnie. Sven nie wierzy.

— Do zobaczenia jutro.

— Ostatni raz — wołam za nim po polsku.

Nazajutrz dowiaduję się, że kasa otwarta dopiero od dziewiątej, więc wracam do roboty.

— Rozmyśliłeś się? — pytają.

— Nie, muszę odpracować śniadanie — odpowiadam.

Z kasy dostaję mniej pieniędzy, niż przypuszczałem. O co najmniej czwartą część. Podatki. Klnę podatki i zbieram kilkadziesiąt dolarów. Czas pożegnać przyjaciół. Naprawdę żal mi Grace. Jest dzisiaj taka smutna.

— Nie spałam, myślałam, jak ty będziesz na drodze głodem przymierał.

Patrzę na pomarszczoną, pocziwą twarz, niewiele brakuje, by zmarszczkami popłynęły łzy. Niepotrzebnie mówiłem im o autostopie.

Do kieszonki na piersi wsuwa mi zwiniętego dolara.

— Nie jest to dużo, ale możesz potrzebować.

Jest tak wzruszająca, że nie mogę odmówić. Z wszystkimi wymieniam uścisk dłoni. Żegnajcie.

Po raz ostatni przechodzę obok wielkiego śmietnika. Do głównej szosy jest blisko.

Nie włączyć!

Nie przeczę, że jestem głodny. W południe jadłem lunch, a teraz wieczór się zbliża. To głupie Miami zabrało mi tyle czasu. Nie wiadomo zresztą, kto głupszy, ja czy Miami. Zawsze myślałem, że Miami leży nad oceanem. Nie zdążyłem jeszcze zaopatrzyć się w plan w jakiejś stacji benzynowej, kupować nie warto. Więc maszerowałem ciągle jak bóbr do wody po to, żeby dowiedzieć się, że muszę się przedostać do Miami Beach, jeśli chcę rozbić namiot na brzegu Atlantyku.

I w mieście Miami jest woda, nad którą można siadywać. Ale ta woda jest martwa, odcięta od oceanicznej fali, doskonała dla motorówek, które pod osłoną piaszczyste) kosi, na której leży Miami Beach, przemykają się wzdłuż brzegów. Na małym skwerku nad wodą ławeczki. Przeważnie zajęte przez mężczyzn. Usiadłem na chwilę, już za dnia oceanu nie zobaczę. A jak tylko dostanę się na drugą stronę tej laguny, każę sobie coś zjeść.

Worek na ramię i w drogę. Zaczepia mnie marynarz z porozumiewawczym uśmiechem.

— Nie skorzystałeś, co?

— Pewnie, że nie skorzystałem. A z czego miałem skorzystać?

Marynarz się obruszył, że się nie skapowałem. Ci panowie siedzący przy skwerku, to co drugi „pedzio”.

— To już ich takie tradycyjne miejsce. Mógłbyś sobie zarobić dinner i jeszcze dolara — dodaje i odchodzi ze złośliwym uśmiechem. A to mi przypomina, że jestem głodny.

Do Miami Beach prowadzi przez wodą grobla, która tu się mądrze nazywa causeway. Mieszczą się na niej cztery pasy asfaltowej nawierzchni i samochody lecą „non stop”. Przy autostradzie tabliczka

— „keep off”, nie włączyć, ostrzeżenie dla mnie, żeby nie zaczepiać samochodów. Jak nie wleżę, to nie pojedę, a jak nie dostanę się w szybkim tempie do Miami Beach, to zdechnę z głodu.

Zabrał mnie jakiś młody wariat, który zaryzykował ewentualny mandat i w ten sposób uratował mnie od śmierci głodowej na grobli.

Powiedziałem mu, żeby mnie wysadził w pobliżu morskiego brzegu. I co mi z tego. Morza nie widać, zasłaniają hotele. Cudowne, to prawda, nowoczesne, nikt nie przeczy, ale rozparcelowały między „siebie śliczny Atlantyk, rezerwując go dla hotelowych gości. Tam gdzie jest wejście dla plażowiczów, widnieje tabliczka: „Keep off, własność prywatna”.

Ciągnę nogi za sobą, a worek na ramieniu wzdłuż szeregu hoteli, najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem. Jest noc, a wcale nie chłodniej, 25 stopni w mroku. Pot leje się ciurkiem. Nie ma gdzie wstąpić, wszędzie restauracje takiej kategorii, że wystarczyłoby znaleźć się razem z moim workiem w polu widzenia portiera, żeby usłyszeć „keep off”.

Pnie palm oświetlone kolorowymi reflektorami. W przerwach między hotelami można było zobaczyć kawałek wody i białą grzywę przyboju. Głodny, dawno nie byłem tak bliski wywrócenia się na nos.

Chwiejąc się zachodzę do pierwszego napotkanego baru. Proszę o kawę i kawałek placka. Piję łąpczywie, uważnie patrząc w lustro, czy ktokolwiek może zauważyć, że mi migocze przed oczami. Kelnerka patrzy wyczekująco, czy jeszcze czegoś nie zamówię. Jak się chce siedzieć, to trzeba zamawiać. Na pewno nie zamówię, bo chcę jutro zjeść obiad, a do Miami na łatwy zarobek nie myślę wracać. Nikt mnie nie wygania, ale wiem, że mam się wynieść.

Trzeba zrezygnować z noclegu na plaży. Wszystkie plaże należą do hoteli, a hotele wypięły się na mnie tyłem. Jedynie przy plaży miejskiej nie ma zabudowań, ale jest za to pełno zakazów i ostrzeżeń z podaniem wysokości grzywny.

Znalazłem wreszcie miejsce do spania w zapuszczonym parku nad kanałem, za którym rozsiadły się potęgi, strzegące swoich prywatnych kawałków Atlantyku — San Marino, Continental, Barcelona, Sorrento... Celowo nie rozglądałem się po parku, żeby nie psuć sobie humoru odczytywaniem możliwości, jakie czekają mię przy okazji poznania się z jego właścicielem.

Po wodzie snują się kolorowe odbłaski neonów. Od razu się lepiej czuję, gdy mam postawiony namiocik pod sosną o miękkim igliwiu. Zасыpiając, w myśli dumnie wypisuję nad namiotem olbrzymi transparent: „Własność prywatna! Keep off!!!”

Mój milioner

Fort Lauderdale jest miastem młodzieży, gdyż znajduje się tam uniwersytet, jeden z tych małych prowincjonalnych, jakich pełno w całych Stanach. Nikt nie wie, czego tam uczą, ale przecież nie o to chodzi. Uniwersytet to znaczy młodzież, a młodzież ściąga młodzież. Zresztą na Florydę nikogo nie trzeba ściągać, szczególnie w zimie.

Wyjątkową popularnością cieszy się okres wielkanocny, studenci mają ferie, jest czas na zabawy. Fort Lauderdale słynie zatem z rozróbek studenckich, wielkanocnej miłości i tańczenia w skarpetkach, o czym starzy ludzie na zachodnim wybrzeżu Florydy mówią ze zgorzaniem.

Nic mnie bardziej nie cieszy, jak wysłuchiwanie o zbereźnikach znad Atlantyku. Przejeżdżałem raz przez miéscinę, o której mowa, ale po pierwsze nie miałem czasu, po drugie była akurat dobra jazda, a po trzecie nie znałem jeszcze legendy związanej z tym miejscem.

Nie musicie mnie pytać o kierunek jazdy, bo to chyba jasne. Trudniej natomiast wytłumaczyć, dlaczego mnie licho zaniósło nad Zatokę Meksykańską, na drugą stronę tego wyrostka robaczkowego Ameryki. Otóż właśnie dlatego, że nie tyle jechałem, co mnie wieźli, jak zwykle na autostopie. Nie mogłem robić przykrości Tomowi, który z wyraźną satysfakcją rozwodził się nad tym, jaką mi łaskę uczynił zabierając z drogi w Północnej Karolinie. A Tom jechał do Sarasota, więc i ja się tu znalazłem. Ale teraz absolutnie jadę do Fort Lauderdale. Najpierw kilkadziesiąt mil na południe, potem kilkadziesiąt mil na zachód, aż do atlantyckiego wybrzeża.

Właśnie zrobiłem te kilkadziesiąt mil na południe i w miasteczku Fort Myers, które się samo

ochrzciło jako Palm City, z przyzwyczajenia zapytałem o pracę, ten amerykański nałóg wszedł mi już w krew. Szef hotelowej kuchni oświadczył, że bardzo Polaków lubi, ale nic w tej chwili nie da się zrobić. Uważałem, że spełniłem swój obowiązek hobo pytając o pracę, on uważał, że spełnił swój odpowiadając mi uprzejmie. Rozstaliśmy się w miłym przekonaniu, że obaj spełniliśmy swój obowiązek.

Przejeżdżałem już raz przez to miasteczko chlubiące się tym, że Edison miał tu swoją rezydencję zimową, i wiedziałem, czego nie zdążyłem zobaczyć. Nie, nie rezydencji Edisona, ale basenu jachtowego. Muszę przyznać, że to mnie bardziej interesowało.

Nieważne, jak brzmi nazwa rzeki, nad którą leży ten maleńki porcik, trzeba zobaczyć, jak wygląda — Caloosahatchi! Wymawianie jej na różne sposoby może zabawić kogoś, kto nie ma nic innego do roboty. Właśnie nie mam nic do roboty i chodzę po betonowym brzegu, przy którym cumują jachty, w większości motorowe. Do zatoki jest zaledwie kilka mil z biegiem rzeki, ma się więc mały skorowidz geograficzny, różne miejscowości wypisane na rufach.

— Good evening sir, może pan potrzebuje pomocnika, który się zna na nawigacji? — Powtarzam raz po raz, żeby po prostu otworzyć usta.

— Tamten, w rogu, ma jacht żaglowy, może potrzebuje kogo do obsługi — pada jedyna konkretniejsza odpowiedź. Przyjrzałem się, wyglądał na jakieś 80 metrów kwadratowych żagla, a jego kapitan na sześćdziesiąt lat.

— Nie, chłopcze, zapytaj obok.

Paradne, ja zawsze pytam obok. Obok stał wymuskany jacht motorowy okazałych rozmiarów, szeroki, o ładnej linii dzioba, utrzymany w szarych kolorach. Właściciel oparty o reling oglądał mnie uważnie, uśmiał się, z kim ma do czynienia.

— Znasz się na jachtach?

— Yes, sir.

— No to powiedz, jak nazywa się ta lina — pokazał na cumę biegnącą od dziobu w kierunku rufy. Bądź tu mądry. Słownik żeglarski wszystkim początkującym sprawia dużo kłopotu, gdyż jest zlepką niemieckiego, holenderskiego i angielskiego. Tak to wygląda w Polsce. I lina taka nazywa się spring, co brzmi całkiem z angielska. Strzeliłem na chybił trafił:

— Spring.

— Dobrze... a to — popatrzyłem na skręt liny, który po polsku nazywa się po prostu ucho. Zanim się zastanowiłem, co odpowiedzieć na tak głupie pytanie, właściciel jachtu doszedł pewnie do wniosku, że pytanie jest co najmniej niestosowne, skoro twierdzą, że się na tym znam, i rzucił: — Never mind, mniejsza o to — i zaprosił mnie do środka.

Bardzo miły ten środek, aż mnie zatkało. Po polsku nazywa się to mesa, po angielsku living room. Jak w mieszkaniu. Zresztą jacht jest całkiem luksusowym mieszkaniem. Na podłodze dywan, na który krępują się wejść. Postawiłem chlebaczek pod ścianą.

— Czy masz jakieś dokumenty? — wyciągnąłem prawo jazdy, potem polską książeczkę żeglarską, w której napisane jest, że pływałem w rejsach po Bałtyku. Bardzo słusznie wnioskuje, że młody człowiek, który się ubiera tak jak ja, nie może być właścicielem jachtu, a koncepcja klubów żeglarskich zupełnie nie przemawia do jego wyobraźni. Z tego, co podsuwam mu pod nos, zrozumiał, że przeszedłem szkolenie na okręcie wojennym (nauczyli cię, jak utrzymywać porządek). Nie zaprzeczam.

Widzę, że to wszystko nie robi właściwego wrażenia na moim rozmówcy. Wygrzebuję magiczny kartonik, wizytówkę ojca (adres się zgadza) i dołączam opowieść stosowną do okoliczności. Dwa lata siedzę w Kanadzie, skończyłem rok uniwersytetu itd. w stylu, który powinien budzić zaufanie.

— Gdzie pracowałeś? — przesłuchanie trwa.

— Pracowałem na fermie, w garażu, w hotelu — wymieniałem wszystkie dorywcze sposoby zarobkowania, trzeba mieć przecież jakieś alibi na te dwa lata. Boss jest nadal podejrzliwy. Przygląda mi się, a ja odwzajemniam mu się jak najbardziej niewinnym spojrzeniem. Gra idzie na całego.

— Masz referencje?

— Jakie referencje?

— Jak pracujesz, to otrzymujesz od pracodawcy zaświadczenie o twoim zachowaniu. Masz coś takiego?

Zaczynam coś pleść zupełnie od rzeczy. Na szczęście nie zwraca na to uwagi, bo wpada mu do głowy nowa myśl.

— Jesteś katolikiem?

Skwapliwie przytakuję, widząc w tym jakąś szansę ratunku. Tylko trochę psychologii. Widać większość Amerykanów ma kuku na muniu na punkcie religii. Trzeba jak z wariatami na wszystko się zgadzać.

— Chodzisz do kościoła?

— Oczywiście.

— W takim razie proboszcz z twojej parafii może poświadczyć, że ciebie zna.

Ładna historia. Gdyby nawet proboszcz z mojej parafii mnie znał, mógłby z całą pewnością poświadczyć, że mnie nigdy w kościele nie widział. Zaczynam się pocić.

— Jaki jest telefon twojego ojca? Zapisuje sobie numer.

— Wieczorem zadzwonię i sprawdzę, zgłosisz się jutro o ósmej z rana.

— Yes, sir.

Przeskoczyłem przez reling w stanie zupełnego zamętu. To wyglądało na engagement w tempie błyskawicznym na jacht milionera. Tylko milioner mógłby wpaść na pomysł, żeby dzwonić przez cały kontynent z Florydy do Ontario po to, by się upewnić, czy jego pracownik chodzi w niedzielę do kościoła. Wieczór już niedaleko, a mój stary, jak go znam, należy raczej do osób prawdomównych. Może być wpadka.

Zjadam kolacyjkę w kafeterii imienia Edisona, położonej tuż za mostem Edisona nad ową Caloosahachi River. Telefon do Kanady nie daje mi spokoju. Wytrząsam z kieszeni dziesięć centów i zamawiam... Kanadę. Tylko płatne z tamtej strony. Kiedy mi się trafia taka gratka, trzeba iść na całego. Pal sześć Fort Lauderdale.

— Hold the line, please — słyszę, jak telefonistka zapytuje, czy zapłacą. Chyba zapłacą, bo nie wiedzą przecież, o co chodzi. W trzy minuty jest rozmowa.

— Czy był telefon w mojej sprawie? — pytam. Oddycham z ulgą — nie. Zdążyłem. Telegraficznym stylem podaję swój fikcyjny życiorys. Mają potwierdzić. Wyjaśnienia potem.

Mój milioner nazywa się G. D. Donner, ma pięćdziesiąt kilka lat, okulary i małe, ale gęste wąsy. Jest prawdziwym milionerem, ma koło Chicago fabrykę mechanicznych kluczy, kilka samochodów, przy czym każdy z jego synów jeździ innym, awionetką i ten jachcik, którego każdy metr długości kosztuje ponad pięć tysięcy dolarów, co odpowiada cenie dużych Ca-dillaków (takiego grzmota ma również). Za ten jacht, jak wynika z prostego przeliczenia, można sobie sprawić osiemnaście takich samochodów. O moim wynagrodzeniu jeszcze nie było mowy.

Pracuję od samego rana. Podobno mają przyjechać goście i trzeba podmalować sufit w saloniku. W kilku miejscach złuszczył się stary lakier, w jednym trzeba zamalować pęknięcie. To malowanie to próba. Bardzo lubię próby. Można wtedy zdobyć się na duży wysiłek i pokazać, co by się mogło zrobić, gdyby się chciało.

Dywan częściowo zwinięty, częściowo przykryty gazetami. Ciągnie mnie drukowane słowo, ale nie mogę na razie nawet rzucić na nie okiem, tak absorbują mnie moje malarskie wyczyny. Lakier pryska z pędzla na rękę, a czasem i nos. Na amerykańską gazetę trzeba mieć dużo czasu. Trzeba się nauczyć wyławiać wiadomości z setek ogłoszeń. Natomiast do przykrycia dywanu doskonale się nadają, bo duże i kilkunastostronicowe.

Przyszedł milioner i pokiwał głową. Nie powiedziałem mu, że takie malowanie to nie nowina, należy do moich klubowych obowiązków w Polsce. I takich samych bąbli dostaję na kciuku od malowania starej łajby, jak eleganckiego jachtu. Można nabrać wprawy. On jest pewien, że byłem na przeszkoleniu .w marynarce wojennej, i nawet nie pyta.

— Nadajesz się. Zobaczmy, jak dalej będziesz pracował, na razie zostajesz na próbie.

A więc nie pojedę do Fort Lauderdale i nie zobaczę, jak młodzież tańczy w skarpetkach.

Przyjechali zapowiedziani goście, państwo Hahn z Illinois. W obszernym bagażniku przywieźli kilka wielkich waliz, które teraz pomagam wnosić na jacht. Całe szczęście, że zdołałem posprzątać

ślady walki z lakierami.

— Chris, tutaj!

Gest, jaki temu towarzyszy, budzi we mnie komiczne skojarzenie w rodzaju: — Janie, wyprzęgajcie!

Państwo Hahn są zbudowani tym, że ich przyjaciel posiada taką pomoc. W Ameryce mało kto może sobie pozwolić na służbę i w tej chwili zaczynam rozumieć, czemu zawdzięczam tak niespodziewane zatrudnienie. Mój pan (no czyż to nie brzmi ślicznie?) przedstawia mnie kordialnie:

— Chris pochodzi z dobrej rodziny (?) i służył na okręcie wojennym w Polsce (!), skończył rok studiów w Toronto (?), ale woli jachty od nauki (!).

Pani Hahn uśmiecha się do białych kropek na moim nosie, a jej małżonek mruczy sakramentalne: — Nice to meet you. — Ponieważ tak właśnie spotykają się ludzie równi sobie, mój milioner zaznacza:

— Chris jest tu tylko jako pomocnik (do wszystkiego) i zna swoje obowiązki. Jego kwatery mieści się w dziobie i na pewno nie będzie wam przeszkadzał.

Na pewno nie będę nikomu przeszkadzał, tylko najpierw chciałbym znać swoje obowiązki, prócz zasadniczego — robić wszystko, co jest do zrobienia. Milioner bierze mnie do kambuza i udziela szczegółowych instrukcji:

— Twoim pomieszczeniem jest forpik, część dziobowa, do której masz dojście przez luk przedni, nie inaczej. Kuchni możesz używać tylko wtedy, gdy goście nie będą z niej korzystać. Do pozostałych pomieszczeń wolno ci wchodzić tylko na sprzątanie i staraj się to robić tylko wtedy, gdy goście wychodzą. Poza tym każdego ranka mycie jachtu, ale takie, jak cię uczyli w marynarce. Razem ze sprzątaniami to ci zabierze czas do południa. Teraz możesz się rozlokować, bo już dziś zostaniesz na jachcie.

I tak zostałem. Moja koka przytyka do prawej burty, nieco wyżej półeczka. Przy lewej burcie schowek na bieliznę i wążutka ławeczka. Pomiędzy ławką i kocką można jeszcze wstawić krzesło, ale nie będzie wtedy gdzie stanąć. Gdy leżę, przed nosem mam komorę kotwiczną, przegrodzoną oczywiście ścianą. Z tyłu, też za ścianą, miniaturowa kabinka z prysznicem (jak na razie leci rdzawa woda). Do kuchni wyjście na wprost, pod prysznic — w lewo za plastikowy parawan. Kambuz, czyli kuchnia, ma trzy palniki wbudowane tak samo jak zlew i szafki na garnki. Z jednej strony półeczki na żywność, z drugiej stelaż na szklanki i kieliszki. To wszystko na jednej burcie. Na drugiej burcie otwierany stół i ławeczki, pod którymi przechowuje się pościel. Obok stoi lodówka mojego wzrostu. Do saloniku wchodzimy po kilku schodkach. Na podłodze leży dywan pokryty mikroskopijnymi wałeczkami. Szorstki, a jednak miękki. Pod podłogą maszynownia z wejściem do kambuza i nawigacyjnej. Dwa foteliki i kanapka umocowane pod szerokimi oknami, wszystkie obicia na żółto. Firanki też w tym kolorze. Sufit biały, pamiętamy. W rogach brązowe wentylatory. Jak już zaszliśmy tak daleko na teren zakazany, to idźmy dalej. Schodki do góry prowadzą do kabiny nawigacyjnej, na dół — do apartamentów. Z nawigacyjnej wychodzi się na pokład, na obie strony odsuwając do tyłu ruchome drzwi. Apartamenty są trzy — po lewej dwa miejsca piętrowe z umywalką, po prawej stronie dwa miejsca na płask, ale bez umywalki, na wprost największe pomieszczenie — dwa tapczany tworzące łóżko małżeńskie, stolik na aluminiowych nogach, foteliki, książki na półkach i wszędzie okropny dywan, który się gniece, ilekroć po nim przejść. W każdym pomieszczeniu przynajmniej jeden wentylator i lampki nocne przy wezłowiach. Jest jeszcze miejsce na łazienkę, oczywiście w małym wymiarze. To wszystko tereny mojego sprzątanego. A tereny codziennego mycia to pokład i nadbudówki.

Zaczynam od dachu nawigacyjnej. Najpierw woda wężem, potem proszek mydlany i szczotka, potem woda, na końcu miotła ze sznurków gąbczastych, którą zamiata się wodę i wyżyma się jak ścierkę. Wytrzeć trzeba do sucha. Teraz można przejść niżej, na dach mesy. Wszystko to samo, dodatkowo trzeba wypucować specjalną pastą wszystkie chromowane i niklowane okucia. Na pokładzie najwięcej kłopotu sprawiają relingi, drewniane poręcze, które ciągną się od dziobu do rufy. Trzeba je dobrze wycierać, bo zbierające się kropelki wody na dolnej powierzchni tworzą brudne zacieki.

Na to zwraca mi uwagę milioner. Przyszedł koło południa. Goście, którym rano powiedziałem

dzień dobry, poszli na spacer, master przeszedł się po pokładzie, dotknął ręką okuć, zajrzał pod daszek nawigacyjnej, gdzie co rano można znaleźć subtelne pajęczynki, i stanął przy mnie.

— Well, jakiej płacy oczekujesz?

— It's up to you — to znaczy: niech pan sam decyduje. Dla milionera nie powinno to stanowić problemu. Ale milioner nie byłby milionerem, gdyby wyrzucał pieniądze. Ponawia pytanie. Moja odpowiedź jest taka sama, a nuż podałbym jakąś nieprzyzwoicie wysoką sumę.

— Najniższa płaca, jaką otrzymują pracownicy fizyczni — zaczyna ostrożnie — wynosi dolara za godzinę... Nie musisz pracować więcej niż pięć godzin dziennie, aby uwinąć się z robotą. Odpowiada ci to? — i szybko dodaje: — Spanie masz na jachcie i możesz korzystać z kuchni, tylko jedzenie będziesz musiał sobie kupować.

Zgodziłem się natychmiast, nie lubię tego rodzaju targów, a mojemu milionerowi sprawiłem wyraźną przyjemność.

Przez pierwszy tydzień pracuję do późnego popołudnia z przerwą na obiad, z gorliwością godną honoru marynarki wojennej. Zawsze jednak coś jeszcze zostaje do zrobienia. Jacht łśni, a państwo Hahn wystawiają mi korzystną opinię u mojego pracodawcy. On sam, ile razy wpadnie na jacht, zastaje mnie przy jakiejś robocie. Przychodzi w określonych godzinach, najczęściej koło południa. Dużo czasu zabierają mu interesy, wiele godzin spędza na placu budowy nowego domu nad Caloosahachi. Druga wizytacja wypada zwykle koło godziny czwartej. Przychodzi wtedy karmić kaczkę, które już dawno przestały być dzikie. W nawigacyjnej leży torba pełna ziaren kukurydzy. Najpierw gwizdże, potem sypie pełną garścią, a jego ukochane „ducks” z wielkim szumem zlatują się ze wszystkich zakątków basenu jachtowego. Mój milioner ma konkurencję. Mr Miller, właściciel sąsiedniego jachtu, do którego najpierw zawędrowałem, ma to samo hobby. Zawarliśmy znajomość, bo co rano mówimy sobie hallo, poza tym on musi robić to samo co ja, myć pokład. Tylko robi to oczywiście o wiele krócej i zaoszczędza pięć dolarów dziennie.

Państwo Hahn nudzą się. Zwiedzili już okoliczne miasteczka, które właściwie znają z zeszłorocznej wizyty, odwiedzają Mr Donnera w domku, który jest własnością jego żony. Mr Donner rewizytuje ich na własnym jachcie, wypijają po szklaneczkę i nudzą się dalej. Mr Donner obiecał im, że wypłyniemy w rejs po Zatoce Meksykańskiej, ale business is business, a jak ktoś się zajmuje interesami, nie ma czasu na przyjemności. Mnie szef zapowiedział, że popłyniemy dookoła Key West i na północ do Nowego Jorku. Oczywiście po uporządkowaniu interesów. Na razie wybieramy się na wycieczkę niedzielną w górę Caloosahachi. Dobre i to.

W nawigacyjnej po obu stronach koła sterowego znajdują się manetki „gazu” oddzielnie dla każdego diesla. Na ścianie po lewej wisi sonar, sonda ultradźwiękowa. Od dawna kręciłem wszystkimi możliwymi przyrządami, teraz kapitan pozwala poprowadzić. Z wielkich rozlewisk rzeka zmniejsza się w brudny, ale głęboki nurt. Po obu stronach gąszcz pełen krzyku ptactwa, rzeka kręci łagodnymi łukami. Tędy można dopłynąć do dużego jeziora Okeechobee, ale to zbyt daleko jak na niedzielny spacer.

Wracamy prosto w słońce. Już trzy godziny siedzę za kółkiem, w nawigacyjnej robi się gorąco i sennie. Towarzystwo wygrzewa się w fotelikach na rufie, pewnie coś popijają. Od wody idzie taki blask, że muszę mrużyć oczy. Najchętniej zamknąłbym całkiem.

Manewr dojścia do nabrzeża przeprowadza sam mistrz, trochę za nerwowo. Burta ociera się o obijacze. Będę musiał jutro zamalować. Znowu porządkowanie jachtu, czyli klar — nałożyć pokrowce na foteliki, zmyć pokład, wymyć szklanki. W kuchni na wierzchu pozostawiono dwie butelki — jedna z ginem, druga z whisky. Pewnie chcą się przekonać, czy się skuszę.

Państwo Hahn chyba się znowu nudzą. Ona siadła na kanapce z robótką, on z książką, a robią to dzień w dzień. Wprawdzie ja też powtarzam swoje czynności każdego dnia, ale urozmaicam to sobie. Raz wyczyszczyć kuchnię, drugi raz odkurzyć dywany. Gdybym chciał zrobić to wszystko, co do mnie należy, w ciągu jednego dnia, harowałbym do późnej nocy.

Hahnowie wyjeżdżają. Mają tego wszystkiego dość. Przyjechali, żeby się rozerwać, czekali na jakiś dłuższy rejsik i nic. Dwa tygodnie na Florydzie wystarczą na przyjemną opaleniznę. Pomogłem wynieść ich manatki. Pan Hahn sięgnął ręką z przyzwyczajenia do kieszeni, ale w porę sobie przypomniał, że pan Donner prosił, żeby mi nie dawać napiwków. Za to otrzymuję wynagrodzenie.

Postój jachtu trwa. Znalazłem dwóch przyjaciół. Jeden nazywa się *Somerset* Maugham, drugi ma na imię Bili. Pierwszego znalazłem w kapitańskiej biblioteczkę, gdzie teraz bezkarnie buszuję po wyjeździe gości, drugiego spotkałem w Exhibition Hali, wielkiej sali, gdzie odbywają się zawsze jakieś imprezy. Tym razem stojąc przy wejściu patrzyłem na „square dances”, narodowe tańce amerykańskie. Skrzypczki ciągną rytmiczną melodię, pianino akompaniuje, a pary maszerują wkoło wymaglinowanych czworoboków o boku około dziesięciu stóp. Na początku każdej figury pary stoją na środku boków. Figur jest tysiące, przechodzenie tak i tak, tędy i tamtędy. Żeby nie pokręcić, co po czym następuje, trzeba uważnie słuchać „callera”, który śpiewnie wykrzykuje — promenadę, allemande left... Słowa padają w rytm melodii, którą rzępolą skrzypczki. Czworoboki z par, których jest kilkadziesiąt, załamują się, krzyżują, zawsze w obrębie własnego „square”. Klasyczny „square dance” tańczy się w odpowiednich strojach, przeważnie w kowbojskich na znak, że taniec ten wywę-drował spod strzechy stodoły i karczmy. Ale to były „good old days”, które wspomina się przy wszystkich okazjach. Żeby tańczyć, trzeba znać podstawowe figury, z których składa się różne kombinacje opatrzone odpowiednimi nazwami — „Virginia Reel” „Buf-falo Girls” czy „Dip and Dive”.

Kilka osób stoi przy drzwiach i zagląda, jak inni się bawią. Pewnie albo nie mają pieniędzy na opłacenie wstępu, albo nie mają z kim tańczyć, a siedzieć im się nie chce.

— Ładnie to wygląda, nie?

— Tak, bardzo ładnie.

Szeroka gładka twarz i szeroki uśmiech, który tylko na takiej twarzy mógłby się zmieścić. W zębach trzyma fajeczkę i pyka. Gdy się uśmiecha, z oczu robią się szparki. Podziwialiśmy jeszcze przez chwilę kolorowy tłum wykonujący obroty w tym samym momencie. Odeszliśmy razem jako znajomi.

Bili jest studentem drugiego roku ekonomii na uniwersytecie w Kentucky. Czeka tutaj na przyjazd „Piratów z Pittsburga”, reprezentacyjnej drużyny amerykańskiego futbolu, którzy pod koniec marca rozpoczynają obóz kondycyjny. A więc sprawozdawca sportowy? Tak, coś w tym rodzaju. Na razie pracuje w Western Union, agencji telegraficznej, którą wykorzysta później do przesyłania swoich informacji.

Przy kolacji zgodziliśmy się, że miasteczko jest beznadziejnie nudne i gdyby nie praca, pojechalibyśmy do Fort Lauderdale. Bili zazdrości mi pięknych perspektyw rejsu dookoła Florydy.

— Fort Lauderdale ma wielką „marine”, czyli port jachtowy, jeśli chcesz wiedzieć.

Ja mu zazdroszczę lepszych zarobków.

Poznałem żonę mego szefa, wysoka kobieta o siwych włosach, ujmującym uśmiechu i dużych brązowych oczach. Z wykształcenia jest plastyczką i kolory jachtu dobrane są według jej projektu. Pani Donner przyniosła mi stare radio i kupę czasopism, żeby mi skrócić oczekiwanie na rejs. A czekam już trzy tygodnie. Przestałem już brać namiary na radiowym pelengatorze, żeby się wprawić w określanie pozycji, urządzenie wykorzystuję do słuchania meksykańskich melodii przelatujących przez zatokę. Kurs na Key West już dawno wykreślony, ale mapy więcej nie wyciągam.

Mój milioner wjechał sportowym Mercedesem w palmową aleję i zaparkował koło samego jachtu, tuż za kamienną balustradką. Drzwi tego samochodu otwierają się do góry, jak skrzydła czarnego ptaka. Właśnie chciałem wyjść na spotkanie z Billem.

— Hej, Chris, wyglądasz całkiem porządnie.

W jego głosie brzmiało zdziwienie. Zawsze chodziłem w szortach, a teraz włożyłem jasne spodnie i nową koszulę.

— Może pojedziesz ze mną, kupimy ziarno dla „bandy żarłocznych kaczek”.

Przy okazji przypomina sobie, że jest koniec tygodnia, i wypisuje mi czek na trzydzieści pięć dolarów. Chce mi pokazać zalety samochodu i na pierwszym zakręcie zarzuca.

— Pojedziemy kiedyś na szosę, zobaczysz, jak leci. A wieczorem sprawdzimy akumulatory na jachcie.

Wieczorem sprawdzamy akumulatory w maszynowni. Areometrem zakwaszenie, woltomierzem napięcie, no sir, końcówki trzeba przełączyć, bo tak mierzylibyśmy oporność.

— Skąd ty się na tym znasz?

— Uczyli mnie tego.

— A ile lat studiów skończyłeś?

— Jak mówiłem, jeden.

Przygląda mi się z niedowierzaniem. Skąd mogłem wiedzieć, że ojcu się wszystko poplątało i powiedział, jak jest naprawdę.

— Przynieś mi funel.

— Yes, sir (co to jest „funel”, u diabła?), gdzie leży?

— Za gaśnicą. Podchodzę do gaśnicy.

— Nie widzę, sir.

— Jak to nie widzisz, musi być, duży, biały funel.

Duży i biały... Bez wątpienia ten lejek. Przynoszę. Milioner kręci głową.

— Bystry jesteś, ale czasem sprawiasz wrażenie, jakbyś nie rozumiał, o co chodzi. — I w przystępie dobrego humoru proponuje mi... pracę. Stałe zatrudnienie w swojej fabryce kluczy koło Chicago.

— Podoba mi się sposób, w jaki pracujesz.

Ma pewnie na myśli to, że jestem pracownikiem, któremu można mało płacić, a który z nudów i tak będzie dużo robił. Odmawiam uprzejmie, bo przecież po to przez miesiąc tu siedzę, żeby popłynąć choćby do Fort Lauderdale.

— Popłyniemy, popłyniemy. Jak chcesz, to wezmę cię na małą wycieczkę samolotem. A jak będziesz odchodził, dostaniesz dobre referencje.

Czekam na wycieczkę samolotem, na wypłynięcie z portu i na narty wodne, które Bili obiecał załatwić. Czekam na Amerykanów, którzy z północy przyjeżdżają po odrobinę słońca i podziwiają pięknie utrzymany jacht. Są przekonani, że jestem tubylcem (to ta opalenizna) i co lepsze, synem właściciela. Czekam na Darlene, którą poznałem dzięki pani Bail (o nich będzie mowa później), czekam na milionera z projektem wymalowania magazynku na rufie i czekam na moment, kiedy będzie można uciec, pożegnać nudny luksus dla ciekawej włóczęgi.

Wszystkiego się spodziewałem, tylko nie tego, że dostanę małego Volkswagena na całe popołudnie. A dwa dni później na cały wieczór.

— Bak jest pełen benzyny, nie musisz kupować. Ani chybi Mr Donner uległ tej samej sugestii, co przyjezdni, i zaczyna mnie traktować jak syna. Jego dzieci przyjadą na ferie wielkanocne, ale ja do tego czasu i tak nie wytrzymam. „Three suns”, trzy żółte krążki na niebieskim tle, tak wygląda banderka właściciela. A dlaczego słońca? Bo po angielsku tak samo wymawia się „three sons”, a to są właśnie trzej synowie milionera. Na razie uczą się albo, co bardziej prawdopodobne, rozbijają się samochodami po hotelach i kinach „drive-in”.

Pojechaliśmy z Billem na plażę nad Gulf, byliśmy z Darlene na tańcówce w Veniee, wszystkie wypadki nie przekraczają kilkunastu mil wokół miasteczka. Chciałbym zobaczyć jeszcze kawałek Ameryki. Uciulałem już sto kilkadziesiąt dolarów i coraz mniejsze zainteresowanie budzą we mnie mapy Zatoki Meksykańskiej, a coraz więcej fascynuje Nowy Orlean. Pociąga mnie to miasto i marzę o tym, żeby tam przepuścić forszę. Co niedziela słucham rano godzinnego programu radiowego z Nowego Orleanu — „spirituals”, religijne pieśni murzyńskie śpiewane są bez żadnego akompaniamentu, a jednak rytmiczne i szalenie melodyjne. Wszystko improwizacja. Przynajmniej w oryginalnym wykonaniu.

Bili nie załatwił nart wodnych, Jankesi nie przyjeżdżają na bulwar sportowy, bo leje deszcz. Poranna toaleta jachtu poszła na marne. Gdy na Florydzie leje, to tak, że razem z deszczem lecą liście z palm i rozcieńczony brud. A więc od nowa trzeba wyczyścić dach na nawigacyjnej, na mesie, potem pokład i drewniane poręcze, które trzeba dobrze wycierać, żeby nie zostawić zacieków. Przychodzi master.

— Interesy nie pozwolą mi teraz wypłynąć, ale nie martw się, piękny rejsik odstawimy w czasie letnich wakacji. Do Nowego Jorku, a stamtąd Hudson River do Wielkich Jezior, skąd kanałami do Mississippi i z prądem do zatoki.

Już się nie martwię. Postanowienie zapadło. Uciekam. Następnego dnia zakładam speech:

— Sir, chciałbym w tym tygodniu skończyć pracę. Prawdopodobnie będę kontynuował studia... może wrócę do Polski.

Błysnął okularami, wzruszył ramionami i mruknął:

— Jak chcesz, w niedzielę jeszcze będziesz?

— Chyba tak.

— No to w niedzielę możemy polecieć, jak będzie pogoda.

— Thank you, sir.

Złapałem Billa i wrzasnąłem mu prosto w ucho:

— Wyjeżdżam, wyjeżdżam!

— Do Fort Lauderdale?

— Coś ty, prędzej rdza zje ten jacht, niż się ruszy z miejsca. Jadę autostopem do Nowego Orleanu.

— Ale chyba jeszcze nie teraz, na niedzielę zamówiłem narty wodne.

Wiadomością podzieliłem się także z Darlene.

— To świetnie, zorganizujemy wspólnie weekend. Będzie jeszcze parę chłopców i dziewcząt. Zabierzemy cię w sobotę wieczorem.

Dobrze, że nie mam innych znajomości, bo okazałoby się, że wszyscy się zmówili, by mnie na ten ostatni dzień rozerwać. A siedzę już na jachcie, chwala Bogu, półtora miesiąca i marzę o ludzkim towarzystwie i rozrywkach.

Sobota rano. Maluję magazynek na rufie i zdaje mi się, że będę miał bąble od pędzli. Jedyne raz, kiedy to miejsce było malowane, to narodziny jachtu. Nie zdążyłem wcześniej powiedzieć mojemu milionerowi, że zdecydowałem się wyjechać już w sobotę. Czy nie ma nic przeciwko temu?

— Znajomi zabiorą mnie samochodem. Wzrusza ramionami i nie wyraża sprzeciwu.

— Tylko wykończ dobrze malowanie.

— Yes, sir — śmieję się — przemęczać się nie będę, dzisiejszy dzień jest bezpłatny.

Niestety, żart był nie na miejscu. Skąd mogłem wiedzieć, że pieniądz zabija poczucie humoru i jest „tabu”, z którego nie wolno żartować. Mój milioner spaśował, jakby go apopleksja miała trafić. Rzeczywiście, w całym rachunku mojej robocizny brakowało pięciu dolarów, albo za dzisiejszy dzień, albo za pierwszy, ale to przecież drobiazg w stosunku do dwustu dolarów, które już i tak w połowie wydałem. Ani mi w głowie było o to się upominać. Nastąpił wybuch świętego oburzenia.

— Myślałem, że nie jesteś taki jak wszyscy Amerykanie, ale zawiodłem się na tobie!!

Parsknął i wybiegł. Poczuję się głupio. Odłożyłem pędzel i puszkę z lakierem i poszedłem wyjaśnić sytuację. Nie chciałem go urazić, nie to miałem na myśli... Wszystko na nic. Zastygł w szlachetnej pozie, zwrócony profilem i jakby nie słyszał. Trudno. Złamałem nie pisany regulamin, okazałem się niewdzięcznikiem.

Żywiłem skrytą nadzieję, że na pożegnanie dostanę od mego pracodawcy podręcznik nawigacji, na który miałem chrapkę. Trzeba było z tego zrezygnować. Spakowałem chlebak, cały mój majątek, i przyszedłem się pożegnać (magazynek wymalowany do końca). Podał mi rękę, wycedził „good-luck” i wrócił do karmienia kaczek. Tak skończyła się moja kariera w świecie bogaczy. Dobrze, że nie wspominałem o referencjach.

Pod palmami czekał już samochód, przejechaliśmy obok zaparkowanego Cadillaka. Osiemnaście takich może się złożyć na jacht „Three Suns”, najlepiej utrzymany jacht w porcie.

Następnej zimy przesłałem mojemu milionerowi pozdrowienia noworoczne z Polski. Odpowiedzi nie było.

Edisonia Parada

— Feluś, zajrzyj no do kalendarza, kto dzisiaj obchodzi imieniny.

— Antonina.

— W porządku, Feluś, przyniesiesz pół litra, będziemy obchodzić imieniny Antoniny.

W małym miasteczku ruch i podniecenie. Już o drugiej zaczynają się gromadzić ludzie na ulicach.

Prezydent przyjeżdża? Nie, o trzeciej rusza parada. Zbierające się tłumy znaczą marszrutę pochodu. Powitanie nowego roku? Ależ skąd, przecież mamy połowę lutego. Chcielibyśmy szepnąć, że na pewno dzisiaj Antonina obchodzi imieniny, ale nie jesteśmy pijakami. Zresztą w tym wypadku nie będzie picia. Będzie wielka parada i wieczór poświęcony... co tam cały wieczór. Cały tydzień będzie zwariowany z powodu Thomasa Alvy Edisona. Tego samego, który wynalazł mikrofon, fonograf i żarówkę. I co najważniejsze, urodził się w lutym. Rok 1847 jest mniej istotny, bo nie daje żadnej równej rocznicy. Wprawdzie nie przyszedł na świat w dumnym miasteczku Fort Myers, ale tu miał swoją zimową posiadłość i niewątpliwie zasługą mieszkańców jest to, że dali mu spokojnie myśleć.

Gdyby genialny staruszek żył dzisiaj, czekałyby go ciężkie chwile. Z całej Florydy pojeżdżały się zespoły rutynowane w tego rodzaju uroczystościach, szkolne orkiestry, przedstawiciele firm ze swymi produktami i przedstawiciele stowarzyszeń z transparentami na udekorowanych platformach. Wystarczy, żeby tylko była okazja, zaraz się zjawiają. Ostatnio produkowali się w Miami.

Na bocznej ulicy nad brzegiem rzeki ostatnie przygotowania. Nie bądźmy niedyskretni i nie oglądajmy teraz zmęczonych dziewcząt siedzących na trawnikach lub krawędziach swoich platform. Na głównej ulicy będą się szeroko i szczęśliwie uśmiechały. I tam jest nasze miejsce.

Reumatycy, spensjonowani businessmeni, renciści już od wczesnych godzin walczyli o miejsce dla swojego krzeselka. Ocierają pot z czoła, bo termometr wskazuje 74 stopnie Farenheita, albo otulają się ciepłej, gdy nadejdzie chmura i zawieje chłodny wiatr. Na co patrzą? Po kolei:

- 3 samochody policyjne
- Grand Marshal, który kłania się na wszystkie strony
- kilku uśmiechniętych potentatów
- High School Band w mundurkach i wysokich czakach. Pierwszy rząd — dziewczęta wywijające laseczkami, leaders
- 3 samochody policyjne
- staroświecki Ford z roku 1910
- major miasta
- deputowany Kongresu i producent drobiazgów elektrycznych, przedstawiciel firmy Edison Industrie
- kolumna biało-zielono ubranych dziewczątek ze szkoły średniej. Na głowach zielone pióropusze
- zeszłoroczna królowa piękności, która chyba zbrzydła przez rok.
- orkiestra z ogólniaka (czyni hałas w takt marsza)
- znowu samochód trup, tym razem Lincoln
- młodociany król i królowa miłościwie nam panujący w czasie dni Edisonii
- dwór królewski
- wóz policyjny
- Scotch band, czyli orkiestra
- Szkoci na platformie
- satelita i małe Wenusiki, którym wiatr podwiewa kuse spódniczki.
- Manatea High Hurricane — zespół szkolny w niebieskich uniformach
- dziewczęta z napisem „ojcowie miasta” (to chyba córki)
- Beauty College — piękności wcale nie ma
- Orkiestra Naples High School Band, leader musi przytrzymywać wielki pióropusz, który się trzepie na wietrze
- plaża z dziewczętami między palmami, platforma
- krzyż i Biblia (?)
- znowu band, w czerwonych kolorach
- statek z Mississippi, z pokładu lecą pomarańcze, tłum wyciąga ręce, ale do stadionu jeszcze daleko, musi wystarczyć
- Arabowie, jakaś organizacja, która nie ma z nimi nic wspólnego

— Shrine Club, czyli masoni, ubrani jak błazny, może ci mają coś wspólnego?
— Florida Southern College z Lakeland, wszyscy bojowo, w hełmach
— Lions Club
— skauci
— znowu band — Junior High School, czerwone spodnie i czapki, białe koszule z czerwoną kokardą
— Junior Royalty of Edsonia
— Zastęp Chrystusowy
— Caloosa Ski Club na motorówce
— wóz policyjny, błyskające czerwone światelko i syrena band, ile, do licha, orkiestr może grać na jednej paradzie? A każda w innym rytmie
— Silver Highways, przedsiębiorstwo drogowe, babka puszcza oko na wszystkie strony. Co za przedsiębiorstwo?
— dziewczęta w kostiumach
— Arcadia band
— piwo Budweiser
— La Belle High School z St Petersburg
— amerykański sztandar — niektórzy wstają i zdejmują czapki
— różnego rodzaju wehikuly wiozące starsze lub młodsze dzieci
— mały kowboj wśród kaktusów
— „old fashion” powóz z „old fashion” towarzystwem z XIX wieku, tylko to towarzystwo ma zapewne jeszcze trudności z chodzeniem. Niemniej kapelusze w paski i parasolki w rękach, trzymają fason
— czteroletni Amorek z naciągniętym łukiem i sprytnie przymocowaną strzałą ogląda się wielkimi oczami za mamą, która kroczy z boku i baczy, by mały chuligan nie ustrzelił kogo
— „beatnik”, wielkie okulary i kieliszek między wyciągniętymi na ławce nogami
— dziewczynka-kulka z czerwonym kwiatem we włosach i sukienką z palmowych liści
— pełno „sweethearts” i tatusinych pociech, jadących na wózkach, rowerkach, maszerujących. Wszystko to przeciąga przed jury oceniającym najlepsze pomysły.
— Ten to chyba ruski — sąsiad pokazuje palcem na siedzącego na rakiemie chłopaczka.
— Brawo sputnik — podchwytuje inny.
Po indywidualnych ekspozycjach idą „commercials”. Tutaj dzieci służą jako pretekst do zachwalania produktów miejscowego wyrobu. Znowu ciągną pojazdy:
— dymiąca chałupka
— kwaciarnia, w wehikule jest tyle kwiatów, że dzieciaki ledwo widać
— jakaś kompania zajmująca się sprzedażą sekatorów i narzędzi ogrodniczych przygotowała raketę i wysłała młodocianą parę na Marsa: — Jeśli tylko jest tam trawa, jedziemy!
— bank reprezentowany przez rekiny. Jakże trafnie. Tylko w paszczy siedzą urocze stworzonka, maluchy żeńskiego rodzaju.
Chmury burzowe jakoś omijają i słońce, i miasteczko. Pędzą wysusiać się nad Zatoką Meksykańską. Czwarta minęła, a na karkach wciąż jeszcze palące spojrzenie słońca. Pot leje się spod wysokich kasków uczniów — orkiestrantów, mamy ledwo powłóczą nogami, a dzieci są bliskie zemdlenia. Tłum w lekkich koszulach, wachlujący się czym popadnie, jest zadowolony z widowiska, wybuchają śmiechy na widok kilkunastolatków ubranych jak dorośli, sypią się oklaski nagradzające dowcipne napisy.
Kończy się sznurek kolorowych pojazdów, maszerują kolumny zuchów w okrągłych czapeczkach. Małe harcerczki nie umieją jeszcze trzymać kroku, ale rezolutnie tupią po asfalcie.
Większa przerwa i pochód zamykają Murzyni z Dunbar High School. Niestety, Murzyni zawsze na końcu. Werble utrzymują szybki rytm, odruchowo zaczynamy podrygiwać, ale orkiestra nie gra nic oryginalnego, zwykły marsz. Za to leaders wywijający laseczkami i wyginający się do taktu przed czołem orkiestry, rzecz normalna w amerykańskich paradach, tu pokazują coś więcej. Utrzymują rytm, tańczą od krawężnika do krawężnika, a nogi migoczą w bezustannym ruchu.

Parada skończona, tłumy się rozchodzą. Ekspedienci wracają do sklepów, bo klienci nie mają już na co patrzeć. Starsi panowie wstają postępując i składają krzeselka.

— To był, panie, geniusz z tego naszego Edisona!

Przyjęcie urodzinowe

Czcigodny jubilat, światłość wiekuista niechaj mu świeci, spoczywa w grobie. A my się bawimy na jego urodzinach.

Florida Power and Light Company zaprasza. Wstęp za darmo i pewnie dlatego tyle ludzi. Siedzące miejsca już wszystkie zajęte. Jeszcze można było usiąść na niskim parapecie okna, ale i te zaraz pozajmowali.

A kto płaci, jeśli za darmo? Płacą firmy, dla których uroczystości stanowią doskonałą okazję do reklamy. A na reklamę pieniędzy nie należy skąpić. A więc piekarnia Aleksandra piecze tort urodzinowy, Coca-Cola Bottling Company zaopatruje imprezę w napoje, miejscowa straż pożarna pełni honorową wartę, programy i współpracę z radiem załatwia Pierwszy Bank Narodowy, pianina transportuje firma meblowa, kwiaty... i tak dalej.

Próby części artystycznej odbywały się w loży wolnomularskiej, Shrine Club. Zresztą innej części nie ma, bo wszystko jest artystyczne. Dla zaproszonych gości przewidziana jest „patio-party” (obsługa z zakładu De Molay), gdzie w ściślejszym gronie będzie można celebrować urodziny.

Na rozpoczęcie konferansjer zagaduje pod publiczność:

— Hi, neighbour, czołem sąsiedzie, odrzuć smutki... czas na zabawę, cześć. Hi everybody!

— Hi! — krzyczą radośnie pierwsze rzędy.

— Hi! — mruczą tylne. — Nie zasłaniać!

Na scenie pojawia się tłum ludzi, prawie osiemdziesiąt osób, zdecydowana większość starszych pań, młodszych pań i panienek. Mężczyzn paru zaledwie. Cóż może być piękniejszego, coż może być bardziej odpowiedniego nad leniwą piosenkę cowboya wracającego do domu z baru „Pod Dwudziestką”... yip-eee-tee-yi-yo!

Starsze panie, młodsze panie i panienki, tudzież kilku panów, wrzeszczą ze sceny:

— Yip-eee-tee-yi-yo! — Duże brawa.

Obok miejsca, gdzie siedzę, stoi starsza niewiasta. Zastanawiam się, czy nie odpowiadałoby jej miejsce na parapecie. Jeszcze jak. Wskoczyła z młodzieńczą zwinnością i uśmiechnęła się z podziękowaniem. Stałem pod ścianą. Gest nie przeszedł nie zauważony.

— Pan chyba nie jest Amerykaninem? — Stojąca obok mnie trzydziestoletnia pani zamiast patrzeć na scenę zagląda mi przez ramię do notatnika. — Pan jest reporterem?

Z dziennikarstwem wprawdzie nie miałem jeszcze nic wspólnego, ale czemu nie, to może być ciekawe. Notes i pióro mam, więc potwierdzam. Z Polski. Wzajemna prezentacja, bardzo mi przyjemnie, Mrs George Bail jest nauczycielką tańców. Duże szare oczy patrzą przyjaźnie, włosy gładko zaczesane do tyłu, spięte w kok. To, co się w tej chwili dzieje na scenie, zna doskonale z prób, jest konsultantem występów tanecznych, które zaraz obejrzę.

Carl Fink, baryton strzyżony na krótkiego jeża, śpiewa: „Wezmę cię do domu, Kathleen”. I widać, jak ją bierze pustymi ramionami. Piosenka nie jest nadzwyczajna, ale to ulubiony kawałek Mr Edisona. Brawo!

Przy drzwiach poruszenie. Wygalowani chłopcy od De Molaya ciągną wózek, na którym piętury się tort urodzinowy, tort-monstrum, tort-góra z lukrowymi frędzelkami i żarówką na szczycie. Na sali entuzjazm, niewiele brakuje, a zaśpiewają „sto lat”. Przepraszam. Sto lat dawno już minęło. Wszyscy się podnoszą, żeby zobaczyć, co pan Aleksander upiekł. A pan G. Harold Aleksander stoi w pierwszym rzędzie wraz z panem Robeitem H. Fite, prezydentem Florida Power and Light Co. w charakterze honorowej świty. Nie tortu, tylko pana Johna Edisona Sloan, samego wnuka jubilata, który z nożem w ręku czeka, aż wózek z tortem podjedzie bliżej.

Ma ktoś zapałki? — zapytuje konferansjer. Las rąk podnosi się do góry. — A ma ktoś urodziny? No to zapalcie zapałki na cześć urodzin Edisona i swoich sąsiadów.

Światło gaśnie, a zapalone zapałki niczym maleńkie pochodnie migoczą tłumem ogników.

— Zaraz będzie polka — mówi pani Bail i znacząco podnosi brew. Chór właśnie kończy Gershwin. Nie wyprowadzam jej z lingwistycznego błędu, polka pochodzi z Czechosłowacji, tak

jak Pollack jest nazwiskiem typowo niemieckim, a Niemiec czysto polskim.

Trzy pary pływają w rytmie (tu się kryje pochodzenie słowa „polka”!). Wyraźnie jedna para tańczy lepiej.

— To Polacy, państwo Wyzgowie — oznajmia z triumfem moja sąsiadka. Wymienia także nazwiska pozostałych par, ale zapamiętuję tylko Dana Ericksona (jednego Szweda już znałem). Taneczni podopieczni pani Bail wybiegają za kulisy. Wyjątkowo mocno biję brawo.

Melodie z filmu „Południowy Pacyfik” kończą Musical Brithday Party zorganizowaną przez Florida Power and Light Company. Piekarnia Aleksandra przygotowała tort urodzinowy, Coca-Cola Bottling Compan... Znacie? Znamy. No to posłuchajcie. Pianina dostarczyła firma meblowa... I słuchamy tego, co zostało powiedziane, jest napisane i będzie powiedziane przez radio.

Tłum zasłonił wszystko. Nie ma mowy o tym, żeby dopchać się w poblizze miejsca, gdzie do niedawna był tort. Zresztą muszę uścisnąć rękę przyjacielom pani Bail. Nadstawiam ucha, czy ktoś nie mówi o Edisonie. Nie. Ale za to mówią o Florida Power and Light Co., o Aleksandrze i firmie meblowej, która dostarczyła pianina.

W tanecznym kółku

„Poznałem na Florydzie uroczą kobietę-baletmistrza, żonę tutejszego dyrektora teatru, i otrzymałem zaproszenie na «śledzia», na bal kostiumowy” — napisałem do przyjaciół.

Ale będzie zabawa. Wyobraziłem sobie, że śmietanka towarzyska zjawi się w komplecie.

— Zaprosiłam dzisiaj na dinner miłego dziennikarza z Polski. Niech przyjdzie i pokaże naszym dziewczynkom, jak się tańczy poloneza i mazura — powiedziała pani Bail do męża.

Obydwie zapowiedzi dotyczyły tego samego wieczoru, ostatniego dnia karnawału. Tylko data nie ulegała wątpliwości, natomiast całą resztę należałoby nieco skorygować.

Zaproszenie istotnie dostałem, nie drukowane, tylko ustne, ale tam gdzie spodziewałem się zastać tłum gości, był tylko stół nakryty do obiadu. I za kotarą wielki, pusty parkiet z lustrami na ścianach. Cały dom projektował mąż, który jest architektem (tak, architektem), a ponieważ pani Bail uczy tańca małe dziewczynki, coś w rodzaju rytmiki, przewidział część parterowego domku na salę taneczną.

— Chwileczkę, a pan nie jest dyrektorem teatru?

— Ach, „Little Theater”, to taka honorowa funkcja. W naszym teatrze nic się ostatnio nie dzieje. Czasem przyjeżdża ktoś na odczyt, to wtedy udostępniamy salę. Bardzo trudno coś zorganizować.

Dwie córeczki gospodarzy popisują się tańcem. W ten sposób nabiorę apetytu (nie na córeczki, bo te mają sześć i dziewięć lat) i pojęcia o ich talencie.

Przy świetle ośmiu świec zabieramy się do jedzenia. Mięso i ryba, ziemniaki w łupinach, sałatka, kalafior i wino czerwone i białe. Telewizja, którą często psuje się apetyt nie przyzwyczajonym gościom, nieczynna.

Pan Bail podczas wojny służył w armii na wyspach Pacyfiku, odniósł chwalebne rany, pani Bail była pielęgniarką, romantyczna historia. Objechali prawie cały świat dookoła, zaglądając również do starej Europy. Włóczyli się, krótko mówiąc, i z włóczędzy tej wynieśli moc miłych wspomnień i przyjazne uczucia dla każdego spotkanego człowieka. Szczególnie chętnie widzą u siebie obcokrajowców. Pokazują mi książkę, gdzie wpisane są nazwiska i adresy ich przyjaciół z Japonii, Niemiec, Węgier...

— A to miejsce dla polskiego dziennikarza.

— Przecież ja nie jestem dziennikarzem, tylko... tylko właśnie włóczęgą. — I opowiedziałem, jak wędruję i jak trudno znaleźć towarzystwo.

— Nasz dom jest zawsze otwarty, chcielibyśmy rehabilitować amerykańską gościnność.

Wkrótce doszłoby chyba do wzruszających chwil samokrytyki narodowej i obopólnych zwierzeń osobistych, ale przerwały nam dzieci. Wtoczyły się chmarą, kolorowo poubierane, chyba z tuzin dziewczynek w wieku osiem — czternaście lat.

A więc to jest ten bal kostiumowy!

W kącie salki adapter, Chopin i New Orleans Jazz. Wybór płyt od Bacha do Armstronga. Pani domu przedstawia mnie doborowemu towarzystwu, wszystkie mieszczą mi się pod pachą. Mamy przyjdą odebrać dzieci przed jedenastą.

Pan domu ulotnił się do dalszych apartamentów, zostałem sam wobec zgromadzenia panienek żądnych tańca... nie! Jest Dan, ten sam, który tańczył polkę w Exhibition Hall na urodzinach Edisona. A więc tańczymy

Walca z figurami, polkę z przechodzeniem szeregów i square dances. Dan jest świetny. Chudy, niewysoki, tańczy doskonale, równocześnie uczy. Blond czupryna podskakuje na czole, gdy przytupuje — one, two, three. Marszczy się przy tym, śmiesznie szczerząc zęby. Jest kawalerem i często bywa u pani Bail, pomaga jej uczyć dzieciaki.

Pani Bail zapowiada, co po czym następuje, jakie teraz figury.

— A pani nie zatańczy? Uśmiecha się smutno.

— Do niedawna wcale nie mogłam zginać jednej nogi. Przeszłam operację.

Strasznie mi się przykro zrobiło, nie zauważyłem przedtem żadnej wady w jej chodzie. Okazuje się, że jednak była w balecie, tylko choroba stanęła na drodze jej tanecznej kariery.

— No, ale pan nam musi pokazać polskie tańce. Niech mi ktoś pokaże wśród dzisiejszej młodzieży, wybaczenie, że mówię jak mój dziadzio, ale proszę mi pokazać młodzieńca, który potrafi zatańczyć mazura z figurami. Kujawiaka, owszem. Polonezem zaczyna się wiele większych zabaw, więc niektórzy potrafią, ale na tym się kończą nasze tańce narodowe. Ci, co mogliby pokazać, nie mogą już tańczyć, a zresztą, gdy przyszło do mazura na balu polskich inżynierów w Toronto w Kanadzie, powstało tylko zamieszanie i tumult wpadających na siebie par. Tak czy inaczej doszedłem do wniosku, że niełatwo powtórzyć „Śląsk” czy „Mazowsze” w jednoosobowym składzie.

— Ach, więc to był mazur?

— Nie, proszę pani, krakowiak.

Po tańcach nastąpiły gry towarzyskie — podrzucanie naleśnika na patelni tak, by przeleciał na drugą stronę sznurka, wyławianie ustami jabłek pływających w głębokiej miednicy pełnej wody, zjedanie ciasta na czas i tym podobne.

— U nas nie celebrowano zakończenia karnawału, z wyjątkiem Nowego Orleanu i St Louis, gdzie ludzie bawią się przez trzy dni pod rząd. Myśmy urządzili to tak, żeby dzieci poznały europejskie zwyczaje.

— Musimy ci znaleźć partnerkę, Chris, i pojedziemy razem na tańce — powiedział Dan, gdy odwoził mnie swoim starym gruchotem.

Z moim kolegą przedmówcą zgadzam się w zupełności, ale nie wyobrażam sobie, jak w tym miasteczku można znaleźć lokal, gdzie nie trzeba by dużo płacić, pięknie się ubrać, a można potańczyć.

— Chłopie, obtańczyłem już wszystkie okoliczne parkiety. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie i kiedy. Na przykład pojutrze w Venice, a w sobotę w Punta Gorda, w niedzielę w Naples, a każde po pół dolara.

— To wszystko daleko.

— Nic się nie martw, przyjadę po ciebie.

W świetle reflektorów migają pnie palm, pędzimy palmowym korytarzem.

— Dan, ile ty masz właściwie lat?

— Czterdziesty pierwszy leci, a ty myślałeś ile? — Dan szczerzy zęby w mroku.

— Dawałem ci o dziesięć lat mniej, szczególnie jak wywijalesz z tymi maluchami. Ty nie masz zamiaru się żenić?

— Dlaczego nie...?

— Wybacz mi niedelikatność, ale tu dzieciaki z high school się żenią, a mnie pytają, czy zamierzam zostać starym kawalerem.

Dan chwilę nie odpowiada, samochód strzela z rury wydechowej.

— Chłopie, jak spotkam babkę, która będzie mi odpowiadać, to się ożenię. Well, pogadamy następnym razem.

Jestem na miejscu, do zobaczenia.

Dziwny ten Dan, jest z pochodzenia Szwedem, ale urodził się w Stanach. Mieszkał na zachodnim wybrzeżu, w Oregonie, i mył szyby. Tak wyspecjalizował się w tym zawodzie, że założył przedsiębiorstwo do spółki z kolegą. Pewnego dnia znudziło mu się jednak, sprzedał dobrze prosperujące przedsiębiorstwo swemu partnerowi, a sam wyjechał na Kubę. Tu dobrał sobie czterech kompanów i zakupił ziemię, z której ich wkrótce wyrzucono. Dan wrócił na Florydę. Rząd młodej republiki wypłacił mu odszkodowanie, ale Dan stracił na tym całym interesie. Na Florydzie wrócił do dawnej specjalności, ale teraz już koniec z myciem okien. Będzie sprzedawał Encyklopedię Brytyjską, tak jak sprzedają odkurzacze czy patentowane szelki, przekonując rozmówców o korzyściach, jakie może im przynieść nowy zakup. A dlatego encyklopedię, a nie odkurzacze, bo nie masz lepszego i bardziej uniwersalnego podręcznika, książki, która udzieli ci każdej informacji... (Wiesz, Dan, że ja nie kupię). Nieprzeciętną trzeba mieć gadkę, żeby zdobyć klienta, który ma dosyć najazdów domokrażców sprzedających wszystko, czym dana firma dysponuje.

Dan interesuje się także grafoanalizą, odczytywaniem cech charakteru ze sposobu pisania. Bzdura, powie każdy, inaczej piszę piórem, a inaczej ołówkiem. Tak się wydaje i ja też uśmiechnąłem się, gdy Dan poprosił mnie o dowolne zmienienie charakteru pisma. Jedno zdanie napisałem maczkiem bardzo starannie, drugie krzywymi kulfonami.

— Popatrz chłopie, poprzeczkę w literze „t” stawiasz zawsze w tym samym miejscu, pętla przy „y” jest taka sama.

I tak okazało się, że litery wprawdzie inaczej wyglądają, ale pisane są w ten sam sposób, charakterystyczny dla danej osoby. Gorzej, z pisma wyciera prawdziwy charakter i Dan, oświadczając, że nie ma jeszcze dużej wprawy, powiedział mi, jaki jestem, wymienił również cechy, z którymi się nie zdradzam, a widział mnie po raz pierwszy. Oczywiście zaprzeczyłem, żeby „zachować twarz”, ale on się nie zraził. Stwierdził tylko, że pewnie nie zdaję sobie z tego sprawy, co nie przeszkadza, by te cechy mogły się wkrótce ujawnić. Co tu ukrywać, przekonałem się do grafoanalizy, kiedy sam zacząłem odnajdywać w listach znajomych znajome charaktery. Tak jak mi Dan pokazał, literka po literce.

W nowej pracy Dan chce wykorzystać swoje umiejętności. Pół walki jest wygranej, gdy się wie, z kim ma się do czynienia. A wystarczy podpis na rachunku w sklepie czy sposób adresowania listu i już wiadomo, czy „właściciel” pisma ma skłonności do literatury pięknej, czy woli majsterkowanie. A dla każdego znajdzie się właściwy dział w encyklopedii. Grafoanaliza idzie oczywiście w parze z psychologią i dlatego Dan czyta odpowiednie podręczniki.

Zostaje w małym mieście, ponieważ tu wszyscy się znają, a krąg znajomości jest kręgiem klientów. Zresztą tańcząc poznaje się też masę ludzi.

Spotkaliśmy się dwa dni później. Pojechałem z Danem do jego domu. Domu? Można to tak nazwać, choć jest przerobionym wagonem bez kół. W środku przepierzenie oddziela dwa apartamenty. Na zewnątrz dobudowano maleńką komórkę. Na stole rozbebeszony magnetofonik i skrzyneczka z napisem „Gold mine” — kopalnia złota. To mnie frapuje, ale w skrzyneczce nie ma złota. Karteczki pięknie rządkiem poukładane jak w podręcznej bibliotece.

— To moja kopalnia złota na przyszłość — objaśnia Dan i pokazuje jedną z nich. — To jest kartoteka moich przyszłych klientów. Na każdej karteczce piszę, co o nich wiem, o ich przyzwyczajeniach i zainteresowaniach. Czy mają dzieci, czy nie, o czym lubią rozmawiać i jakich mają znajomych. Mając taką kartotekę, mogę potem do nich iść i rozmawiać o rzeczach, które ich ciekawią. Może uda mi się wskazać im w encyklopedii to, co im najbardziej odpowiada.

— Dan, jesteś jak detektyw z kartoteką przestępców. Nastawiasz ucha, badasz pismo i notujesz spostrzeżenia.

— To szalenie ciekawe, a poza tym trzeba sobie przygotować grunt, na którym potem będę zbijał forszę. Dlatego nazwałem to kopalnią złota. A teraz jedziemy do Darlene.

— Kto to jest?

— Twoja partnerka do tańca.

Nawet nie pytałem, jak wygląda. Wyobraziłem sobie, jak może wyglądać jedyna w całej okolicy dziewczyna do tańca. Żeby choć nie miała okularów. Na pewno maleńka, bo czemu miałyby być

wysoka.

W Punta Gorda skręciliśmy w boczną drogę. Więc do tego wszystkiego mieszka na uboczu.

— Trzeci domek.

Kremowy domek, na podjeździe do garażu dwa samochody. Pewnie goście. Trzeba będzie rozkosznie gaworzyć z towarzystwem.

Dan stuknął w kołatkę, bo takie rzeczy w modzie. Otworzyła niska, tęga dziewczyna. Popatrzyłem przerażony, przecież ona wygląda tak infantylnie, że nikt nie powiedziałby, że ma dziewiętnaście lat. Na spotkanie wyszła mama ubrana w dobrze skrojony kostium. Zęby jak na ogłoszeniach reklamujących pastę do zębów. Wyrazić się o niej — tęga, byłoby niedelikatnością, powiedzmy — postawna. Wymamrotałem:

— How do you do.

— Darlene będzie zaraz gotowa — powiedziała. Odetchnąłem z ulgą, że to nie ta córka. Po chwili wyszła Darlene, wysoka, dobrze zbudowana dziewczyna z długimi włosami blond, puszczone luźno po obu stronach głowy. Szaroniebieskie oczy i zęby, niestety, nie po mamusi. Nie jest piękną, to prawda, ale po takim wstrząsie wydała mi się cudownym zjawiskiem.

Dan zostawił swego gruchota i przesiadł się do samochodu mamy, ja wskoczyłem do wozu Darlene. Ładnie prowadzi. Byliśmy sobie winni parę słów na temat, kto kim jest, czym się zajmuje i jakie ma zainteresowania. W ten sposób zanim dojechaliśmy do tancbudy, znaleźliśmy się z własnych opowiadań.

Darlene jest sekretarką w szpitalu, rok temu zdała maturę, ma masę roboty i chce zostać kulturalno-oświatowym na wielkim statku pasażerskim. Jak krótko można kogoś podsumować: przeszłość, terażniejszość i plany na przyszłość. Moją przeszłość znacie, z przyszłością się nie zdradzam, a terażniejszość określam jako „professional bum”, zawodowy włóczęga. Nie chcę powiedzieć hobo, bo mogę zostać źle zrozumiany.

A oto tancbuda. Doskonale to powiedziałem. Dużą wyobraźnię miał ten, kto chciał nazwać lokalem olbrzymią świetlicę, w której pozawieszano trochę kolorowych papierków i zainstalowano orkiestrę. Nic dziwnego, że tak tanio i nie trzeba się pięknie ubierać. Młodzieży nie widać. Gdyby nie Darlene, nie miałbym z kim tańczyć. Długie włosy fruują, gdy się kręcimy. Dan obtańcowuje przystojną mamę a gdy ta ma dość, bierze kogo innego do tańca. Dan tańczy bez marynarki i najwyraźniej się poci, ale nie ustępuje z parkietu. I trzeba widzieć, jak tańczy. Krąży po całej sali, jakby go taniec nie męczył. Fred Astaire z czasów pierwszej młodości.

Obok orkiestry stoi tabliczka, na której wiszą nazwy trzech następnych tańców. Wiadomo, czego oczekiwać. Ostatni taniec nazywa się „pa and ma” (tata z mamą). Każdy tańczy z partnerką, z którą przyszedł.

Wracamy zadowoleni i zmęczeni. Wzdłuż szosy płonie step. Nie wiadomo, kto go podpalił, i nikt się tym nie martwi. Gdy dojdzie do wilgotnego buszu, zgaśnie. A jeżeli busz jest suchy, dojdzie do brzegu zatoki i też zgaśnie. Piękna iluminacja za darmo. Zjeżdżamy na polną dróżkę, żeby przyjrzeć się płomieniom strzelającym w górę. Pożar snuje swoją opowieść, trzask płonących gałęzi i szept trawy, jakby ktoś mięłosił kawał papieru.

— Chris, nie podjeżdżaj tak blisko. — Darlene czuje zapach palącej się gumy i myśli, że to opony jej samochodu. Niesamowita sceneria, robi się gorąco. Wyjeżdżamy po spalonej trawie na szosę. Za dwa dni przyjdzie tu tropikalna ulewa i łąki znajdą się pod wodą.

Starsze pokolenie jest już w domu. Trzynastoletnia siostra Darlene, tłścioch i okropna przylepa, znowu straszy i nie chce iść spać. Żąda, żeby Dan jeszcze z nią zatańczył. Włącza adapter „hi-fi” (high fidelity) i tak długo obskakuje Dana, powiewając długą koszuliną, aż ten musi się zgodzić. Zaśmiewamy się do łez patrząc, jak mała podryguje i potyka się o własne grube nogi.

— Może my też zatańczymy? — proponuje Darlene.

— A rozbierzesz się jak twoja siostra?

Darlene uważa, że jestem wstrętny, i nie chce ze mną gadać. Mama przepędza małą tanecznicę do łóżka, co jest znakiem, że i my musimy uciekać.

Pierwsze światelka miasteczka, Dan zwolnił trochę. Jeszcze chwila, a samochód rozleciałby się, żeby nareszcie odpocząć w kawałkach. Dan wygodnie rozparty na niewygodnym siedzeniu

pogwizduje.

— Napijemy się piwa na dobranoc?

— Okay.

W barku całkiem pusto, kelnerka ściera bufet, Dan prosi — dwa razy piwo.

— A on ma dwadzieścia jeden lat? — pyta kelnerka patrząc na mnie. Dan się śmieje, a ja muszę pokazać prawo jazdy, w którym zaznaczono mój wiek. Inaczej piwa nie da. Prawa stanowe Florydy pozwalają prowadzić samochody piętnastolatkom, a zabraniają pić alkohol w każdej postaci do lat dwudziestu jeden, niech chleją Coca-Colę. Zupełnie niesłusznie się oburzam.

— Czy to nie głupota?

— Chłopie, z głupotą to jest tak — na serwetce rysuje kilka trójkątów obok siebie — wyobraź sobie, że każdy trójkąt oznacza jakąś dziedzinę. Podstawa jest szeroka i na tym poziomie mieści się masa ludzi, którzy nie mają zielonego pojęcia o tej dziedzinie. Nieco wyżej, bliżej wierzchołka, są poziomy ludzie orientujących się i znających się na rzeczy, ale jest ich mniej. I tak im bliżej wierzchołka, tym mniej ludzi. Ci z góry nie mają wspólnego języka z tymi z dołu. Najwyżej kilka poziomów wzwyż i kilka w dół. A równocześnie ten sam człowiek w innej dziedzinie znajduje się stosunkowo nisko... — rysuje punkty, które z wierzchołka jednego trójkąta przeskakują do podstawy drugiego. Pomyśleć, że ten człowiek zajmuje się zawodowo myciem okien.

— Dan, w dziedzinie tańca jesteś blisko wierzchołka.

— Ali right, all right, potańczysz więcej, będziesz też dobry. Mam nadzieję, że umówiłeś się na następną zabawę.

— Tak, a któregoś popołudnia wpadniemy do pani Bail i potańczymy z dziewczynkami?

— Okay.

Ucieczka z raj

Znowu stoję na drodze. Cóż za cudne uczucie! Wczoraj miałem przedsmak, kiedy malowałem wielkie litery na białej tekturze — New Orleans. Dziś ta tabliczka stoi oparta o chlebak, a ja na głos wyśpiewuję swoją radość. Wszystko we mnie się cieszy, choć straciłem najlepszą w świecie pracę kilka dni temu i zraziłem sobie możnego protektora. Zrezygnowałem z gościnnego domu, gdzie mogłem zostać na zawsze. Zostawiłem przyjaciół, których przedtem tak długo nie mogłem znaleźć. I mimo to nie jest mi smutno. Dużo więcej poświęciłbym za ten powrót na szlak.

Nic mnie dobrego nie czeka, droga jest pusta i będzie pusta. Tylko ten, komu się śpieszy na północ, będzie jechał tą szosą, która wiedzie środkiem Florydy. Ale mało komu się śpieszy wracać do zimy. W północnych stanach marzec jest lodowaty. Każdy wraca wybrzeżem zatoki lub Atlantyku, by dłużej nacieszyć się wiecznym latem Florydy. Nawet klimatu mi nie żal. Chcę tylko tego, żeby mi pozwolono oczekiwać na skraju asfaltu. A że nikt mi tego nie może zabronić, cieszę się, jakby mi kto w kieszeń napluł.

Upojnie pachnie gaj pomarańczowy. Rozerwałem palcami kilka owoców i wyssałem sok. Zapach został na dłoniach. Słońce podniosło się wyżej, wkrótce zrobi się upał nie do wytrzymania. Ledwo skończyłem zwrotkę piosenki do słońca, takiej bez sensu, minął mnie samochód i zaraz zahamował. Chwyciłem tabliczkę New Orleans, chlebak i podbiegłem. Wóz był pełny, pewnie wracają z urlopu. Cztery osoby już siedzą, zmieściłem się na trzeciego na szerokim przednim siedzeniu. Siwa kobieta oddzielająca mnie od kierowcy zwróciła się do mnie jak do starego znajomego.

— Widziałam, jak tańczyłeś na zabawie dwa dni temu i teraz zobaczyłam, że stoisz przy drodze, więc mówię mężowi, żeby się zatrzymał, bo cię widziałam na zabawie dwa dni temu, a on mówi, że cię nie poznaje.

Uśmiechnąłem się do kierowcy i już wszystko było wyjaśnione. Rzeczywiście tańczyłem przedwczoraj z Darlene. Z tego wynika, że jesteśmy znajomi. Na zabawie było tak dużo siwych pań i starszych panów jak ten kierowca, że nie próbowałem sobie nawet przypomnieć, czy ich widziałem.

Moja sąsiadka znalazła we mnie słuchacza. Reszta rodziny, wszyscy w tym samym wieku w

poblizu sześćdziesięciu lat, jeszcze raz będzie musiała słuchać tych samych opowiadań starej ciotki.
— Zawsze grywam na pianinie. To bardzo przyjemna rzecz, gdy się gra na pianinie, uczyłam się przez wiele lat, a później zaczęłam grać na organach, prawie tak samo jak na fortepianie, ale jeszcze trudniej. Zawsze mówię mężowi, że powinien się uczyć najpierw na pianinie, a potem na organach, ale on nie ma słuchu i nie podoba mu się gra na pianinie...

Popatrzyłem na grube dłonie z krótkimi palcami spoczywające na kierownicy, a potem za okno. Po ostatnim huraganie pełno powywracanych palm i łąki stoją pod wodą.

— ...przenieśliśmy się na stałe, bo nam odpowiada klimat. Zawsze powtarzam mężowi, że i córka powinna się tu sprowadzić. Ona bardzo lubi ciepłą pogodę, a tu przecież jest tak przyjemnie...

Chata na wzgórku stała się wyspą. Przynajmniej kaczki mają raj. A ludzie chyba po kostki muszą brodzić.

— ...i teraz będę przygrywała na ślubie mojej córki, oczywiście nie na pianinie, tylko na organach w kościele. Już w domu ćwiczyłam marsza weselnego, ale na pianinie. A mąż powiada, że go to nie bawi i idzie na cocktail do znajomych. Ale przecież, mój słodki, mówię do niego, nasza córka za mąż wychodzi... o mój Boże, a cóż to takiego, powódź?!

Starszą panią zatkało na dobrą chwilę. Samochód wpadł w wodę, której cieniutka warstwa sączyła się przez szosę na drugą stronę nasypu. Na suchym asfalcie zostawiliśmy mokre ślady. Po obu stronach stały jeziora, z których wyrastały krzaki i drzewa. Z pewnością farmerów stuknęło mocno po kieszeni. Myśli kierowcy musiały biec podobnie jak moje.

— Farmerzy stracą przez tę powódź masę pieniędzy.

Odczekał chwilę, a że żona mu nie przeszkodziła, zaczął wspominać dawne czasy.

— Jak przyjechałem na Florydę pierwszy raz w dwudziestym ósmym, to przejechanie tą trasą, co dzisiaj jedziemy, było niemożliwe. Wszędzie gąszcz, masy węży i krokodyle. Drogę trzeba sobie było wyrąbywać siekierami. Nie miałem pieniędzy i wziąłem się do naprawiania silników. Farmerzy, gdy im stawał traktor, uważali go za zepsuty i odstawiali. Razem ze współnikiem wykupywaliśmy taki „do-niczego-tractor” za śmieszne sumy, naprawialiśmy drobne uszkodzenie i sprzedawali po odpowiedniej cenie.

Zapatrzony w nadbiegającą szosę uśmiechnął się pod wąsem.

— Gdy wróciłem do domu, ojciec myślał, że jakiś bank obrabowałem...

— Zanim wyjedziemy z Florydy, musimy pomarańczy kupić — przypomniała sobie żona i zwracając się do mnie: — Tu owoce są o wiele tańsze. A pachną tak pięknie, że chciałoby się tylko wdychać ten zapach. No pociągnij nosem tylko — odwróciła się do męża.

Mąż westchnął.

— Co ty nosem pociągasz, jak masz szybę podniesioną do góry.

Mąż opuścił szybę, wystawił łokieć i zadumał się nad kierownicą. Zapadła cisza i wszyscy wciągali w nozdrza świeże powietrze, w którym nie było jednak zapachu pomarańcz, bo akurat minęliśmy kaczą fermę. Po chwili tym z tyłu za bardzo wiało, trzeba było podnieść szybę.

Wkrótce mieliśmy się rozstać. Samochód jechał na północ, na wesele córki, na którym mamusia będzie grała Mendelssohna na organach. Ja skręcałem na zachód, w kierunku New Orleans.

— Uważaj na siebie, chłopcze, to piekło, nie miasto, ani się obejrzyysz, jak stracisz wszystko, co masz.

Chciałem powiedzieć, że właśnie po to tam jadę, ale nie należy gorszyć starszych. Kierowca znowu się uśmiechnął pod wąsem, pewnie na wspomnienie jakiejś zabawnej historii. Przy żonie na pewno nie opowie.

— Kobiety potrafią ze środka ulicy wciągać mężczyzn do szynku — rzucił ostrożnie.

Pewnie tak wyglądała jego historia. Konam z ciekawości, co też mnie się może przydarzyć w osnutym legendami mieście, nad którymi powiewały flagi różnych narodowości.

Przed Tallahassee, stolicą stanu, zostaję na drodze sam. Złośliwy los zesłał mi towarzysza, policjanta na olbrzymim motorze, zaproponował, żebym mu towarzyszył. Do Nowego Orleanu tobym się zgodził, ale on chciał do więzienia. Wylegitymowałem się i przekonałem go, że muszę w ważnych sprawach dojechać do Nowego Orleanu. O konaniu z ciekawości nic nie wspominałem. Stał tak długo, póki nie zabrałem się z jakimś gościem, który wyrzucił mnie kilkanaście mil dalej.

Stałem tyłem do zachodzącego słońca i w ręku trzymałem tabliczkę, którą wystawiałem na widok każdego nadjeżdżającego samochodu. To już wyższa forma autostopu, zatrzymają się tylko ci, którzy podwożą mnie rzeczywiście w stronę Nowego Orleanu, po to ta tabliczka. Nie zdawałem sobie przy tym sprawy, o święta beztrusko, że kierowcy oślepieni słońcem nie mogli nic przeczytać, nawet gdyby im to przyszło na myśl.

Zabrał mnie czarny Falcon, zupełnie nowy samochód. Na tylnym siedzeniu leżał duży kufer marynarski, spod nóg musiałem wyrzucić jakiś większy pakunek. Na kolanach położyłem chlebak, a na nim kartonową tabliczkę.

— Dokąd to? Co... — zauważył napis — zajedziesz dość blisko. Nie dojeżdżam wprawdzie do samego Nowego Orleanu, ale stamtąd nie będziesz miał daleko.

— A dokąd pan jedzie?

— Los Angeles, Kalifornia.

Zakręciło mi się w głosie. Taka szansa!! Skok przez całą Amerykę.

— Właściwie to zamierzałem do Kalifornii jechać z Nowego Orleanu...

— No to zabierz się ze mną.

— Thank you, sir.

Położyłem chlebak pod nogi i usiadłem wygodniej.

Mason John Stack

— Poznajmy się zatem — odezwał się mój towarzysz. Przedstawiłem się.

— Moje nazwisko jest Stack, John Stack.

Ucisnąłem dłoń, którą mi podał. To, że wiedzieliśmy, jak się który nazywa, nic nie wyjaśniało. Samochód leciał szosą nr 90 na zachód. Słońce schowało się gdzieś w Luizjanie, a w mroku nikły rysy twarzy. Czuło się nastrój niepokoju, pochopnie zgodziłem się jechać z gościem do Kalifornii. Do Kalifornii daleko, a przed nami noc. On zaproponował, ale też nie wiedział komu. Właśnie jak wyjeżdżałem z Florydy, w Miami ujęto siedemnastoletniego wyrostka, który przejechał autostopem tą samą trasą co my, tylko w przeciwnym kierunku. W ciągu tygodnia ukatrupił z rewolweru siedem osób. Przeciętnie jedną dziennie.

Rozmowa się nie klei, nie mam o czym rozmawiać, on się też nie pali. Poznaliśmy się, a siedzimy jak na szpilkach w oczekiwaniu, co drugi uczyni.

Błysnęły światła jakiegoś miasteczka. Czarny Fal-con zwolnił i zajechał przed małą knajpkę.

— Zjemy kolację.

Kiwnąłem głową, od dawna byłem głodny. Ale taka głupia kolacja to też problem. Czy mamy razem siadać, czy oddzielnie? Czy on płaci za mnie, czy też ja mam zapłacić za niego? Niektórzy nie lubią, żeby się z nimi spoufalać, inni uważają za swój obowiązek zafundować łązikowi kolacyjkę.

Teraz się mogłem przyjrzeć, kto siedział za kierownicą — niewysoki, krępy mężczyzna w wieku czterdziestu pięciu lat, szeroka twarz i szeroko rozstawione oczy, gruby nos, szpakowate, krótkie włosy.

Siedzieliśmy razem, zamówiliśmy oddzielnie, on jajecznicę, ja hamburgery z kawą (hamburger to okrągła bułeczka z włożonym w środek gorącym kotлетem, najczęściej i jedno, i drugie ciężkie do zjedzenia). John Stack nie zdążył jeszcze wyjąć portfela, a ja już skoczyłem do kasy i zapłaciłem swoją cześć. Dobry był chwyt, widziałem, że John się rozchmurzył trochę. Niewiele mówiąc obserwował mnie, jak jem. Jak kulturalny człowiek, kochany panie!

Odjechaliliśmy w noc. Następny problem, to spanie. Chyba gość ma zamiar gdzieś przenocować. Trzeba będzie uważać, jeżeli zamówi wspólny pokój, prawdopodobnie będę musiał wiać. Na razie nie pytał mnie, jakie sporty uprawiam, co jest pozytywnym objawem. Tego rodzaju pytanie jest pierwszą wskazówką, z kim ma się do czynienia.

Mobile, tu się chyba zatrzymamy, w pobliżu nie ma żadnego większego miasteczka.

— Jak zobaczysz jakiś' motel z boku, to się zatrzymamy.

— Sir, może byśmy zatrzymali się w hotelu, jak będzie.

Kiwnął głową. Dla mnie różnica zasadnicza. Nocleg w niektórych motelach dochodzi do kilkunastu dolarów, podczas gdy hotel, jeśli jest w dodatku stary, kosztuje kilkakrotnie mniej.

Wypatrzyłem jakiś hotelik, trudno o bardziej staroświecki. W wielkim hallu podpartym kolumnami przywitał nas portier. John podszedł zdecydowanym krokiem i poprosił o dwa oddzielne pokoje.

Mobile słynie z cudownych azalii, stan Alabama z bawełny, ale to wszystko za nami. Nowy Orlean został z boku, po drugiej stronie jeziora Pontchartrain. Nawet się nie obejrzałem, jak przejechaliśmy Luizjanę i przekroczyli granicę Teksasu, cały czas z szybkością nie przekraczającą stu kilometrów na godzinę.

Szosa Teksasu mają sławę najlepszych w Stanach, ludzie gnają jak szaleńcy, w czym nie przeszkadzają im ściśle ograniczenia szybkości. Na wielkich przestrzeniach, gdzie nie widać policji, nikt nie zwraca uwagi na ostrzegawcze tablice. Policjanci wzięli się na kawał i do dotychczasowych metod łapania „szybkościowców” dodali helikoptery, które z góry kontrolują ruch na szosie.

Mr Stack nie przekracza dozwolonej szybkości, między innymi dlatego, że się dociera. Samochód, ma się rozumieć. Kupił go na Florydzie, gdzie sprzedał domek w Cocoa nad Atlantykiem. Dla dokonania tej transakcji przyjechał z Kalifornii starym Buickiem, którego też sprzedał. Dawniej cała jego rodzina mieszkała w Cocoa, ale żona źle się czuła w wilgotnym klimacie i przenieśli się do Kalifornii. Nie wiem, czym jest John z zawodu, jest małomówny, ale przez cały dzień wspólnej jazdy można się czegoś dowiedzieć. Otóż zajmuje się produkcją rurek, jak mówi. Nie jestem mądrzejszy po tym, ale jak się okazuje, że czarny Falcon jest prezentem maturalnym dla osiemnastoletniej córki, wyobrażam sobie, że „rurki” to dobry interes. Przy okazji zwierzył mi się, że kocha swoją rodzinę. Ponieważ z powyższego wynika, że nie brak mu pieniędzy, młodsze pokolenie Stacków jest rozpuszczone do granic możliwości, synom dogodzić wprost nie można. Jeden ma lat dwanaście, drugi osiem i mają wszystko, czego chłopcy w ich wieku mogą pragnąć.

— Żeby się chociaż czymś naprawdę zainteresowali— skarży się papa — a ci, jak dostaną nowe zabawki, to tylko niszczą i rzucają w śmietnik.

Można sobie wyobrazić, jakie spustoszenie sieją w domu następcy Zorro, Supermanów i krwawych Indian.

Okrążyliśmy Houston, na polach naftowych rytmicznie pracują pompy jak olbrzymie huśtawki. Ciągną z ziemi złoto Teksasu — ropę. Na widnokręgu wylażą powoli sine góry, oddzielnie stojące masywy. Pod wieczór zmieniają kolor na fioletowy. Blisko widać, daleko dybać. Samochód w miejscu nie stoi, a wielka płaska równina ani rusz nie chce się przesunąć do tyłu. Wiercę się na swoim miejscu, bo tyłek cierpi od siedzenia w tej samej pozycji. Obok szosy wiedzie tor. Powolutku doganiamy pociąg towarowy. Jedzie osiemdziesiąt na godzinę. Około stu pięćdziesięciu wagonów ciągną cztery lokomotywy motorowe typu Diesel.

— Sięgnij po papierosy — odezwał się John — powinny być w kufrze na samym wierzchu.

Odemknąłem wieko, papierosy musiały się stoczyć w róg. Odgiąłem pierwszą warstwę koszul. Tuż pod nimi leżał duży rewolwer, spluwa, jak się patrzy. Tylko odwrócić się i otworzyć wieko kufra. Zakryłem broń, znalazłem papierosy i podałem bez słowa paczkę.

Nocowaliśmy w San Antonio i nie wiedziałem, że śpię pod dachem Polaka. Dopiero rano zauważyłem nazwisko kończące się na -ski. Zaraz pokazał numer wytatuowany na ramieniu i zaczął wyciągać pamiątniki z obozu. Po wojnie tu się osiedlił i kupił stary hotel. Jeszcze kilka lat i hotel się rozsypie. Boję się, że byliśmy jego jedynymi gośćmi tej nocy. Trąbienie przerwało nam rozmowę, Falcon się niecierpliwił.

Zbliżaliśmy się do granicy meksykańskiej, czekałem na to, żeby zobaczyć pustynię, ale na pustyni powinno być pusto, a tu wkoło kaktusy, suche krzaki, kamienie i wzgórza. Olbrzymie góry o płaskich wierzchołkach wyrastają oddzielnie, jakby ktoś skutecznie wypielił wszystkie mniejsze w okolicy. Jeżeli w pobliżu takiej górkę znajduje się miejscowość, dzieciaki z high school malują lub układają z wielkich kamieni wielkie napisy na zboczu — nazwą miejscowości. Taki szyldzik widać z daleka, z samochodu lub samolotu. Dobrze, że im do głowy nie przyszło napisać Zorro.

Nie wiem jak rozmowa zesłała na masonerię. Pewnie że wiem, co to takiego. No więc on, John Stack, jest masonem. Popatrzyłem na niego, jakby go żywcem przeniesiono z XVIII lub XIX

wieku. Wtedy to było modne w Europie. A jak jest w Ameryce?

— Naszym założeniem jest miłość bliźniego... — zdjął z palca duży złoty pierścień i podał do obejrzenia — do pełnego wtajemniczenia trzeba przejść trzydzieści trzy stopnie, to jest odznaka najwyższej godności. Zabrało mi to czternaście lat.

Pogratulowałem i oddałem pierścień. Już się widzę masonem.

— W jaki sposób mógłbym się wtajemniczyć?

— W okręgu, w którym mieszkasz, musisz znaleźć kogoś, kto będzie cię zaznajamiał z naukami masońskimi.

— Co to za nauki?

— To tajemnica. My nie mamy żadnych ksiąg, wszystko trzeba zapamiętać, by potem uczyć innych.

Nie zdołałem z niego wyciągnąć, co się robi w lożach masońskich. Nie dowiedziałem się nic więcej. Jakby go zamurowało. Patrzyłem na niego z podziwem — pod tymi szpakowatymi włosami przechowuje tajemnice trzydziestu trzech stopni wtajemniczenia.

El Paso, miasto osnute legendą kowbojskich rozróbek na kilka pokoleń w obie strony, leży w samym rożku Teksasu na granicy z Meksykiem. Ileż to piosenek sławiło tutejsze bary i kantyny. Po strzelaninie można było pryskać do Meksyku, tędy wiodła droga ucieczki. Wymiana następowała w obie strony, w całym El Paso można mówić po hiszpańsku, czasem z lepszym skutkiem niż po angielsku. Mieszkańcy też na Meksykanów wyglądają bardziej niż na jakąkolwiek inną narodowość.

Oto El Paso. Leży wianuszkami dookoła wysokiej góry, którą trzeba objeżdżać w kółko. Po przeciwnej stronie widać Meksyk, miasto Ciudad Juarez, jakże biednie wyglądające. Dwóch sąsiadów rozdziela Rio Grandę del Norte, ale wcale nie taka „grandę”. Kamiennym korytem płynie struga brudnej wody. Chyba w czasie powodzi rzeka przybiera większe rozmiary. Po drugiej stronie widać na zboczu gliniane chatynki, nie najlepiej się ludziom powodzi. A może im z tym dobrze?

Przez jezdnię przeszło kilku Murzynów, John musiał przyhamować.

— Przekłete Negry, wszędzie muszą wleźć te czarnuchy. Opędzić się nie można. Gdzie pójdziesz, wszędzie ich spotkasz. Paskudztwo!

Przedtem powiedziałem, że John jest małomówny. Teraz muszę zrobić wyjątek. Na temat Murzynów i kolorowych w ogóle wypowiadał jeszcze przez kwadrans uwagi jak wyżej bez specjalnej zachęty z mojej strony. Natomiast ja się zrobiłem małomówny.

Zostawiliśmy z tyłu górę, El Paso, sto pięćdziesiąt tysięcy jego mieszkańców, największy stan amerykański, i dzień. Wiem, kiedy przekraczaliśmy granicę Nowego Meksyku, natomiast nie bardzo wiem, kiedy z niego wyjechalśmy. Przespałem jeden stan. Całe szczęście, że nie muszę prowadzić, tylko właściciel. Pokazywałem mu prawo jazdy, ale nie chciał, żeby mu pomagać. A na takiej trasie można ducha wyzionąć albo odparzyć sobie siedzenie.

W Globe znaleźliśmy motel, jedyna okazja do przenocowania. Ale miejsc nie było.

— Mam jeden dwuosobowy — powiedział właściciel motelu.

— Dawaj pan.

Było nam jednak pisane spanie w jednym pokoju. Teraz nie mamy względem siebie takich podejrzeń jak poprzednio. Kiedy się myłem, John wsunął się pod kołdrę i natychmiast zaczął chrapać. Zgasilem światło, John coś mruczał przez sen. Pewnie przepowiadał sobie tajemnice masońskie, które mówią o miłości bliźniego.

Arizona rzuciła na mnie czar. Nigdy bym nie uwierzył, że skały mogą być tak kolorowe — różowe, ceglaste, czekoladowe, brązowe, szare. Niedaleko im do „skał malowanych”, jak się nazywa jeden z masywów. Podobno Bóg chciał malować tęczę i farby mu się rozlały.

Mniej tu przydrożnych reklam i może dlatego taką sympatię poczułem do Arizony. Coraz więcej abstrakcyjnych kaktusów. Asfaltowa szosa przerywa się przez łańcuchy górskie. Obok, raz wyżej, raz niżej, widać starą drogę wijącą się dawnym szlakiem, który wiodł na Zachód, zanim zbudowano tę autostradę. Tym szlakiem szli pionierzy i wozy płótnem kryte.

Pustynia kpi sobie ze swojej nazwy. Jest marzec i pustynia zakwitła. Całe pola pokryte drobnymi kwiatuskami, czerwonymi i żółtymi. Wśród rumowisk skalnych kulą się pękate kaktusy i jakby na

przekór swej szpetocie noszą koronę z dużych, białych kwiatów. Obok chude pręty, naszpikowane, że -trudno dotknąć. I te szpilki rodzą czerwone kwiatki, trzymające się kurczowo brzydkiej mamy. Nie każcie mi nazywać tych wszystkich roślin, nie potrafię. Tam nie potrzeba botanika, tylko malarza.

Skały piętrzą się w górę, skały opadają w przepaście, nie darmo góry nazywają się Skaliste. Droga opada w dół, z półki, po której biegnie, otwiera się widok, jakim Szatan musiał kusić Boga ofiarowując mu panowanie nad światem. Olbrzymia płaszczyna leży pod stopami, kilometry w dół, kilometry w dal, aż po zamglony widnokrąg. Samochody się nie zatrzymują. Ludzie śpieszą się do wielkich miast, by stamtąd panować nad światem.

Nie mogę odgadnąć, dlaczego znaki ostrzegawcze mają dziurki dość nieregularnie umieszczone. John mi wyjaśnia — turyści urządzają sobie sport i strzelają do tarcz z przejeżdżających samochodów. Niezła zabawa. Na wysokim poziomie.

Z jezior położonych w górach doprowadzono wodę na środek tej wielkiej płaszczyny, którą przed chwilą oglądaliśmy, i na piaskach wyrosło miasto Phoe-nix. Ziemia nic by nie urodziła, ale życiodajna woda ożywiła całe ogrody pomarańczowe i cytrusowe. Nawet palmy daktylowe tu rosną.

Przekraczając granicę Kalifornii, po raz trzeci w ciągu naszej podróży, przesunęliśmy zegarki o godzinę wstecz, teraz wskazują Pacific Standard Time. Na granicy nie sprawdzają jednak zegarków, ale zaglądają do bagażników, kontrola owoców. Nie wolno przewozić, bo kalifornijskie pomarańcze mogłyby się zarazić jakąś chorobą ze wschodu.

Minęło południe, od rozpalonego piasku bije żar. Falcon jakby czuł stajnię. John też się ożywił i zaczął mówić o żonie i dzieciach.

Na piaszczystym zboczu ślady. Narty? Tak, narty. Dwie godziny jazdy z Los Angeles i można się suwać po górach z piasku.

Koniec z piaskami, wступujemy do zielonej Kalifornii przez olbrzymią furtkę. Po obu stronach stoją wysokie wykidajły. Ten z lewej nazywa się San Jacin-to, ten z prawej San Gorgonio. Obie góry liczą ponad trzy tysiące pięćset metrów i mają na wierzchołkach białe czapy ze śniegu. Tu narciarstwo na zimno.

Miasteczka następują po sobie tak szybko, że to chyba już „el-ej” (L.A.) Lawina samochodów porywa nas na freeway, autostradę w wykopie lub na słupach ponad miastem. Nie ma czasu na zastanawianie się, trzeba wiedzieć, gdzie się jedzie. A tu John pyta się, gdzie ma mnie zostawić.

Przejechaliśmy razem od Atlantyku do Pacyfiku i przegadali trzy dni. Na dobrą sprawę znam całą jego rodzinę; tylko zajechać przed dom, otworzyć drzwi i zawołać: — Przyjechaliśmy, manio, daj nam coś pić!

— Proszę mnie tu wysadzić — postawiłem palec na chybił trafił w środek planu, przecież i tak zupełnie nie znam miasta.

Czarny Falcon się zatrzymał. John Stack, fabrykant rurek i mason trzydziestego trzeciego stopnia wtajemniczenia, podał mi na pożegnanie rękę.

Na freeway nie wolno się zatrzymywać ani wysiadać. Ruch pieszy jest zabroniony. Puściłem się pędem przy ostrzegawczym ryku klaksonów. Byle zdążyć, zanim policja nadjedzie.

Gwiazdeczka i łazik

Rozłożyłem plan miasta Los Angeles i zacząłem kombinować, jak najłatwiej wydostać się z tego kolosa. Powinienem zrobić do wieczora San Francisco. Nie ma co się śpieszyć. Wybrałem szosę biegnącą nad brzegiem oceanu. Do Santa Monica dojadę autobusem, a przy okazji obejrzę Hollywood, czasu jest dużo.

Po drodze odczytuję dziwny spis po drugiej stronie planu. Pod tytułem: „gdzie mieszkają gwiazdy filmu, radia i telewizji” wyszczególniono po kolei co popularniejszych artystów i aktorów. Żeby znaleźć dom Kirka Douglasa wystarczy pojechać na Canon Drive 707. Gene Kelly mieszka przy Rodeo Drive 725, Fred Astair przy Summit Drive, a Alfred Hitchcock straszy... to znaczy, chciałem

powiedzieć, mieszka na ulicy Bellagio, po prawej stronie, pod numerem 10957. I tak dalej. Nie znaczy to wcale, że wszystkie ulice są takie długie, że starczy domów na tysiące numerów, ale nie wyobrażam sobie, żeby ludzie tak wysoko postawieni w świecie artystycznym mogli mieszkać pod niskimi numerami.

Spis obejmuje ponad setkę sław, a mały planik obok wskazuje, jaką trasą należy jechać, żeby nic nie opuścić. Tu skręcić, tam zawrócić, przy tym domu się zatrzymać, straszne! Nie dziwię się „gwiazdom”, które popełniają samobójstwa, nawet w domu nie mają spokoju, a przez okna oglądają karawany rodaków z prowincji, ciągnących utartym szlakiem gwiazdowym, tak jak namalowano na mapie czerwoną krechę.

Przeszedłem kawalek bulwarem Hollywood do następnego autobusu. Jakoś nie widzę artystek na ulicy albo może te normalnie wyglądające kobiety na normalnie wyglądającej ulicy amerykańskiej są przebranymi aktorkami? Właśnie, byłbym zapomniał. Od dwóch dni aktorzy Hollywood strajkują, chcą więcej zarabiać. Dziwne żądania, myśmy zawsze myśleli, że kto jak kto, ale ci mają dość. Hollywood na całym świecie znaczy kariera filmowa, sława i pieniądze. Widocznie coś nie tak.

Dojechałem do Beverly Hill. Tak, tu zaczyna się chwalebna wędrówka ludów żądnych oglądania sławnych wybrańców losu. Świadomość, że moja wizyta może przepełnić czyjaś miarkę, odbiera mi ochotę na zwiedzanie prywatnego życia takiego powiedzmy Józka Schildkrauta (Roxbury Drive 812). Nie znam faceta i wystarczy mi to, że dzięki reklamie wiem, gdzie mieszka.

Do autobusu wsiada szczupła dziewczyna w ciemnych okularach. Siadłem naprzeciw. Już drugi raz jedziemy tym samym autobusem. Ma bardzo delikatnie umalowane usta, ale poza tym żadnych „upiększeń”. Szary płaszczyk i gładkie włosy zaczesane do tyłu. Patrzy na mnie, a ja patrzę na nią. Nie mam odwagi jej zaczepić, tak poważnie wygląda. Odważę się, jeśli przypadek sprawi, że wysiądzie w Santa Monica, tam gdzie ja. Odważyłem się.

— Zdaje mi się, że po to samo przyjechaliśmy — powiedziała Julia, gdy szliśmy w kierunku plaży. Uśmiech zwiął z jej twarzy powagę, nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat. Poprosiłem, żeby zdjęła okulary. Popatrzyła brązowymi oczami, przymrużyła je trochę przed blaskiem słonecznym. Jakież długie rzęsy. Powiedziałem, że brązowe oczy bardzo mi się podobają i nie skłamałem. Schowała okulary do torebki.

Przeszliśmy przez szosę, którą dzisiaj mam dojechać do San Francisco. Przed nami Pacyfik liże piasek, białe grzywy przyboju załamują się z szumem. Od oceanu ciągnie chłodne powietrze, ale słońce pali i piasek na plaży jest ciepły. Julia zdjęła sandały, ja swoje trampki i na bosaka maszerowaliśmy przez piasek, jedyna para na pustej plaży.

— Nie uważasz, że Amerykanie są bardzo przyjaźni? — zapytała Julia bez cienia zalotności. Kiwnąłem głową zdumiewając się przewrotności losu, który zsyła taką dziewczynę, żebym nie mógł zaprzeczyć.

Doszliśmy do drewnianego moła wrzynającego się w morze. Podaliśmy jej rękę i wdrapaliśmy się po schodkach. Jej dłoń zatrzymałem w swojej. Pomyślałem przez chwilę, że mogę przed nocą nie zdążyć do Frisco, ale w tej chwili to nie było takie ważne.

Kilka metrów pod nami faluje zielononiebieska woda. Na krawędzi siedzi rybak. Z tyłu podszedł jakiś starszy jegomość w kapeluszu.

— Ładna z was para — odezwał się. Odwróciłem się, żeby mu się przyjrzeć. Nie słowa zwróciły moją uwagę, ale akcent, z jakim je wypowiedział. Takim akcentem mówił pewien Żyd w Baltimore. Niech jeszcze coś powie.

— Pan tutejszy? — spytałem. Zrozumiał, czemu się pytam.

— Tak, mieszkam tutaj, ale z pochodzenia jestem Polakiem.

— I mówi pan po polsku?

Julia odwróciła się i jakby chciała coś powiedzieć. Nieznajomy uchylił kapelusza, a w moją stronę prychnął lekceważąco:

— No pewnie.

Julia się roześmiała, umie pokazywać białe ząbki.

— Ponieważ i ja jestem Polakiem, możemy się przełączyć na ojczysty język.

Musiałem się uśmiechnąć widząc, jak gość otworzył usta, zamknął je, a potem zaczął się po polsku jąkać:

— Ja myślałem... niemożliwe, pan nie wygląda... — Upewniłem go co do mojej znajomości polskiego i zaraz mu się język rozwiązał. Do Ameryki dostał się po wojnie, a z Polski wiał we wrześniu przez Rumunię do Francji. Z kolei ja opowiedziałem, jak się znalazłem w Ameryce. Zdumiał się starszy pan, gdy dowiedział się, że wracam do Polski. Zsunął kapelusz na tył głowy.

— Tu pan możesz mieć pieniądze, pracę, masz pan dziewczynę — skinął w stronę Julii zapatrzonej w ocean — a w Polsce co? Głód! Niewolę! Przymus!

Zaczął sypać przykładami, mającymi udowodnić, że życie w Stanach jest ostatecznym szczęściem, jakie można osiągnąć.

— Niech pan sobie wyobrazi — powiedziałem — że wracam do Polski.

Miał już przygotowane dalsze przemówienie i w tym momencie zrozumiał sens moich słów. Zacerpnął powietrza, jakby chciał krzyknąć, ale tylko zakaszła sucho. Nacisnął kapelusz na oczy, odwrócił się i bez słowa odszedł. Patrzyłem za nim, jak wszedł w samochód i odjechał.

— Miło spotkać rodaka, prawda?

— Prawda, chodźmy coś zjeść — wziąłem ją za rękę.

Piknik zorganizowaliśmy w piaszczystym grajdołku z widokiem na morze. Podzieliliśmy się sprawiedliwie kupionymi przed chwilą parówkami, to znaczy ona zgadła jedną, a ja trzy.

— Powiedz mi, gdzie pracujesz — zaproponowałem.

— W filmie.

— Ty jesteś aktorką??! A to ci dopiero heca, uciekłem z Hollywood, żeby nie mieć nic wspólnego ze zwariowanymi aktorami, a tu to urocze i niepozorne stworzenie z długimi rzęsami przyznaje się...

— Znasz telewizyjny show pod tytułem — tu wymieniła jakiś program, o którym nawet nie słyszałem. — Tam występuję co tydzień. Za kilka dni miałam jechać do Arizony na zdjęcia plenerowe, ale ten strajk wszystko pokrzyżował. Dzięki temu mogłam sobie pozwolić na przyjście tutaj.

Byłem tak zaskoczony tym, że Julia jest aktorką, że przyglądałem się jej w milczeniu, nie wiedząc, o co zapytać. Ona tymczasem wyciągnęła z torebki małe pudełeczko. W miniaturowym plastikowym zbiorniczku pływały jakieś szkiełka, nie, nie szkiełka, tylko soczewki kontaktowe.

— Mam krótki wzrok — powiedziała prosto — i wolę to nosić niż okulary.

Odwróciła głowę od wiatru i odchyliła do tyłu. Przy pomocy kawałka gumowej rurki umieściła sobie w oku najpierw jedno szkło, a potem drugie w drugim, zamrugła kilka razy i wytarła łzy z kącików. Czuję się jak niedyskretny obserwator przy intymnych czynnościach, ale jej moja obecność nie przeszkadzała, uśmiechnęła się chowając pudełeczko do torebki.

Przez chwilę rozmawialiśmy o niczym.

— No to co — Julia przerwała — może razem poszukamy mieszkania?

Wytrzeszczyłem na nią oczy.

— Ależ naturalnie — podskoczyłem i pomogłem jej wstać — z całą przyjemnością.

Otrzeźwialiśmy się z piasku i pobiegliśmy w stronę „drogi, przy której domki i domeczki porozstawiały się sznureczkiem jedno obok drugich. Dalej *ng* zboczu widać było luksusowe wille wśród drzew. Zielone wzgórza ciągnęły się jeszcze dalej, a ponad nimi wynurzały się dalekie, sine góry.

W pierwszym domu było za drogo, w drugim obrzydliwie tapetowane ściany, w trzecim gospodyni obejrzała nas dokładnie i wyceniła osiemdziesiąt dolarów za miesiąc. To jeszcze było najtańsze. Oglądaliśmy mieszkancko, miłe, ale bez widoku na morze.

— Szalenie lubię zasypiać przy szumie morza — powiedziała Julia.

Ponieważ zawsze o tym marzyłem, zgodziłem się ochoczo, że poszukamy jakiegoś apartamentu bliżej wody. Jeden był zamknięty, a w następnym strasznie drogo. W ten sposób doszliśmy do autobusu.

— Co, nie szukamy dalej? — zdziwiłem się, gdy Julia zatrzymała się na przystanku.

— Wszystko jednak bardzo drogie, a moja koleżanka, z którą mam mieszkać, jeszcze nie

przyjechała.

— A gdzie JA będę spał?! Teraz Julia się zdziwiła.

— Przecież mówiłeś, że jedziesz do San Francisco.

— Nie, zostaję!

Wsiadliśmy do autobusu jadącego do Hollywood. Julia chodzi na lekcje śpiewu i tańca trzy razy w tygodniu, teraz śpieszyła się właśnie na lekcję.

— Czy nie możemy się spotkać wieczorem?

— Nie, jestem zajęta do późna. Pójdź sobie obejrzyć „Ben Hura”.

Umówiliśmy się na następny ranek. Julia wyskoczyła na jednym z przystanków w pobliżu Beverly Hill, zanim zdążyłem jej powiedzieć, żeby koniecznie przyszła, bo na pewno nie pojedę do Frisco.

W hotelu YMCA wiało nudą. Dostałem klucz od łysiejącego portiera. Rzuciłem chlebak w kąt. Nie było innych miejsc jak zbiorówka. Rozkopałem jedno łóżko, żeby było wiadomo, że zajęte, i wróciłem do hallu. Pusto. Jakiś gość czyta schowany za gazetą. Spróbowałem zagrać na fortepianie, rozstrojony. Siadłem i z uporem maniaka zacząłem brzdąkać wszystkie melodie, jakie mi przychodziły do głowy. Gość z gazetą się wyniósł. Nie wiem, jak długo tak bębniłem w klekoczące klawisze. Portier tymczasem zapalił światła, a ludzie przechodzili.

— Pan podobno przyjechał z Polski? Odwróciłem się, pytanie było zadane po polsku, szczupły mężczyzna w białej koszuli i nie wyprasowanych spodniach wyciągnął do mnie rękę:

— Karczewski jestem. Portier mi powiedział, że pan przyjechał z Polski. I wraca pan?

Nic nie odpowiedziałem, jeszcze się zaczęło zapluwać i wymyślać. Kiwnąłem głową potwierdzająco. Schował podbródek i odetchnął głęboko.

— Chodźmy do mojego pokoju, mam pojedynczy. Przechodząc obok portiera wziął z kontuaru marynarkę i zarzucił sobie na ramię.

Usiedliśmy w jego pokoju, zasypał mnie pytaniami —• jak jest w Polsce, czy się nic nie zmieniło przez ostatnie pięć lat. Pięć lat temu wyjechał do Niemiec z wycieczką „Orbis”, skorzystał z okazji i „wybrał wolność”.

— Straszny *szczeniak* byłem. *Skończyłem technikum i mogłem mieć jakąś pozycję w kraju, a tak...*

— westchnął — tułałem się od obozu do obozu, aż wreszcie wylądowałem w Ameryce. Wie pan, jak to jest, gdy człowiek się czuje kompletnym zerem, właśnie tak się tutaj czułem albo jeszcze gorzej. Amerykanie pogardzają, bo tacy oni już są, Polacy pogardzają, bo uciekłem z kraju...

— To czemu pan nie wróci? — przerwałem.

— To nie takie proste. Z jednej strony wiem, że mógłbym wrócić, a z drugiej się boję, przecież uciekłem”...

— Pan się boi? Czego? Źle tu panu, to niech pan wraca.

— Musiałbym wszystko od początku zaczynać. Jak bym się pokazał na oczy moim kolegom, którzy może już są inżynierami, a na pewno wyrobili sobie jakąś pozycję. Palcami by mnie wytykali — o, to ten, który uciekł.

— Co pan się przejmuje...

— Nie mam do kogo wracać, nie mam do czego wracać.

Siedział na łóżku z obwisłymi ramionami, sprawiając wrażenie fajtlapy życiowego. Trudno o bardziej mylny wniosek. Udało mu się dostać pracę u milionera, którego nazwisko jest znane na całym świecie. Przez rok był jego osobistym służącym, po czym znudziło mu się i porzucił lukratywną posadę.

— Każdy ma swoją dumę, jak długo można być u kogoś na służbie nawet w najlepszych warunkach.

— Więc potem był pan bezrobotny?

— Różnie bywało, udało mi się uzyskać kartę marynarza...

— W jaki sposób?

Karczewski mrugnął porozumiewawczo i wyciągnął papiery na dowód swego polskiego sprytu. Nie chciał zdradzić, jak je zdobył, ale przypuszczam, że takim samym fuksem, jak ja moją kartę zatrudnienia, która uprawnia, po przepracowaniu pewnego okresu, do otrzymywania zasiłku w razie bezrobocia. Karta marynarza z uprawnieniami, jakie daje, to skarb w porównaniu z tym, czym się

chwalilem.

— Mam wrażenie, że wykorzystał pan ten atut.

— A jakże, wkręciłem się jako fotograf na jeden ze statków pasażerskich, kursujących do Honolulu. Ciężka praca, ale kupiłem sobie na Hawajach domek...

— A nie boi się pan, że go okradną, jak my tu tak rozmawiamy?

Stropił się nieco w pierwszej chwili, nie wiedziałem dlaczego.

— Domku pilnuje tubylcza kobieta... z którą żyję. — I zaraz przeskoczył na temat, który go mocno interesował: — Jakie ma warunki fotograf na „Batorym”?

— Nie miałem pieniędzy na wykupienie zdjęć i jakoś nie przyjrzałem się.

— A ile ma lat?

Zupełnie nie zwróciłem uwagi na fotografa, nawet nie potrafię powiedzieć, ile ma lat.

— Przyjrzę mu się w powrotnej drodze. Sprawdziłem na zegarku, że jeszcze moglibyśmy zdążyć do kina, i zaproponowałem pójście na „Ben Hura”. Zgodził się z zapalem. Poszliśmy do reprezentacyjnego kina na Bulwarze Hollywood. Film też reprezentacyjny. Wyścigi rydwanów, kulminacyjny moment filmu, doskonale zrobione. Wychodząc z kina zastanawiamy się, jak mogły być wykonywane zdjęcia. Patrzymy, a tu identyczny rydwan stoi przy wyjściu, mało identyczny, ten sam z nożami przyczepionymi do osi, ten, na którym chciał zwyciężyć rywal Ben Hura.

Pan Karczewski zaprosił mnie do małej restauracji na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Na widok jedzenia zaczął narzekać.

— Nie przyprawią dobrze, napakują jakichś świństw... no powiedz pan, co to jest — podsunął mi pod nos coś, co wyglądem przypominało musztardę, ale smakiem coś całkiem innego. Rozgoryczonym głosem poprosił o stek: — Tylko delikatny, proszę.

— Powinien się pan przyzwyczaić do tutejszej kuchni — powiedziałem.

Karczewski pochylił się nad stolikiem i ściszył głos.

— Jakby pan się dłużej obijał po tutejszych kątach, toby pan się do wielu rzeczy nie mógł przyzwyczaić...

— Co pan ma na myśli?

— Niech pan słucha i raczej z tym się nie zdradza. Każdy w Waszyngtonie ma swoją kartotekę, agenci węszą na wszystkie strony i prowadzą ewidencję tych, którzy nie są „politycznie pewni”, słuchają, co pan mówi, wiedzą o każdym pańskim poruszeniu. Pan o tym nic nie wie, aż nagle ni z tego, ni z owego zwalniają pana z posady, którą pan otrzymał kilka tygodni temu. Albo gdy składa pan normalną drogą podanie do przedsiębiorstwa, każą panu czekać, a tymczasem sprawdzają, z kim mają do czynienia. I tak chodzisz pan od drzwi do drzwi i nigdzie cię nie przyjmą, jeśli masz krechę w indeksie.

Skończył swój kotlet. Odsunął talerz i zapytał o moje najbliższe plany.

— San Francisco? I pan chce stamtąd jechać do Chicago?! Przejeżdżając przez Góry Skaliste zmarznie pan na śmierć o tej porze. Pan sobie nie wyobraża, jaki tam mróz nocami. To nie to, co tutaj. I góry wyższe. Niejeden już tam skończył, na sławnej drodze 66. Musi pan jechać południowymi stanami, a potem od Mississipi skierować się na północ. Wstaliśmy od stolika, żeby zapłacić.

— Nie, to ja pana zaprosiłem — usiłował posadzić mnie z powrotem. Chciałem wtrącić „ale”, ale nie dał.

— Już mnie pan nie musi mówić, wiem, jak to jest. Kiedy wracaliśmy do hotelu, prosił, żebym nie wspominał o nim, jeśli będę opowiadał o Ameryce lub coś publikował. Przyrzekłem, ale nie dotrzymałem. Mam nadzieję, że mu tym nie zaszkodziłem, Posąg Wolności patronuje całej Ameryce, czyż nie?

Przed jedenastą nie było dużo ludzi na skrzyżowaniu Vine i Hollywood. Niespokojnie zaglądałem za róg, czy czasem Julii nie widać. Niepotrzebnie się niepokoiłem, przyszła co do minuty. W tym samym szarym płaszczyku i ciemnych okularach. Wiedziała, że zaraz ją poproszę, żeby zdjęła okulary, schowała je do torebki. Wolnym krokiem pomaszerowaliśmy wzdłuż wystaw.

— Posłuchamy płyt, chcesz? — Pytanie nie było potrzebne, a Julia nie czekała na odpowiedź.

Weszliśmy do olbrzymiego sklepu, zatrzęsienie płyt i nic więcej. Pod jedną ścianą kilka budek

wyglądających na automaty telefoniczne.

— Mamy prawo do przesłuchania trzech płyt w takiej budce i nie musimy kupować. Poszukaj czegoś dla siebie.

W stojakach stały nowe płyty uporządkowane według charakteru — muzyka klasyczna, opera, jazz, dla maluchów, dla teenagers, na każdy wiek, nastrój i kieszeń. Stare płyty leżą stosami na stołach. Można grzebać, te płyty i tak są już pogrzebane. Znalazłem ulubioną płytę „La mer”. Julia wyciągnęła coś dla siebie. Wcisnęliśmy się do budki, przez cienkie ścianki było słychać z jednej strony dudnienie rocka, a z drugiej wydzieranie się jakiegoś sopranu.

Julia nie miała ani rocka, ani muzyki poważnej. W ogóle nie wybrała muzyki, tylko płytę z nagraniami znanego komika „licho-wie-jakie-jego-nazwisko”. Nie mogłem się połapać w dowcipach, które leciały z głośnika. Wystarczyło mi, że Julia się śmieje.

— Ty często słuchasz tych samych kawałów?

— Nie zwracaj uwagi, co on mówi, posłuchaj, jak on mówi.

Płyta się skończyła, przeleciały dwie minuty i dwadzieścia pięć sekund mojej ulubionej i wyszliśmy ze sklepu z pustymi rękami, robiąc miejsce w budce dla następnych amatorów.

— Może pojedziemy do Santa Monica? — zaproponowałem.

— Muszę jechać do San Bernardino do ciotki, forsa mi się skończyła i tak będzie najlepiej. — Uprzedzając moje protesty ciągnęła dalej: — Już zapowiedziałam swój przyjazd na dzisiaj, sorry.

— To może lunch zjemy razem?

— Dobrze, pokażę ci kawiarenkę, gdzie schodzą się wszystkie sławy filmowe.

Siedzieliśmy przy słupie podpierającym sufit kawiarenki, tu było trochę jaśniej. W ciemnych kątach siedziały jakieś ciemne typy, żadna gwiazda nie lśniła. Z tych twarzy, które mogłem rozróżnić, nikt nie wydawał mi się znajomym z ekranu. Ledwo zdążyliśmy zamówić, przysiadł się do nas klasyczny chuligan w ciemnych okularach (jak on może coś widzieć w tych warunkach? Chyba na dotyk). Złapał mnie za rękę, niby na przywitanie, zwrócił się do Julii i zaczęli rozmawiać o swoich zawodowych sprawach. Na szczęście znalazł się jeszcze jeden.

— Czy można się przysiąść?

Ten, dla odmiany, intelektualista w normalnych okularach obrzeżonych oprawką z drutu. Głębokie bruzdy pod oczami wychodziły poza okulary na policzki. Rzadkie blond włosy nerwowo przeczesywał palcami (pewnie dlatego takie rzadkie). Przedstawił się, i też do Julii z kłopotami. Dzięki temu chuligan przeprosił i poszedł sobie do innego stolika. Ktoś nowy przyszedł i intelektualista przysiadł się do nowej ofiary.

— Ten pierwszy — tłumaczyła Julia — to reżyser, drugi jest bardzo zdolnym i znanym kompozytorem. Współpracuję z nimi — dodała przepraszająco.

— Julio, mężczyźni przylatują do ciebie jak ćmy.

— Głupstwa gadasz. Zapłaciłeś? Pójdziemy już. Wyszliśmy z zadymionej kawiarni, gdzie poznałem

dwóch sławnych ludzi i gdzie zostało dużo innych sławnych ludzi, których nie poznałem.

— Chciałabym ci zwrócić... — zająknęła się i otworzyła torebkę.

— Nie wygłupiaj się — zaprotestowałem.

Wytrząsnęła na dłoń drobniaki z torebki, dokładnie siedem centów. Wybuchnąłem śmiechem, ale majątek.

— Wiesz... ten strajk... — Julia była całkiem zmieszana.

Wziąłem ją pod rękę i pociągnąłem naprzód. Wkrótce zobaczyłem to, czego szukałem. Poprosiłem Julię, żeby poczekała, i po chwili wyniosłem z kwaciarni bukiet czerwonych róż.

— O no, dziękuję... — naprawdę była wzruszona. Schowała oczy w kwiatach i mruzczała podziękowania.

— Słuchaj — podniosła głowę — musisz coś ode mnie dostać na pamiątkę.

Otworzyła torebkę, zmarszczyła się i szybko ją zamknęła. Sięgnęła do kieszeni płaszczyka i wyciągnęła otwieracz do butelek, połączony łańcuszkiem z „niepełną szesnastką”, plastikową łamigłówką, polegającą na kolejnym ustawieniu piętnastu kostek według numeracji.

— Tu się musimy rozstać.

— Czemu?

— Nie chciałabym, żeby nas razem widziano. Pewnie, nie byłem ubrany na pokazywanie.

— Dziękuję — szepnęła; niespodziewanie pocałowała mnie w usta i już jej nie było. Na zakręcie kiwnęła mi ręką.

Już dawno nie chciało mi się tak płakać jak w tej chwili. Że nici z Frisco, że ten idiota Karczewski czeka w YMCA na opowiadania o Polsce, że Julia sobie poszła i że ma tylko kilka centów w torebce, a ja mam kilkadziesiąt dolarów w kieszeni i nic jej już nie mogę dać, bo poszła i nie wróci. Ruszyłem przed siebie, suwając bezmyślnie białymi i czerwonymi kosteczkami, na których numerki nie chciały się ustawić po porządku.

Przyjaciel

— Ty z Polski jesteś?

Jeszcze się nie rozbudziłem na dobre i nie wiedziałem, czy to mi się śni jakiś zamerykanizowany rodak, czy Karczewski budzi mnie, nie wiadomo po co. Podniosłem głowę i popatrzyłem po nie pościelonych łóżkach, już się wynieśli. Nie wszyscy. Dokładnie na wprost mojego łóżka wychyliła się spod kołdry okrągła głowa. Oczy przymrużone w uśmiechu albo z zaspania. Przetarłem oczy.

— Hi — powiedział wesoło ten z przeciwka.

— Hi — ziewnąłem i zacząłem wstawać. Jak cień powtarzał wszystkie czynności — wciągnął spodnie, potem skarpetki i buty. Omal się nie stuknęliśmy w przejściu. Okrągła głowa sięgała powyżej metr osiemdziesiąt.

— Wyjeżdżasz do Polski?

Śmiesznie wymawiał polskie słowa, prawidłowo, ale przerywając, jakby się zastanawiał, czy dobrze mówi.

— A pan co, emigrant?

— Nie, ja się urodziłem w Ameryce, ale mój ojciec był Polakiem.

— No to nieźle pan mówi po polsku.

Sprawilem mu tym radość. Stał obok przypatrując się, jak czyszczę zęby. Jak ktoś nie ma co robić, to się gapi.

— Chodziłem do polskiej szkoły w Massachusetts — powiedział z dumą. I co ci z tego, chciałoby się powiedzieć, ale mnie się nic nie chciało.

— Spieszysz się gdzieś?

— Nigdzie — zbulgotałem. Kiedy ktoś się myje, to mu nie sterczę nad głową. Zacząłem prychać.

— Zapraszam cię na śniadanie, zjesz ze mną?

To zmienia postać rzeczy. Kiwnąłem mokrą głową. Zaczyna mi się nieźle powodzić. Wróciłem do pokoju. Niech przynajmniej jedno łóżko zostanie pościelone.

Zeszliśmy do parkingu, gdzie stał samochód Jima, kremowy Chevrolet, krążownik szos. Po drodze powiedział, jak się nazywa, ja mu powiedziałem, jak ja się nazywam, i zaproponowałem, żebyśmy mówili po angielsku, co mi nie sprawia takich trudności, jak jemu polski. Zabawne, człowiek dochodzi do momentu, gdzie na pytanie, jakie znasz języki, wymienia „polski”. Tak jak w szkole, zawsze o jeden więcej.

— Wybierz sobie, na co masz ochotę — zachęcił Jim, kiedy znaleźliśmy jakąś restaurację — ja stawiam.

Jedzenie uważał za święty rytuał i nic nie mówił, póki nie skończył. Pochylił głowę nad swoim daniem i tak długo kursował widelcem, aż nic nie zostało na talerzu. Rano włosy sterczały mu na wszystkie strony, teraz miał je zaczesane do tyłu. Łysiejemy, co? Krawat nie dociągnięty, pewnie nosi z przyzwyczajenia albo obowiązku, a nie zaciska, żeby mieć złudzenie, że go nie ma.

Wychodząc poradził, żebym wziął drukowaną serwetkę na pamiątkę. Wziąłem.

— Gdzie teraz jedziesz? — zapytał, gdy już siedzieliśmy w wozie.

— San Diego, potem zobaczą, co dalej.

— Podwożę cię, bo do wieczora byś nie wyjechał z Los Angeles.

To duże poświęcenie z jego strony. Pół nocy jechał z Las Vegas w Nevadzie. Przez delikatność nie pytam, ile forsy przepuścił w kasynie gry. Załatwiał w tamtych stronach interesy, a jego interesem jest sprzedaż Encyklopedii Brytyjskiej. Jim bardzo sobie chwali tę pracę, dużo jeżdżenia i niezłe zarobki. Teraz jechałby do domu, gdyby mnie nie odwoził. Nie ma się co spieszyć, żony nie ma. Rozwodzi się, więc wyprowadziła się do rodziców. Zatrzymał się, żeby mi pokazać fotografię ślubną. Panna młoda w bieli, piegowate chuchro, stoi w jakiejś knajpie akurat pod okropnym landszaftem. Po jednej stronie stoi roześmiany Jim w mundurze wojskowym, po drugiej teść z kielichem w dłoni i muszką pod brodą. Z boku mała dziewczynka w bieli, pewnie družka.

— Znasz tę twarz? — pokazał na teścia. Zaprzeczyłem. — Jest aktorem. Nie mam innego zdjęcia, to ci to zostawię — napisał na odwrocie dedykację i adres. Schowałem zdjęcie i powiedziałem, że ostatnimi czasy wszyscy mnie obdarowują.

— Spójrz — pokazałem talizman Julii — dostałem od dziewczyny w Hollywood.

— Poczekaj — wyskoczył i z bagażnika przytaskał całe naręcze prospektów, map, maskotek i innych drobiazgów, które przywiózł w Las Vegas. Położył mi to wszystko na kolanach.

— Bierz, co chcesz, nawet wszystko.

Nie spodziewałem się takiego efektu moich słów. Na zabranie tego wszystkiego potrzebowałbym dwóch takich chlebaków, jaki mam ze sobą, i to pustych. Przejrzałem stos, a Jim objaśnił, co skąd pochodzi. Wybrałem dwie mapy Kalifornii, dwie duże czerwone kostki na łańcuszkach, zgrabną popielniczkę gwizdniętą z domu gry w Las Vegas i dwa pakieciki odświeżające. Podobno gracie wycierają tym dłonie, które im się pocą na widok przegranych (a może wygranych) pieniędzy. Pakiecik wygląda jak plaster, po rozerwaniu wyciąga się złożoną, pachnącą chusteczkę z delikatnego papieru, który natychmiast wilgotnieje na powietrzu. Na dłoniach zostaje mokry zapach, wilgoć wysycha i chłodzi rozgorączkowane (ewentualnie) ciało.

W śródmieściu skręciliśmy w boczne uliczki.

— Nie powiozę cię przez freeway, bo przejechałbyś całe miasto i nic byś nie zobaczył. Nie będę ci dawał żadnego komentarza, zobaczysz na własne oczy, jak to wygląda.

Jechaliśmy brudnymi zaułkami, wyjeżdżając na szersze przecznice po to, żeby zaraz skręcić wśród odrapanych budynków. Na środku ulicy pełno śmiecia, rozwalające się płotki przy parterowych domkach. Dzielnica najuboższych i kolorowych. Tak klucząc jechaliśmy w stronę Long Beach.

— Wiesz, Chris, chciałbym kiedyś zobaczyć Polskę, kraj mojego ojca, a przez to jakby i mój. Nikt z krewnych ojca już pewnie nie żyje. Ojciec zginął we Francji, ja służyłem w Anglii i spotykałem wielu Polaków, równi chłopcy...

Mówił do siebie, a miał wiele do powiedzenia. Ja byłem tylko tym, który przypomniał mu stare dzieje. Tylko dlatego, że wracam do Polski.

— Ojciec zawsze pomagał wszystkim Polakom, mnie też wychował po polsku... Kochany ojciec.

Jim nałożył czarne okulary, choć słońce wcale nie raziło. Poczuję się niewyraźnie, tym bardziej że przez radio nadawali właśnie „Koncert Warszawski”; melodię, która potrafi dotrzeć do serca. Stworzył ją amerykański kompozytor na wiadomość o upadku powstania warszawskiego. Koncert fortepianowy przerobiono na przebój rozrywkowy, który murmurando śpiewa chór. Jeszcze tragiczniej przez to brzmi.

Dojechaliśmy do Long Beach, Jim pokazał mi, gdzie się wybiera Miss Univerzum i przypomniał, że i Polki tutaj były (nie wybrane).

Nie było już gdzie dalej jechać.

— Jim, może mnie już wysadzisz, bo gotów byś mnie dowieźć te sto kilkadziesiąt mil do San Diego.

— Powiedz tylko, że chcesz, to cię zawiozę do San Diego.

— Nie, nie, daj spokój, do Chicago i tak mnie nie powieziesz.

Dojechaliśmy do skrzyżowania z główną szosą i tu się pożegnaliśmy. Podniósł zaciśniętą pięść z kciukiem podniesionym do góry.

— Powodzenia! Nie zapomnij, że możesz zawsze liczyć na moją pomoc. Adres masz. I napisz, jak dojechałeś do Kanady.

Kremowy Chevrolet zniknął za domami. Rozerwałem jeden z pakiecików, które mi podarował Jim,

i wytarłem twarz i ręce. Bardzo przyjemne przy dzisiejszym upale.

Kompani

Biała tektura z napisem „New Orleans” służyła mi jako usztywnienie chlebaka. Dzięki temu mogłem ją teraz wyciągnąć i na odwrocie wypisać równie dużymi literami „El Paso”. Między San Diego i El Paso leży kawałek Kalifornii, Arizona i Nowy Meksyk. Trzeba się będzie przepchać przez Góry Skaliste, tym razem bardziej na południe, gdzie są nieco niższe.

Byłem dobrej myśli. Wymoczyłem nogi w Pacyfiku i poplułem przez lewe ramię, co na pewno nie mogło mi zaszkodzić. Urwiste brzegi i wąski pasek kamienistej plaży, woda cudownie błękitna, znacząca się białym otokiem na głazach i skałach. Samochody wiozące na dachach deski do ślizgów na grzywach przy-boju (surf). Wszystko to już poza mną. Pożegnałem ocean. Dojechałem do pierwszych gór.

— Pakuj się do tyłu.

Dwóch mężczyzn na przednim siedzeniu, rozdzielali ich puszki z piwem albo już po piwie. Prowadził śniady o ostrych rysach, bez wątpienia Meksykanin. Drugi, jak się okazało Irlandczyk, rudy i piegowaty, przeglądał puszki, przechylał, żeby ostatnie krople wysączyć, i dalej sprawdzał, czy gdzieś nie zostało trochę więcej.

— Nic już nie ma — odezwał się do towarzysza i zaczął po jednej wyrzucać za okno. — A ty — odwrócił się do mnie — jedziesz z nami do Mexicali?

Zacząłem szukać na mapie.

— Przecież to po meksykańskiej stronie.

— Nie szkodzi, ale jakie dziwki — cmoknął. — Jutro rano pójdziesz sobie przez granicę do Calexico.

Meksykanin roześmiał się zadowolony na wspomnienie ostatnich rozróbek po drugiej stronie granicy. Popatrzył, że piwa już nie ma, i zachmurzył się.

— Piwa nie ma.

Ale jego towarzysz zajął się moją osobą i chciał się koniecznie dowiedzieć, jakie znam sposoby zabawiania się z kobietami. Z pewnością nic nowego bym mu nie powiedział, nawet gdybym potrafił. Za to on rozwinął swoje talenty krasomówcze, mimiczne i aktorskie. Pokazywał mi na palcach, ruszał wargami, przymykał oczy, robił wszystko, żebym zrozumiał, dlaczego meksykańskie dziewczęta nadają się bardziej do miłości niż Amerykanki.

— Piwa nie ma.

Irlandczyk był zbyt zaabsorbowany i nie zwracał uwagi. Meksykanin zahamował gwałtownie na środku drogi i sygnął przekleństwami. Z tyłu zatrąbił przeraźliwie samochód, zdążył wyminąć.

Irlandczyk denerwował się rozcierając głowę, którą stuknął w przednią szybę.

— Zwariowałeś?! Chcesz wylądować w tym wąwozie?!

W szczelinie między zboczami płynęła niewinnie rzeczulka. Gdybyśmy się zsunęli z nasypu, byłbym pochowany w doborowym towarzystwie.

— Piwa nie ma!! — wrzasnął kierowca.

— Bardzo niedobrze, i co z tego?

— W najbliższym zajeździe kupisz kilka puszek albo wracamy do San Diego.

Meksykanin ruszył z kopyta przy dźwiękach kanonady z rury wydechowej. Ryży stropił się nieco:

— Przecież wiesz, że mamona się skończyła.

— No nie bądź taki święty, a czek!

— W jeździe nic nie zrobię... tylko ostrożniej się zatrzymuj — dorzucił sięgając do portfela na piersi. Wyciągnął książeczkę czekową i gdy samochód się zatrzymał, zaczął mozolnie podrabiać podpis. Jedną karteczkę zmiął i podarł. Na drugim czeku wyszło lepiej. Meksykanin pochmurnie patrzył na dzieło swojego sąsiada. Na mnie zupełnie nie zwracali uwagi.

Ujechaliśmy kilka mil, zanim znalazła się okazja. Zatrzymaliśmy się pod drzewami.

— Tu cię jeszcze nie znają? — upewnił się Meksykanin.

Irlandczyk wszedł do przydrożnego baru, ale po chwili jego ruda głowa pokazała się z powrotem.

Ręce miał puste. Szybkim krokiem podszedł i wsiadł do samochodu.

— O ty fujaro!! Ofermo skończona!! — Meksykanin darł się i wymyślał tysiącem najgorszych wyrazów. Irlandczyk nie dał się przekrzyczeć. Bluznął wiązanką soczystą i przez chwilę pieklili się obydwaj. Tylko czekać, aż noże powyciągają i zaczną się dźgać. Nie mogli się słyszeć, bo jeden zagłuszał drugiego, wielka szkoda. Może poczuliby szacunek dla przeciwnika za oryginalny repertuar. Pierwszy opamiętał się Irlandczyk.

— Jedźmy, bo policja zwali się nam na głowę.

— Żadne „jedźmy”!! Wracamy do San Diego! Pomiędzy jednym a drugim wykrzyknikiem zdołałem wtrącić swoje:

— Ja jadę w przeciwną stronę, cześć. Zatrzasnąłem drzwiczki, a godni kompani odjechali z powrotem kłócąc się zawzięcie.

Nie minęło kilkanaście minut, a na zakręcie pojawił się znajomy wóz chwiejący się na kołach. Właśnie zauważyłem, że mi się rozwiązało sznurowadło. Pochyliłem się, żeby je zawiązać. Samochód przejechał obok i nie zatrzymał się, za co wzniosłem do nieba cichą modlitwę dziękczynną.

Skokami naprzód

El Centro — pustymi ulicami wieje gorący wiatr. Miasteczko leży siedemnaście metrów poniżej poziomu morza. Na zbiornikach wodnych wymalowane czarne krechy — poziom morza.

W California Cafe usługują dwie śliczne Meksykanki. Josefina ma siedemnaście lat, Alijandrina — szesnaście. Rano chodzą do dziewiątej klasy, po południu pracują w restauracji. Menu meksykańskie i ni czorta nie można się wyznać, co jest jadalne. Czuję się jak ów gość, który nie znał języka i pokazał palcem, którą pozycję sobie życzy. Kelner wyjaśnił wtedy, że pokazuje na orkiestrę. Jose poleciła „enchiladę”. Pałace, ale nie trujące. Polecam enchiladę i Josefina.

Yuma — mężczyzna pod trzydziestkę, który mnie tu przywiózł, jest cały posklejany. Przeszedł kilka katastrof, w jednym wypadku przetrącił sobie kręgosłup, w drugim zabił żonę. Jedzie bardzo pewnie i o-strożnie, co pół godziny przystaje, żeby rozprostować krzyż. Klnie na tandetne wykonanie samochodów amerykańskich. Gdyby chodziły bez zarzutu, powiada, któż by chciał nowe kupować. W warsztatach pokazuje kichający silnik — cztery godziny naprawy.

— Ze mną i tak szybko nie zajedziesz — pociesza mnie na pożegnanie.

Przy szosie stoją urocze motele, a obok baseny z chłodną wodą. Wstęp wzbroniony. Kąpiel dozwolona tylko dla gości motelowych. Przeżywam męki Tantala.

Tam gdzie kończy się miasteczko, zaczyna się pustynia, taka żółciutka jak z obrazka. Przez dwie godziny czekania opaliłem sobie wierzch dłoni. Spalona twarz piecze, po spodniach siecze drobny piasek.

Phoenix — znaleźli się tacy, co chcieli mnie podwieźć już w samym mieście. W otwartym samochodzie jechała pijana trójka.

— Lubisz szampana?

— Lubię! — odkrzyknąłem.

— No to wskakuj. Wgramoliłem się górą.

— A piwo lubisz?

— Nie — odpowiedziałem.

— No to wyskakuj, bo my jedziemy na piwo i tu skręcamy.

W sumie przejechałem dwie przecznice.

Wieczór jest najpiękniejszą porą dnia. Oświetlenie malownicze, masywy górskie robią się fioletowe od zaciętej strony, upał zamiera na pustyni, a z gajów pomarańczowych idzie zapach wonnego kwiecica.

Zrobiłem się wybredny w wybieraniu jazdy. Z trzech okazji nie skorzystałem ku wściekłości kierowców. Według mnie jechali za blisko, a moje miejsce pod latarnią było wymarzone do

zatrzymywania samochodów i wachania wyżej wymienionych zapachów.

Dwudziestoletni młodzian z rozwichrzoną czupryną jedzie do Amarillo, wsiałem, jedzie jak tornado. Namawiam go na krótszą drogę, rezygnując z El Paso i okrężnej jazdy. Po dwóch godzinach przyzwyczałem się do igrania z niebezpieczeństwem, innymi samochodami i patrolami policji. Jestem zmęczony.

Nowy Meksyk — oczywiście znowu przespałem prawie cały kamienisty stan. Raz się obudziłem i zobaczyłem światelka tak nisko pod nami, że nie chciałem wierzyć, że sami zaraz tam będziemy. Opony piszczały na serpentynie, raz otarliśmy się o bandę. Gość, którego wymijaliśmy, tak się zdenerwował, że aż się zatrzymał. Pewnie po to, żeby kropelki zażyć. Gdy znaleźliśmy się na dnie kanionu, musiałem przełknąć ślinę, bo mi uszy kompletnie zatkało. Do góry nie ma takiego szaleństwa, bo samochód nie wyciąga setki. Tylko z za zakrętów wypadają inni szaleńcy, błyskają ślepiami i po chwili widać, jak się wspinają na przeciwne zbocze.

Zabraliśmy łazika z drogi. Ostatnią noc przespał w rowie. Teraz ułożył się na podłodze i zaraz zasnął. Pogналиśmy jak zwariowani i ja zaraz też zasnąłem.

Zatrzymał nas chłopak, wymachujący rozpaczliwie, samochód im stanął z braku benzyny. Rodzice razem z ratlerkiem usiłowali w zamkniętym wozie zatrzymać resztki ciepła uciekające w pustynną noc. Brak im paliwa i pieniędzy, a najbliższa stacja znajduje się w przeciwnym kierunku, niż jedziemy. Niechcący zostałem ich wybawcą, zostawiłem im pięć dolarów. Akurat ktoś nadjechał z przeciwnej strony i wziął małego.

Teksas. Otóż i słynna szosa 66 w Amarillo. Godzina dziewiąta rano, ziąb wdziera się pod ubranie. Gdyby nie wiatr, można by wytrzymać. Odczepiłem się od kolegi łazika, nie złapaliśmy nic dobrego we dwójkę. W klozecie najbliższej stacji benzynowej wciągnąłem kalessony, drugą parę ciepłych skarpet, sweter, szalik, rękawice i włóczkową czapkę narciarską. Chlebak jest pusty. Stanie w miejscu nadal niemożliwe, ale do południa powinno się ocieplić.

Oklahoma — czerwone piaski i czerwona glina. Ziemia uprawna w takim samym kolorze. Kolejny kierowca z rozrzewnieniem wspomina czasy McCarthy'ego. Prócz tego opowiada wulgarne dowcipy. Funduje placek i kawę.

Wieczorem zabiera mnie młody staruszek, siedemdziesięcioletni bankier na emeryturze. Często jeździ dla sportu do Kalifornii, a teraz właśnie wraca do domu z takiego wypadu. Pomysły ma zgoła młodzieńcze, forsy jak lodu i dyrektorów jako towarzystwo do libacji. Udaje mi się przekonać go, że jestem synem dyrektora banku, co jest haniebnym łgarstwem. Ojciec wybaczy mi chyba, jadłem dzięki temu pieczone kurczę w luksusowej restauracji na platformie ponad autostradą. Z parkingu do salonu wjechaliśmy ruchomymi schodami. Przy drzwiach portier się nisko uklonił. Poznał, z kim ma do czynienia.

Missouri — przed snem poszedłem popływać w basenie w miasteczku nazywającym się Joplin. Mieszkanki tego grodziszcza (boję się tworzyć przymiotnik od tej nazwy) chciały koniecznie odkupić receptę na opaleniznę. Sprzedałem darmo.

Byłbym zwiedził St Louis, a wcale nie chciałem. Pomyliłem dojazd do miasta z objazdem. Uprzejmy facet odwiózł mnie z powrotem na by-pass. Przy okazji opowiedział o praktykach, jakie stosują tutejsze dziewczęta: łapią naiwniaków na autostop, a potem szantażują albo wyłudniają pieniądze.

— Po twarzy już je poznaję, te same kursują.

Obskurny objazd zabrał mi parę godzin. Przez Mississippi przerzucono długi żelazny most. Rwący brudny prąd niesie ze sobą wszystko, co napotyka na drodze. Zalane wysepki i brzegi. Zima się skończyła, ale jeszcze ściąga haracz. Ludzie też płacą, woda zalewa osiedla.

Illinois — dwóch miłych chłopców z obozu wojskowego jedzie do domu w Milwaukee na weekend, Podrzucają mnie do skrzyżowania dróg między Chicago i DeKalb, miasteczkiem uniwersyteckim. W tym ostatnim mieszka znajoma z „Batorego”, Mrs Pritchard, starsza, przemiła pani, która mnie gorąco do siebie zapraszała.

Na polach leżą płaty brudnego śniegu, przy drodze wysokie zasy, spod których sączą się strużki wody. Na rozdrożu zimno i pusto. Jedyne chałupa, która jest równocześnie stacją benzynową, daje schronienie przed lodowatym wiatrem, ale nie daje szansy złapania jakiegóż jazdy. Zapada zmrok.

Nic innego, tylko trzeba będzie dzwonić po pomoc. Pozostała śmieszna odległość kilkunastu mil.
— Informacja w DeKalb, słucham — głos telefonistki był miły i ciepły, co w tych mroźnych warunkach nie było bez znaczenia.
— Proszę mi powiedzieć, jaki jest numer telefonu pani Pritchard.
— 62-354 — padła natychmiastowa odpowiedź.
— To miasteczko jest aż tak małe, że pani zna telefony wszystkich mieszkańców??
— Nie, proszę pana, ale Mrs Pritchard jest moją matką.

Wizyta i wizytacja

Przypominaliśmy po kolei wszystkie znajome osoby ze wspólnej podróży, wszystkie zabawne momenty, wszystkie imprezy, w których razem uczestniczyliśmy. To „razem” obejmuje kilkuset pasażerów zamkniętych w pływającym hotelu przez dziesięć dni, ale myśmy czuli do siebie szczególną sympatię, co nie znaczy, że chodziliśmy pod rękę po pokładzie spacerowym, każde z nas miało swoje towarzystwo, różnica wieku między nami wyrażała się w dziesiątkach lat. Spotkaliśmy się na turnieju bridżowym, para polska przeciwko amerykańskiej. Myśmy nie umieli licytować po angielsku, oni nie znali nomenklatury francuskiej. Odważyłem się zapuścić na niepewne tereny językowe, a pani Pritchard rozwinęła swoje zdolności pedagogiczne. Nauka nie poszła w las i ograliśmy nauczycieli. Mrs Pritchard jest zresztą nauczycielką z zawodu, uczy wychowania fizycznego w ogólniaku. Ona to zorganizowała na „Batorym” turniej pingpongowy, który w pięknym stylu wygrał Ludwik. Ludwik nie był w stanie zatańczyć z organizatorem, ja dostałem dwa kosze od młodych dziewcząt, a pani Pritchard mi nie odmówiła.

Przyjaźń naszą podtrzymywaliśmy listami, teraz, gdy znalazłem się w pobliżu, skorzystałem z zaproszenia. Wspominaliśmy wszystkich znajomych, zabawne momenty i ciekawsze imprezy. Pani Pritchard ma usposobienie Angielki, jest oszczędna w słowach, rozmowa zaczęła umierać śmiercią naturalną. Sytuację skomplikował mąż, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna po pięćdziesiątce. Zapewne nigdy nie wyobrażał sobie, że jego żona ma takie znajomości. Ona pamiętała mnie wciąż w garniturze i białej koszuli. Mąż za to patrzył na mnie takim wzrokiem, że poprosiłem, żeby mi pokazali łazienkę. Umyłem się i włożyłem nowe dzinsy, skręcone na dnie chlebaka, czekające na taką okazję.

Pan Pritchard pracuje na tutejszym uniwersytecie, a więc jest zapewne profesorem, nie mamy jednak wspólnych tematów, mogę najwyżej podziwiać mieszkanie, urządzone w stylu staroamerykańskim z przejściem między pokojami w postaci wahadłowych drzwi, a la „rancho-bar”.

Wybawieniem okazały się córki. Tak, córki. Nie jedna, ale trzy. Najpierw przyszła Marylin, szesnastoletnia brunetka o regularnych rysach i podwójnym podbródku (po kim ona tuszę odziedziczyła?) i przyprowadziła dwunastoletnią Bobby i czarnego pudła Gigi.

— Hi man — krzyknęła od progu, ale nie było to powitanie, tylko w ogóle taki wykrzyknik, modny u nich w jedenastej klasie. Bobby grzecznie się ukloniła i z nieśmiałym uśmiechem spłynęła do kuchni. Gigi obwąchała moje nogi i dała się pogłaskać. Sytuacja była uratowana.

Marylin zamiast bawić gościa rozmową (gościa, to znaczy mnie) znosiła z różnych kątów fatalaszki na zabawę. Pomagała sobie przy tym okrzykami, jakie rozbrzmiewały na tym kontynencie, gdy białych jeszcze nie było. Widok Marylin szykującej się na szkolny wieczorek przypomni mi, że dzisiaj jest sobota.

— Janet zaraz przyjdzie — powiedziała mama pełna oczekiwania.

Przyszła, dwudziestoletnia szczupła panienka z międzymiastowej. Staroświecka biała bluzka z koronkami, a na idealnie czarnej główce pełno kręćków, fryzura przypomina mi Gigi i ręka mnie swędzi, żeby pogłaskać i podrapać za uchem. Janet jest o głowę niższa ode mnie, przystojna i rasowa (tym razem nie chodzi mi ani o pudła, ani o psy w ogólności). Czarne brwi wyskubane w wąską kreseczkę, a rzęsy pozlepiane czarnym tuszem.

Mama uważa, że to towarzystwo będzie dla mnie stosowniejsze, i proponuje, żebyśmy poszli razem

z Marylin na „beatnik party”.

Beatnik to przedstawiciel młodego, „pobitego” pokolenia. Ubiera się w kolorowe albo, częściej, w czarne łachmany, chodzi na jam session i układa wiersze w Greerwich Village w Nowym Jorku lub spelunkach San Francisco. Poza tym włóczy się, ale nie jest ani hobo, ani trampem, tylko artystą. Swój stosunek do życia wyraża splunięciem, ale chce, żeby go uznawać za intelektualistę.

O beatnikach można długo i mądrze, bo to specjalne zjawisko w amerykańskim życiu i literaturze. Młodzież zaciera ręce — nareszcie my mamy cyganerię, nie zaimponuje nam żadna bohema. W związku z tym na beatników stylizuje się, kto może. Taka właśnie ma być zabawa i każdy przebiera się w najgorsze ciuchy, jakie ma.

Światła na sali przyćmione, na zaimprovizowanej estradzie jasna blondynka w ciemnych okularach przeraźliwym szeptem deklamuje swoje wypociny. Większość obecnych w czarnych swetrach. Gdy orkiestra gra, tylko kilka par tańczy, reszta siedzi po ciemnych kątach. Kto to widział, żeby beatnik, przegrany facet, bawił się wesoło. Alkohol, choć przez szkołę zabroniony, przez pseudobeatników mile widziany, rozumiem, czemu się tak po kątach chowają. Janet łapnęła gdzieś wódki i teraz się klei. Na szczęście Marylin jest trzeźwa i po skończeniu zabawy może nas odwieźć do domu.

Pan Pritchard nie jest profesorem, choć tak godnie wygląda. Portier też może powiedzieć o sobie, że pracuje na uniwersytecie, ale pan Pritchard nie jest ani profesorem, ani portierem, tylko kierownikiem administracyjnym. Pokazuje mi swoje gospodarstwo, studentów nie ma, bo niedziela. Dwie studentki na ostatnim roku, które przypadkowo spotkałem, uczą się takich przedmiotów, jakby się kształciły na zawodowe żony.

W poniedziałek pani Pritchard wprowadza mnie na swoje podwórko, do ogólniaka, czyli do high-school. W moim wykształceniu brak mi dwunastej klasy i tu mogę odrobić zaległości. Trzynastą klasę zaliczyłem już w Kanadzie, gdzie stwierdziłem, że ilość nie idzie w parze z jakością.

Klasy są koedukacyjne, ale można sobie wybierać niektóre przedmioty i na lekcjach matematyczno-fizycznych mniej jest dziewcząt. Na angielskim jest mniej chłopców, którzy wolą zajęcia praktyczne. Oczywiście wszystkich obowiązuje pewne minimum godzin z przedmiotów podstawowych.

Na lekcji z wiedzy o świecie współczesnym poproszono mnie, żebym zajął miejsce nauczyciela i odpowiadał na pytania dotyczące Polski.

Zapewniam was, że prelegent okazał się godnym swojego audytorium, które nie miało zielonego pojęcia o kraju Lechitów. Cóż, gdybym przyznał się, że na jakieś pytanie nie potrafię odpowiedzieć, skompromitowałbym PRL. Gdyby ktoś zapytał o polskich ministrów, wymieniłbym bez zająknięcia wszystkie resorty, nazwiska, imiona. Jeśli nie podaję tutaj tego, co młodzieży włożyłem do głowy, to tylko ze względu na resztki godności osobistej. Nie mam wątpliwości, że cała wiedza zdobyta przez moich słuchaczy w czasie tej lekcji wywietrzała im w ciągu następnej.

Nie wiem, jaki to był przedmiot, tematem wykładu była telepatia. Uśmiechnąłem się dyskretnie, z kogo wariata chcecie robić. Młoda nauczycielka odwoływała się do wspomnień uczniów, związanych z niewytłumaczalnym przekazywaniem myśli. Na zakończenie oświadczyła, że zrobimy próbę. Potasowała dziesięć kart z numerami od zera do dziewięciu. Odkryła pierwszą i nie pokazując nikomu, usilnie koncentrowała myśl na tej cyfrze. Tymczasem cała klasa, dwadzieścia kilka osób, skupiała uwagę, by tę cyfrę trafnie napisać. Próba się nie udała, ale zapewne tylko dlatego, że uczniowie zamiast wyćwiczyć swoje teleodbiornicze zdolności, podśmiewali się z nauczycielki. Nawet ze mną nie zdołała nawiązać kontaktu, a ja miałem być tym, który ją pochwali. Pocięszyłem ją, że geniusze najczęściej byli zapoznani przez współczesnych.

Amerykańscy uczniowie okazali się bardziej gościnni od swoich kanadyjskich kolegów i pokazali mi wszystkie kąty swojej budy łącznie z ichnią stołówką, gdzie pokrzepiają się na zajęcia południowe.

W szkolnej radiostacji klubowej, mającej znak wywoławczy W9LZW otrzymałem od krótkofalowców mały drukowany kartonik, tak zwaną kartę QSL, dowód, że łączność została nawiązana. I obyło się bez telepatii.

Na indiańskim szlaku

Temagami to wielki rezerwat leśny leżący w Ontario, na północ od jeziora Huron, pomiędzy miejscowościami Timmina i North Bay. Jezioro o tej samej nazwie wyciąga macki na wszystkie strony niczym wielka ośmiornica, której okiem jest Bear Island, Niedźwiedzia Wyspa. Stąd się zaczyna moja włóczęga.

Centralnym punktem wyspy jest wielki sklep kompanii Hudson Bay otoczony białymi budynkami — poczta, mała elektrownia, magazyny. Mnie jednak bardziej intryguje wioska indiańska. Zamiast wigwamów — nędzne chałupki wzdłuż kamienistej ścieżki biegnącej brzegiem jeziora. Niektóre domki przedstawiają się lepiej, ale wszędzie pełno śmieci. W rzadkich zaroślach cykają potężne koniki polne, przed chatami wylegają się na rozgrzanych kamieniach parszywiejące i ślepawe psy. Są jak najbardziej przyjazne, ale odskakują przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Jest tak przyjemna, ciepła, wrześnie pogoda, że chętnie położyłbym się razem z nimi w wysokiej trawie. Ale tu, gdy zza firanki zerka Indianka skośnymi oczami, odechciewa się zabawy w Indian. Staruszek, który siedzi na przewróconej beczce od benzyny, wypożycza canoe. Mruczy do siebie jak zadowolony kot. Przerwywam mu:

— Sir... jakieś canoe... jakieś dobre, ale możliwie lekkie, please.

— Wszystkie jednakowe, wszystkie duże i wszystkie dobre.

Z mojego punktu widzenia wcale takie duże nie są, przynajmniej w poprzek.

— Znasz się na tym?

Kiwam głową, bo nie widzę innego wyjścia, co potem, zobaczymy. Wkładam ostrożnie namiot, plecak i skrzynkę od pomarańcz pełną kupionych przed chwilą wiktuałów. Dno, zrobione z cieniutkich klepek złączonych giętymi żeberkami, niepokojąco się wygina. Stary patrzy, jak niezgrabnie się sadowię na tylnej ławeczce, trzymając się kurczowo burt. Trochę się kiwa ten cały dobytek. Inaczej rozumie mój niepokój i zapewnia mnie o szczelności i wytrzymałości łodzi. Wolno ruszam wiosłem z jednej strony i canoe zatacza łuk w drugą. Popycham z przeciwnej i znowu dziób ucieka w przeciwną. Utrapienie. Wiatr popycha lekko w pożądanym kierunku, więc tylko steruję, by nie kompromitować się bardziej. W bezpiecznej odległości ponawiam próby.

Wieczór zapada pełen strzępów pędzących chmur, zabarwionych ostatnimi promykami słońca na bajeczne kolory. Zachodni brzeg, ukryty w cieniu wysokich drzew, jest już czarny. Najwyższy czas, by rozbić biwak.

Rano wysuwam głowę z namiotu na zwiad — chłodny wiatr wieje z północy, a słońce chowa się co chwila za chmury. Mój kurs wiedzie na północ, więc będę miał wiatr w mordę. Kiepsko. Ptaki wkoło tańczą i świergocą, jakby się miały z czego cieszyć. Po drzewach skacze wiewiórka, a raczej chipmunk, czyli jej odmiana, i terkocze w sposób wielce dla mnie niezrozumiały. Gdy przelatują dwie gęsi w kierunku północnym, uważam to za znak do ruszenia za nimi. Canoe okazało się dziś bardzo złośliwe, a wczorajsze doświadczenie niewystarczające. Ziajany, klnąc w duchu Boreasa, znalazłem się na drugim brzegu odnogi, nie ruszając ani trochę naprzód. Wyniosłem jednak naukę, że trzeba odwrócić canoe rufą do przodu, a będzie lepiej stawiało czoło wiatrowi (w tym wypadku już nie czoło).

Płynę tuż przy brzegu, aby przechytryć wiatr. Nad głową piętrzą się skały o najrozmaitszej konfiguracji, porośnięte mchem i rzadkimi drzewami. Z czasem wiotczeją, rozsypują się i kończą swój żywot jako podwodne kamienie. Przeciwny brzeg jest cały porośnięty lasem lekko piegowatym, gdyż jesień rozpoczęła już malować liście na żółte i czerwone kolory. Słońce błyska zza chmury niczym flesz, a oczy fotografują coraz to inny przesuwany obrazek.

Na zakręcie oczekuje wykpiony wiatr i mści się wciskając canoe pod wielki kamienny nawis. W jaskini woda głucho chlupocze, a nad głową piętrzy się piętnaście metrów spękanego bloku skalnego z samotną sosną na wierzchołku. Nie śmiem oddychać i powoli przeciągam się rękami w stronę otwartej wody. Zadzieram głowę i widzę, gdzie potężny kamuszek się oderwie, by spocząć na zielonym dnie. Biedna samotna sosna...

Znów trzeba płynąć w poprzek. Macham wiosłem, ile sił, w walce z wiatrem. Canoe pracuje ciężko na falach, których grzbiety wchodząc pod łódź podrzucają plecak leżący na wiotkim dnie. Czekać tylko, aż zostanę bez dna, z nogami dyndającymi w wodzie. Pod brzegiem, w cieniu starych drzew jest spokojnie. Jezioro zwięza się w zatoczkę osłoniętą roślinnym murem i po chwili mój korab grzęźnie dziobem w przybrzeżnym żwirze. Zostawiam Vicky, taka nazwa jest wypisana ołówkiem na dziobie, i idę na inspekcję wyboistą ścieżką. Kamień na kamieniu, a z obu stron gąszcz pełen zapachu jakichś nieznanymi kwiatów. Po stu metrach widać kolejne jezioro. Trzeba się spieszyć, bo południe już minęło, więc oczyściwszy drogę z domniemanych żmij, zabieram wszystkie moje drobiazgi za jednym -zamachem. Myślałem, że mi ręce odpadną. Cóż, to tylko brak wprawy. Ale teraz jeszcze canoe. Wyciągam zapasowe wiosło i obydwa przywiązuję do poprzecznych drążków, tak że tworzą one dwa uchwyty równoległe do burt. Jeden podrzut i trzymam canoe na kolanie, drugi podrzut winduje je na zgięte ramiona. Opieram poprzeczny drążek na karku, dziób trochę pochylony, aby i głowa trochę pracowała (główka zawsze pracuje), a ręce pomagają dźwigać to jarzmo, utrzymując dzięki wiosłom równowagę. Łódź — lekka do wywracania — wcale nie jest taka lekka w noszeniu.

Na poprzednich jeziorach były jeszcze jakieś ślady cywilizacji w postaci opuszczonych domków kempingowych. Tu przy przejściu zostawiam ostatni szałas. Przedemną Diamond Lakę. Rzeczywiście jezioro jest brylantem w ślicznej oprawie kolorowych lasów. Chmury rozpięchły się na boki i wiatr się uspokoił. Czuję, jakbym przekroczył wrota do innej krainy. Chipmunk wita mnie przyjazną terkotką. Wprawdzie dotąd ludzi nie spotkałem, ale tutaj spotkanie wykluczone. Cudowne, spokojne jezioro zachęca, by zostać tu dłużej. Nie tak łatwo znaleźć miejsce na nocleg. Tam, gdzie zwarty gąszcz zostawia trochę miejsca, pozostaje naga skała. Opływam cypelki, zatoczki i wysepki nie mogąc się zdecydować. Słońce chce spać. Łąduję więc na małej wysepce. Wąskie zagłębienie wypełnia igliwie i zmurszałe liście. Miejsca jest akurat tyle, aby się wygodnie rozciągnąć, a podłoże sprężynuje niczym nadmuchiwany materac. Trochę kłopotu sprawia ustawienie namiotu nad tą kolibą, ale w rezultacie jestem zupełnie zadowolony, księżyc również. Widać, jak wylazł roześmiany. Dwa duże kamienie służą za kuchnię. Drzewa jest pełno dokoła. Opał w pierwszym gatunku.

Z talerzem zupy siadam na kamyku, zagapiony w zapalającą się zorzę północną. Misterne koronki mieniące się fioletem i czerwienią tworzą wielki wigwam nad Jeziorem Lady Evelyn, a nieco niżej, niczym widmo spektralne, ciągnie się wzdłuż horyzontu zielono-żółty pasek poprzecznie prążkowany. Wszystko to drga tak, że właściwie nie wiem, czy to szczęki mi nie skaczą, bo robi się coraz chłodniej. Na wszelki wypadek zamykam oczy, by sprawdzić, czy zorza znika, i przy okazji stwierdzam ciepło w nogach. Zorza drga dalej, ale znikła zupa z talerza.

Zaczarowana kraina: księżyc i zorza, gwiazdy i błędne ogniki (światliki rozrabiają w zaroślach). Kilkadziesiąt metrów od wysepki stary bór daje o sobie znać tysiącami odgłosów. Największy rejwach czynią ptaki.

— A huu... — nawoływanie podobne do ludzkiego. Inny ptak naśladuje wycie wilka. A może to rzeczywiście wilk.

Zasypiam przy wtórze indiańskich okrzyków wojennych. Nieznośne, nieznanne zwierzęta.

Bezskutecznie usiłowałem zapamiętać piękną nazwę Wakamika, indiańską, jak większość jezior kanadyjskich. Jak to przeczytać po angielsku? Wciąż mi się płątały sylaby. Dopiero noc, którą spędziłem na łasze nad tym jeziorem, pozwoliła wielkiemu Manitou natchnąć mnie lepszą pamięcią.

Z jeziora wypływa rzeczka o tej samej nazwie. Z początku strumień tylko. Kręci się zakolami, przedzierając się przez leszczynowy busz. Zielony tunel zamyka się nad głową, a na dnie leżą zbutwiałe pnie wystawiając ostre kikuty. Przerzucam wiosłko z ręki do ręki, manewrując między przeszkodami wystającymi z wody i zwisającymi z góry. Za jednym z zakrętów niespodzianka. Przez rzeczkę jest przerzucony mostek z grubych bali, które z bliska okazują się lekko spróchniałe. Droga, jeśli tu kiedyś była, teraz nie istnieje zupełnie. Wkoło zarośla, a w szparach między pniami wysoka trawa. Wygląda na to, że trzeba będzie przenieść canoe bokiem, po rozmokłej glinie.

Wrodzone lenistwo do spółki z prądem pakują mnie pod mostek i canoe, oczywiście, nie

przechodzi. Ale, jak wiadomo, ten rodzaj łodzi ma zadarty dziób i rufę, więc kombinacja wydaje się prosta — przechodzę najpierw ostrożnie do przodu i dziób mieści się pod mostkiem. Następnie przepelzam do tyłu i prąd wynosi mnie spod pni. Teraz dopiero zastanawiam się rozsądnie, że mostek, około metra szerszy, uwięziłby mnie na dłuższy czas. Mógłbym przepelzać tam i z powrotem, a zawsze drugi koniec kotwiczyłby się w drewnianym stropie.

Wakamika to już nie strumień. Liczne strugi wpadające z boków uczyniły z niego rzeczkę wcale pokaźną, majestatycznie płynącą do naszego wspólnego celu, jeziora Obabika. Głośniejsze uderzenie wiosła o burtę niepokoi zapewne mieszkańców boru, gdyż w gąszczu podnosi się straszliwy trzask łamanych gałęzi, który oddała się w głąb lasu i cichnie po chwili. Przepraszam za przerwanie sjesty.

Przez szeroki korytarz drzew widać jezioro. Obabika. Trochę przypomina Mamry, wokół którego wyrosły wysokie wzgórza. Pogoda zmieniła się. Ulewa przeszła. Wielka szarość nieba skondensowała się w czarne chmury, pozostawiając jasne luki, przez które mruga słońce. Wiatr nie próżnuje i przegania te ciemne stwory, aby nie zasłaniały zbyt długo jednego miejsca. Przy okazji potyka się o drzewa i usiłuje przedmuchać wodę w drugi koniec jeziora. Fale zaczynają podchodzić pod rufę i dziób jedzie w dół, fala się przesuwając obniżając rufę i widać zadarty nos. Tworzy się oryginalna huśtawka, a że muszę płynąć trochę na ukos, dochodzą kołysania boczne. Co pewien czas, gdy nadlatuje grzywiasta fala, trochę wody wskakuje do środka. Ręce sinieją od zimnych szkwałów, ale ciągły ruch nie pozwala zmarznąć. Zresztą gdy słońce uśmiecha się dobrotliwie, robi się prawie gorąco.

Znaleźć przejście na kolejne jezioro nie jest łatwo. Trzeba płynąć wzdłuż brzegu i zaglądać do wszystkich zatoczek po kolei. W jednej z nich widać na brzegu kawałek deseczki przybitej do drzewa. To chyba tu. Droga przez las okazuje się niemożliwie zarośnięta. Trzeba niezłej ekwilibrystyki, aby nie skrócić nogi na oślizłych gładkach, a równocześnie utrzymać kruche, a tak ciężkie jarzmo na ramionach zmęczonych całodziennym wiosłowaniem. Piętnaście minut leżenia z nogami w górze i puszka kondensowanego mleka czynią mnie zdolnym do ruszenia dalej. Ciche, czarne jeziorko powinno mieć wodną drogę na większe, gdzie chciałbym znaleźć nocleg. Szybko się przekonuję, że mapa podaje informacje dosłownie.

O wielka Niagaro! Woda cienkimi strużkami przecieka między zwałiskiem kamieni długości kilkudziesięciu metrów. Istotnie, przepłynąć można, ale chyba w łupinie orzecha. Nie! Nie będę robił przenosin co chwila. Trzeba się tutaj rozglądać. Jeden brzeg jest oświetlony zachodzącym słońcem, drugi tonie w głębokim cieniu. Teraz dopiero zauważam charakterystyczne kopuły z gałęzi — domki bobrów. Przy każdym widać wydeptane ścieżki na brzegu. Znowu okazja do wykrzyknika. Miłe sąsiedztwo. Jedyne miejsce, gdzie można się zatrzymać, to leżące w wodzie kamienie, na które drzewa narzucały trochę gałęzi, liści i igliwia i tak powstała mikrowarstwa ziemi, na której rozkładałam obóz. Niechybnie na starość będę przepowiadał pogodę z łamania w kościach. Postawienie namiotu powoduje tyle hałasu, że zaczynam się obawiać, czy bobry wyjdą z domków w ciągu kilku następnych dni. Gdy skromna kolacyjka gotowa, siada na gałęzi dwa metry nad głową ni to gołąb, ni to przepiórka i ciekawie zagląda w mój bulion. Sięgam ostrożnie po kamerę, ale to nie zoo i ptaszysko odlatuje trzepocząc głośno skrzydłami. Niezawodnym towarzyszem jest wiewiórka. Widzę, jak siedzi wysoko na drzewie i obgryza utrzymaną w łapkach szyszkę. Frywolnie zadarty ogonek przykrywa cały grzbiet aż po łepkę. Kończymy równocześnie dinner i chipmunk, cicho popiskując, schodzi kilka pięter niżej. Rewizyta, niestety, niemożliwa. Zaczyna mrozić, a o tym, że słońce przed chwilą świeciło, świadczą tylko różowe, czerwone i fioletowe chmurki. Wkładam, co mogę — oryginalne dzinsy z nogawkami opuszczonymi za pięty, koszulkę, dres, trzy pary skarpetek, sweter i ręcznik, sprytnie przywiązany wokół piersi i bioder między swetrem i dressem. Na koniec, na to wszystko, krótkie spodni. Nawet bobry by się śmiały, gdyby się zdecydowały wyrzeć. Mam wprawdzie jeszcze slipki, ale oceniam ich zdolność grzeją na niewartą zachodu. Jeszcze jeden rzut oka na białe stożki pniaczków, pozostałość bobrowej roboty, i barykaduję wejście do namiotu.

Od czwartej do ósmej usiłuję rozgrzać nogi. Nic nie pomaga. Tymczasem po dachu bębni rześisty deszcz. Szczęśliwie dziś jakoś nie cieknie. Zdecydowałem się wreszcie wy leżąc na światło dzienne,

bo przypomniałem sobie, że na zewnątrz suszą się trampki. Na pewno mają dosyć. Wysuwam głowę i... patrzcie ludziska! Wkoło wszystko białe, a śniegu z zagłębienia namiotu starczy na porządną pigułę. W taki dzień niedźwiedzie powinny rozpoczynać swój zimowy sen. Tak się usprawiedliwiając wracam do śpiwora i ruchem robaczkowym maszeruję wkoło w sennym transie. Gdy koło południa odbijam od brzegu, w dołkach i szczelinach topnieje jeszcze śnieg. Portage, przejście, wczoraj nie zdobyte i dzisiaj coś mozolnie idzie. Zgrabiące ręce chwytają za wiosło i znów na szlak. Do zamknięcia okręgu, liczącego sobie kilkadziesiąt mil, zostało jeszcze kilka etapów.

Ostatnią noc z Vicky spędzam nad Temagami, w małej drewnianej chatynce, opuszczonej niedawno, gdyż wewnątrz jest kompletnie urządzone. Ostatnie dwa śnieżne i mroźne dni zgasiły we mnie iskrę uczciwości. Zdobyłem domek bez jednego wystrzału. To było spanie pod niedźwiedzią skórą!

Rano korzystam z lustra, by popatrzeć na tego typu naprzeciwno. Ależ zakazana twarz. Opierzchłe i popękane wargi całe w strupach, blada fizys z czerwonym, spuchniętym nosem wygląda na twarz notorycznego alkoholika, a szczeciniasta broda nadaje jej koloryt więzienny. Dodajcie jeszcze sine, odmrożone ręce z zakrwawionymi paznokciami. Nic dziwnego, że zwierzęta stroniły ode mnie. Korzystając z toaletki nieznanego gospodarza doprowadzam się do względnie uczciwego wyglądu. O dwunastej odpływa do Temagami „Najada”, stateczek, który co pewien czas odwiedza Niedźwiedzią Wyspę. Trzeba się spieszyć z pożegnaniem ostatniego noclegu. Za drzwiami czeka ponura pogoda, ale do Bear Island już niedaleko, więc bohatercko opuszczam przytulne schronisko. Sztorm bierze mnie w zimne objęcia i pomaga wiosłu. Canoe leci jak indiańska strzała, kołysząc się w rytmie fal. Wiosłuję na pełny gaz, ale ciało pozostaje nieruchome, nogi przylegają mocno do burt, jedna wyprostowana, druga zgięta. Licencję na prowadzenie canoe odebrałem przecież na Wakamika River i Obabika Lakę. Tak mógłby wyglądać traper „W-Rosole-Oko”.

Dopływam do punktu, skąd widać już czerwone dachy Hudson's Bay Company. Łódź przemyka się brzegiem niewielkiej wysepki z kilkoma domkami kempingowymi. Jakiś mężczyzna stoi na brzegu i patrzy z miną raczej zdziwioną. Jest to pierwszy człowiek spotkany w ciągu ostatniego tygodnia. Usiłuję się uśmiechnąć, ale spękane wargi nie pozwalają. Usta są jak zamurowane, więc pozdrawiam go skinieniem ręki i znikam za zasłoną śnieżnego szkwału. Po kilkunastu minutach canoe ociera się o znajomy pomost, podzwonne mojej sympatii dla obłych kształtów smukłej Vicky...

Hangar i sklep zamknięte na głucho. Zaraza czy co? Wyjmuję z dzioba canoe totem — czarne pióro ptaka z Diamond Lakę, chowam na piersi i idę do wioski indiańskiej. Na pierwszy rzut oka wygląda jak wymarła. Najbliższy dom opuszczony. W następnym widać jakiś ruch. Ponieważ na pukanie nikt nie odpowiada, zapraszani się do środka.

Przy stole siedzi indiańska rodzina z łyżkami zawieszonymi nad talerzami z zupą. Zamierzam właśnie zapytać o statek, który odchodzi o dwunastej, gdy wzrok mój pada na tykający na ścianie zegar, który pokazuje za dziesięć pierwsza! Nie mówię ani słowa, tylko ręką wskazuję złowrogi cyferblat.

— Yes, sir — potwierdza młodzieniec, który pierwszy ocknął się ze zdziwienia — time was changed (czas został zmieniony).

Przegapiłem statek przez głupią zmianę czasu.

Spóźnienie na stateczek odchodzący z Bear Island to nie tragedia. Później, jadąc do Montrealu, postarałem się, żeby przyjechać dzień wcześniej. Żeby nie spóźnić się na transatlantyk, który miał mnie zabrać do Polski.

Wysiadając z „Batorego” na Dworcu Morskim w Gdyni miałem w kieszeni kilkanaście centów, w co moi znajomi do dziś nie chcą uwierzyć.

SPIS RZECZY

Mieszanka firmowa
Cud zatrudnienia
Z pijanym lotnikiem do Halifaxu

Taxi-girls
W drodze na Florydę
Pilot
Judy
W kuchni
Nie włączyć!
Mój milioner
Edisonia
Parada
Przyjęcie urodzinowe
W tanecznym kółku
Ucieczka z raju
Mason John Stack
Gwiazdeczka i łazik
Przyjaciel
Kompani
Skokami naprzód
Wizyta i wizytacja
Na indiańskim szlaku

Redaktor BARBARA KACZAROWSKA
Redaktor techniczny BARBARA MUSZYŃSKA
Korektor BARBARA SIENNICKA
PRINTED IN POLAND

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1974 r. Wydanie II. Nakład 60 000+275 egz. Ark. wyd. 7,7. Ark. druk. 11. Papier druk. sat. kł. V, 70 g, 92X114. Druk ukończono w sierpniu 1974 r. Łódzka Drukarnia Dzielowa, Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45. Zam. nr 8/74. W-112 Cena zł 9.—

„Hobo to inaczej łazik amerykański włóczęga, który często wędruje tylko dlatego że czuje potrzebę ruchu, stałej zmiany otoczenia Hobo i tramp to określenia z czasów Londona z tym, że tramp nigdy nie hańbił się pracą, natomiast hobo pracy szukał pracował, a potem wracał na szlak. Nie tak dawno jeszcze szlakiem dla łazików była linia kolejowa, dziś większość jeździ autostopem, z większym lub mniejszym szczęściem, po wszystkich zakątkach Ameryki. Sumując kilometry autostopu doliczyłem się niespełna 20 000. Nie znaczy to, że autostop jest popularny, łatwy i zawsze przyjemny.”

Tak pisał Krzysztof Baranowski - dziś słynny żeglarz - o swojej pierwszej podróży wędrownicą autostopem przez Stany Zjednoczone i Kanadę. Po drodze pracował m.in. na farmie w kuchni wielkiego hotelu, na jachcie milionera na Florydzie. Wszystkie swoje przygody opisał w tej właśnie książce, wydanej po raz pierwszy w 1965 roku. Sądzimy, że „Hobo” dziś liczyć może na nie mniejsze zainteresowanie Czytelników.